HISTORYA POLSKA

W PIĘKNYCH PRZYKŁADACH

PRZEDSTAWIONA.

Zbiór wzorów dzielności, pracy, nauki i poświęcenia dla kraju, jakiemi się nasi przodkowie odznaczyli.

DLA POUCZENIA I ROZRYWKI LUDU POLSKIEGO I MŁODZIEŻY.

ZESTAWIŁ

Józef Chociszewski.

Wydanie drugie.

INOWROCŁAW.
Nakładem Księgarni Dziennika Kujawskiego.
Czcionkami drukarni Dziennika Kujawskiego.
1898.

Słowo wstępne.

W licznym szeregu pisarzy polskich, którzy opisywali dzieje naszej świetnej przeszłości, niepoślednie miejsce dzierży Joachim Bielski, chluba literatury polskiej w wieku XVI. Ów zasłużony mąż twierdzi, że „historya jest nietylko świecą prawdy i matką pamięci, ale także mistrzynią życia naszego.“ Odnosi się to mianowicie do historyi ojczystej, którą każdy Polak i Polka dokładnie znać powinni.

Zachęca nas dalej zacny Joachim, abyśmy byli przejęci wdzięcznością dla naszych przodków. „Uzłocićby groby ich, a kostki ich za święte sobie mieć, i tąż drogą za nimi iść, jeźlibyśmy chcieli być prawdziwymi syny ich, a nie za wyrodki miani,“ są własne słowa Bielskiego. Radzi on też, aby unikać błędów, które popełniali nasi pradziadowie, a naśladować ich dobre czyny, ich miłość ojczyzny i poświęcenie dla kraju.

Z powyższych słów wynika jasno, że trzeba się uczyć pilnie dziejów ojczystych, czyli historyi polskiej. Uznają tę potrzebę wszystkie cywilizowane narody, dla tego w ich szkołach historya krajowa jest obowiązkową nauką. U nas skutkiem znanych stósunków inaczej się dzieje, gdyż na całym prawie obszarze polskiej ziemi polskie dzie-

cko nic nie słyszy w szkole o naszej przeszłości. A jednak i nam jest potrzebną znajomość ojczystych dziejów, owszem nam daleko więcej, aniżeli innym narodom. W tym celu potrzebne są tanie i przystępnie napisane książki, które rozjaśniają naszą świetną przeszłość i szerzą znajomość historyi ojczystej.

Zwrócić tu wypada uwagę na bardzo ważną sprawę. Podręczniki historyi polskiej nie mogą zamilczeć ujemnych stron naszej przeszłości, a w ostatnich czasach tyle nagromadziło się błędów, że Polska nietylko upadła, ale dotąd nie mogła się odrodzić. Sprawia to na niektóre umysły niekorzystne wrażenie. Dla tych powodów uważamy, że jest potrzebnem dziełko, któreby, podając tylko piękne przykłady z naszej przeszłości, przygotowało niejako lud i młodzież do czytania i zamiłowania dziejów ojczystych.

Może niejednemu wyda się niewłaściwym napis: ,,Historya Polska w pięknych przykładach,“ gdyż znaczna część opisanych czynów i życiorysów nie wywarła stanowczego wpływu na losy narodu. Na to odpowiemy następnem porównaniem.

Wisła, królowa rzek polskich, jest z początku tylko małym strumieniem, dobierając jednakże różne dopływy, zwiększa się i płynie wspaniałem korytem do morza. Nie byłoby Wisły, gdyby nie owe liczne mniejsze i większe rzeki poboczne, które ją obficie zasilają. Podobnie się rzecz ma z prądem dziejowym. Liczne i piękne przykłady, wzory poświęcenia i szlachetne czyny naszych przodków sprawiły, że historya naszej przeszłości jest istotnie ,,mistrzynią życia naszego,“ oraz zachętą, aby iść śladami przodków.

Starałem się ile możności wyrwać zapomnieniu mniej znane ogółowi zdarzenia i czyny, a obok przykładów męztwa wojennego, w które mianowicie obfituje nasza przeszłość, uwzględniałem także ciche cnoty, jak np. uszanowanie dla rodziców i starszych, zamiłowanie pracy, oszczędności, nauki, przebaczanie uraz itd.

Ze względu, że praca niniejsza ma głównie na celu lud i młodzież, starałem się o żywe, malownicze przedstawienie, aby książkę tę można czytać z takiem zajęciem, jak piękną powieść.

Zwracam do was mianowicie me słowa, młodzi Czytelnicy! Opowiadania, zamieszczone w niniejszem dziełku, przekonają was, że tylko za pomocą cnoty, pracy i nauki możecie się stać miłymi Bogu, krajowi i rodzicom. Mogli inni być cnotliwymi, pracowitymi i uczyć się pilnie, czemuż i wy nie możecie działać podobnie? Bogu was polecam:

Kończę słowami Piotra Kochanowskiego:

Dla wiary wszystko uczynić się godzi,
I dla ojczyzny, bo to społem chodzi.

Dąbrówka i Wszebór.

Opowiadanie z czasów Mieczysława I.

Mieczysław, książę polski, pragnąc przyśpieszyć rozszerzenie wiary, postanowił zwiedzić kraj cały, i wybrał się niezwłocznie na tę ważną wyprawę. Małżonka zaś jego Dąbrówka, zostawszy samą w zamku gnieźnieńskim, poświęciła życie na niesienie pomocy chorym i nieszczęśliwym. Ta pani, pełna cnót chrześciańskich, często niepomna na swą dostojność królewską, okryta skromną odzieżą, w towarzystwie jednej tylko służebnej zwiedzała najodludniejsze miejsca, schronienia nędzy i niedostatku, niosąc wsparcie, pociechę, a zarazem rzucając światło Boskiej nauki w serca nieprzeniknione nią jeszcze.

Pewnego razu, gdy słońce miało się już ku zachodowi, dwie niewiasty grubemi okryte sukniami, przeszedłszy całe miasto, przebrnęły z trudnością błotnistą kałużę i udały się do chaty na uboczu stojącej. W tej chacie, która na owe wieki należała do zamożnej rodziny, leżała chora staruszka na łożu ze skór wilczych usłanem; opodal siedział człowiek sędziwy i co chwila podawał jej jakieś pokrzepiające napoje; był to jeden z kapłanów z księżną do Polski przybyłych. Chorą kobietą była Dobrogniewa, wdowa po znamienitym rycerzu, poległym na polu

bitwy w czasie zaciętej walki z Niemcami, usiłującymi ujarzmić Polskę pod pozorem wprowadzenia do niej chrześciańskiej religii. Ostatnią jej pociechą był syn jedyny dzielny i nieugiętej woli młodzieniec, zagorzały obrońca pogańskiej swych praojców wiary. Jego to Dobrogniewa z męztwem, którem dawne Polki słynęły, wyprawiła na boje: lecz gdy monarcha i mężne rycerstwo powróciło, a Wszebór nie przybywał, była pewną, że równie jak ojciec poległ od niemieckiego oręża. Ciągłą boleścią i niepokojem miotana, w ciężką niemoc zapadła. Księżna polska, będąc aniołem opiekuńczym wszystkich nieszczęśliwych, i do chaty Dobrogniewy niosła ratunek i pociechę; a nie będąc od niej znaną zupełnie, oszczędzała staruszce kłopotu, jakimby ją były nabawiły odwiedziny tak dostojnej osoby.

Gdy weszły niewiasty i pozdrowiły przytomnych słowem chrześciańskiem, jedna z nich przybliżywszy się do łoża chorej, zapytała słodkiem słowem:

— Jakże się macie, sędziwa Dobrogniewo?

— Lepiej mi, odrzekła, wam to i waszej pani, która was tu przysyła, winną jestem moje ocalenie i to uspokojenie ducha.

— Nie nam, ale temu Bogu, w którego uwierzyłaś. On to w swojem miłosierdziu dodał ci męztwa w smutku, powraca zdrowie, a może i pociechę ześle, pozwalając oglądać syna.

— Oby się twe słowa spełniły, zawołała staruszka, składając ręce do modlitwy. W tej chwili zgiełk wielki dał się słyszeć przed

chatą, drzwi się rozwarły i młodzian dorodny, otoczony gronem przyjaciół, wpadł do izby. Był to Wszebór, syn Dobrogniewy, a nie uważając na krzyk radości matki, groźnie zawołał, wznosząc topór do góry:

— Kto śmiał namówić matkę moję do przyjęcia obcej wiary?

Jedna z niewiast odezwała się spokojnie:

— Nas to Bóg obrał za narzędzie swej łaski.

— Więc to wy nieszczęsne powyrzucałyście bogów naszych?

— Zabić je! wołali towarzysze Wszebora.

On już miał cios wymierzyć, gdy Dobrogniewa przerażona, rzucając się pomiędzy syna i niewiasty, zawołała:

— Stój! one mi życie ocaliły... a przytem maszże oręż swój zbroczyć we krwi bezbronnych pod własnym dachem?

Wszebór opuścił prawicę i wyrzekł nieco spokojniej:

— Prawdę powiedziałaś matko: w chacie Polaka najzaciętszy wróg jego może być bezpiecznym; ale poczekajcie, dodał groźniej... Zemsta moja dosięgnie was jeszcze, a zerwawszy ze ściany wizerunek Zbawiciela, wyrzucił go za odchodzącemi.

Niedługo potem wielki ruch panował na dworze Mieczysława: książę powrócił z wyprawy; wielu ludzi zbiegło się, jedni, aby długo niewidzianego zobaczyć monarchę, drudzy, aby powitać krewnych będących w jego orszaku. Długo na zamku oczekiwali Mieczysława znakomitsi panowie, radząc o sprawach kraju. Około południa dwóch pachołków ogłosiło, że książę sam będzie

niektóre sprawy sądził; otwarto podwoje, a tłum cały z dziedzińca wszedł do zamku; W największej izbie, na wywyższonem krześle siedział książę polski, wymierzając sprawiedliwość. Po niejakim czasie z pośród zgromadzonych wystąpił mąż poważny, a wskazując ręką na środek komnaty, rzekł:

— Oto panie, ten Wszebór z Lasotyna opierał się twoim rozkazom, nie dozwalając niszczyć bałwanów, a powróciwszy do domu i zastawszy matkę swoją chrześcianką, zamiast iść za jej przykładem, znieważył krzyż Pański, wyrzucając go z domu, a w jego miejsce umieścił swe bóstwo pogańskie.

Głosy oburzenia zewsząd stron słyszeć się dały:

— Wypędzić go z kraju! śmiercią ukarać! wołali zapaleni wyznawcy świętej wiary. A Mieczysław, powstawszy ze swego krzesła, groźnie zapytał:

— Wszeborze! czy uznajesz się winnym tego oskarżenia, które na ciebie dowódzca mej straży zanosi?

— Uznaję, odpowiedział śmiało Wszebór; lecz gdy w tłumie spostrzegł matkę, słabą jeszcze Dobrogniewę, która swojemi prośbami usiłowała łagodzić okropne wyroki, wydawane na jej syna, spuścił oczy; książę zaś tak dalej mówił:

— Teraz nie chcąc być sędzią w mej sprawie, wam ją panowie oddaję, gdyż ten sam Wszebór z Lasotyna podniósł zbrodniczą rękę na małżonkę naszą, a waszą księżnę.

Tu urzędnik książęcy opowiedział szczegóły zdarzenia zaszłego w chacie Wszebora, a wtedy oburzenie stało się powszechnem.

Dobrogniewa zaś widząc, że jej błagania wśród takiego hałasu nie są nawet słyszane, w rozpaczy i obawie utraty syna, gdy go zaledwie odzyskała, jako chrześcianka padła na kolana i prosiła Boga, aby jej syna ocalił.

Wtem z przyległej komnaty wyszła szlachetna Dąbrówka, w towarzystwie kilku niewiast, ubrana w bieli z wiankiem przylaszczków na skroniach, a przesuwając się szybkim krokiem pomiędzy rozstępującym się tłumem, stanęła przed krzesłem księcia i rzekła:

— Daruj panie, że niewezwana przychodzę; ale moją tu sądzą sprawę, chciałabym jej być przytomną... Najprzód błagam mego małżonka i pana o przebaczenie dla Wszebora.

— Nie! tego uczynić nie mogę, odparł książę, a radni panowie przyłączyli się do zdania Mieczysława, przedstawiając Dąbrowce, jak szkodliwe skutki mogłyby wyniknąć z takiego pobłażania.

Wspaniałomyślna księżna odpowiedziała:

— Pomnijmy, że jesteśmy chrześcianami i przekonajmy Wszebora, że jeżeli jego bogi są niezgód i kłótni przyczyną, to nasz przeciwnie jest Bogiem spokoju i przebaczenia.

Na te słowa ucichła wrzawa, a Dąbrówka, kiedy książe, nigdy nie odmawiający prośbom księżniczki, uległ i teraz jej wstawiennictwu, postąpiwszy ku Wszeborowi, rzekła:

— Jesteś wolny!

Dobrogniewa ściskała kolana księżnej, oblewając je łzami wdzięczności. Wszebór

przed chwilą tak dumny, upokorzył się, a ukląkszy przed monarchinią, błagał o przebaczenie winy.

Wkrótce potem zacięty bałwochwalca Wszebór z Lasotyna przemienił się w najgorliwszego wyznawcę wiary świętej, sam jej nauczał i z największą troskliwością rozszerzał w narodzie. Czego surowe rozkazy i siła zbrojna uczynić nie zdołała, jedno słowo chrześciańskiego przebaczenia dokazało z łatwością.

Przytaczamy tu piękny wiersz S. Duchińskiej o przyjeździe Dąbrówki z Czech do Gniezna. Wiersz ten wyjęty jest z dzieła: „Królowie polscy w obrazach i pieśniach“, które wyszło nakładem »Dziennika Kujawskiego« w Inowrocławiu.

Przyjazd Dąbrówki do Polski.

Do reszty słonko strząsło się z chmury,
Orszak się zbliża pod Gniezna mury,
Konna drużyna po przedzie kroczy,
Od dzid i zbroi blask bije w oczy.
To straż lechicka, a za nią dalej
W ciężkich pancerzach, w chełmach ze stali,
Mężowie słynni w bojach i w radzie
Wiodą kwiat cudny*), co w Wyszehradzie
Urósł na radość niebu i ziemi.
Dalej odziani szaty długiemi
Jadą Biskupi; z głębin ich ducha.
Żar apostolski przez oczy bucha,
Z piersi połyska krzyż Chrystusowy.
Na skon męczeński zastęp gotowy,
Byle skropione krwią ich ofiarną,
Z posiewu Boże wyrosło ziarno.
Bracia zakonni dążą ich śladem,
Odziani w kaptur z obliczem bladem.

*) Dąbrówka.

Przeszli Biskupi, przeciągły mnichy, —
Czy Anioł z nieba zestąpił cichy?
Cóż to za postać bieluchna sunie?
Na śnieżnej bieli rączym biegunie?
Przejrzysty rąbek ogarnął całą
Ową lilijkę, wiotką i białą.
Brzaskiem jutrzenki płoną jej lica,
W orszaku matron cudna dziewica
Pomiędzy dzikie spieszy pogany,
Niesie im promień światła nieznany,
O nic nie pyta, nic się nie trwoży,
Dość jej, że rozkaz wypełnia Boży.
Spieszy Dąbrówka z książęcym dworem;
W ślad za nią wozy ciągną toborem,
Szereg ich długi w przestrzeni ginie,
Na nich żelazem okute skrzynie.
W skrzyniach królewny posag bogaty,
Drogie bisiory, cenne bławaty.
Setki rubinów, pereł tysiące,
I dyamenty słońcem błyszczące.
Wschodnie kobierce, złociste czary,
Bez miary srebra, złota bez miary,
Jak piasku w morzu, jak gwiazd na niebie!
Czyż się w tem złocie księżna zgrzebie?
O, takich ponęt Dąbrówka nie zna!
Nie po to rączo zdąża do Gniezna,
Aby przepychem dla próżnej dumy
Do hołdu zmusić olśnione tłumy.
Orszak się zbliża pod bramy grodu, —
Z miasta wylegly tłumy narodu,
Książę Mieczysław w drużyny kole,
Jakby go skrzydła niosły sokole,
Ku swej królewskiej pomknął dziewoi.
Słońce w złocistej iskrzy się zbroi,
Radość mu wielka przez oczy błyska,
Gdy na Dąbrówkę popatrzy z bliska,
Przystąpił, rączkę pochwycił białą:
— „Chceszli być moją?“ — spyta nieśmiało.
— „Tak, na ramieniu wesprę się twojem,
„Kiedy obmyty chrztu świętym zdrojem
„Otworzysz serce na Boże słowo,
„Pod krzyżem w ziemię uderzysz głową.“
A książe na to: „bądźże mnie pewną,
„Bóg Twój mym Bogiem, miła królewno!“

Nad Polską wschodzi blask nowej zorzy;
Siew apostołów wydał plon Boży,
Z gruzów kontyny starej Pośwista*)
Wyrasta w górę wieża strzelista;
Z niej krzyż złotemi błysnął ramiony,
A z wieży biją spiżowe dzwony.
Naród się z Polski gromadzi całej,
Od Warty, Gopła, od Wisły białej
Zaległ pod Gnieznem łąk przestrzeń długą,
Gdzie woda bieży kryniczną strugą.
Książę Mieczysław klęczy na przedzie;
Ojciec do krzyża swe dziatki wiedzie;
Biskup mu wodę polał na czoło,
W oczach mu jasno, w duszy wesoło.
Widzi lud korny w śnieżystej bieli,
Ponad nim chóry pieją Anieli,
W krąg po przestrzeni pieśń ich rozbrzmiała:
Raduj się, Polsko! chwała ci, chwała!

Rycerz Halka zwycięża trzech bluźnierców Imienia Bożego.

W tym samym czasie, kiedy Mieczysław rządził w Polsce, zaprowadzając chrześciaństwo, panował na Rusi książę Włodzimierz, który jeszcze oddawał cześć bałwanom. Uznał on jednakże podobnie, jak nasz Mieczysław, potrzebę przyjęcia chrześciaństwa, dla tego wysłał posłów do Carogrodu czyli Konstantynopolu, stolicy cesarstwa greckiego, aby ci przypatrzyli się chrześciańskim obrządkom. Wróciwszy posłowie do Kijowa, stolicy Rusi nad Dnieprem, wysławiali wielce wspaniałe ceremonie chrześciańskie a księciu radzili, aby przyjął chrześciaństwo. Niektórzy z pogańskich dworzan zaczęli szydzić z Boga chrześciańskiego. Wtedy jeden z posłów, imieniem Halka, nie mogąc znieść tych szy-

*) Pośwista czcili dawniejsi Słowianie jako bożka wiatrów.

derstw, wyzwał na pojedynek trzech najgorszych bluźnierców. Odradzali mu wszyscy tę walkę, gdyż mieli obawę, że utraci życie; przecież mężny rycerz, ufny w pomoc Boga, którego czci chciał bronić, stanął śmiało do boju. Zakreśliwszy koło na ziemi, rozpoczął bój krwawy, w którym wszyscy trzej przeciwnicy od jego szabli polegli. Za to miał go książę Włodzimierz obdarzyć herbem Szaławą, który przedstawia koło, a w nim trzy krzyże, u góry zaś ręka zbrojna z dobytym mieczem, wzniesionym do cięcia.

Od tego Halki wywodzi początek ród Ledóchowskich, który odznaczał się zawsze zaszczytnie pobożnością, a zarazem pielęgnował troskliwie miłość Ojczyzny. Felicyan i Kazimierz Ledóchowscy zginęli w pamiętnej bitwie pod Wiedniem 1683 r., kiedy Polacy pod dowództwem Sobieskiego ocalili Wiedeń, Austryą i chrześciaństwo. Stanisław Ledóchowski, żyjący za panowania Augusta II, zwany był „niezmordowanym obrońcą wolności i ojcem ojczyzny.“ Fundował on w Chocimiu klasztór Trynitarzy i odznaczał się szczególniejszem nabożeństwem do Matki Boskiej. Antoni Halka Ledóchowski na sławnym sejmie czteroletnim od 1788—1792 stawał w obronie Kościoła i włościan, a spełniając słowa czynem, zaprowadził dla nich w swych dobrach znaczne ulgi i swobody. Pisał i wydawał nabożne dzieła, a pod koniec życia wstąpił do zakonu, XX. Misyonarzy w Warszawie.

Najwięcej przecież zasłynął w tym rodzie Mieczysław Ledóchowski, dawniej Arcybiskup gnieźnieński i poznański, a obecnie

Kardynał w Rzymie, który jest niejako pierwszą osobą w kościele katolickim po Ojcu św., gdyż przewodniczy zakładowi, mającemu na celu rozszerzanie wiary katolickiej na całym świecie. Kardynał Mieczysław odznaczał się i odznacza obok głębokiej nauki wielką pobożnością, dobroczynnemi uczynkami i gorliwością niezwykłą dla wzrostu religii katolickiej, za co go też spotkał ten wielki zaszczyt, że mu Ojciec św. tak wysoki urząd powierzył.

Dobroć polskiej królowej.

Największym polskim królem i bohaterem jest Bolesław Wielki czyli Chrobry, który żelaznemi słupami znaczył granice swego państwa. Na czele polskich rycerzy przebiegł on niezmierne obszary od Budyszyna w Łużycach do Kijowa nad Dnieprem, a od brzegów morza Bałtyckiego władał silną dłonią aż do nurtów Cisy w północnych Węgrzech.

Bolesław był mężnym na wojnie a sprawiedliwym w pokoju. Gdy się dowiedział, że młodzi panicze, synowie rycerzy, uciskają ubogich ludzi i inne czynią bezprawia, wtedy karał ich surowo, a nawet kazał im życie odebrać, o czem świadczy następujące opowiadanie.

Lubomira, wdowa po dzielnym wojaku, miała dwóch synów, Żelisława i Miłosława. Król ze względu na pamięć ojca wziął ich w szczególną opiekę. Lubomira nie mogła sobie dać rady z synami, gdyż zamiast jąć się pracy w polu, wałęsali się tylko po lasach, czynili krzywdę biednym ludziom

a zuchwałość swoją posunęli do tego stopnia, że porwali cztery woły ze stada królewskiego. Dowiedziawszy się o tem monarcha, skazał na śmierć synów Lubomiry. Nieszczęśliwa matka udała się z prośbą do królowej Judyty, aby ocaliła życie młodzieńcom. Prośba jej odniosła pomyślny skutek, gdyż Judyta uprosiła urzędnika, aby do czasu trzymał Żelisława i Miłosława w więzieniu, mając nadzieję, że król ich później ułaskawi.

Razu pewnego podczas uczty król Bolesław bardzo był smutnym, ponieważ trapiła go myśl, że zbyt pospiesznie rozkazał ukarać śmiercią synów dzielnego rycerza. Odgadnęła to Judyta, dla tego tak się odezwała słodko do małżonka:

— Miłościwy mężu i panie mój: Pan Jezus zalecił nam cierpliwość i łagodność w postępowaniu z bliźnimi. A wy panie, bywacie częstokroć zbyt srogim. Srogość wywołuje srogość.

— To prawda, czasem sumienie udręcza mię za to, że karam zbyt surowo przestępców, wyrzekł król, skruszony dziwnie. Krew nie woda, człowiek unosi się gniewem i z tego bieda! przydał wzdychając.

— Ci dwaj bracia, synowie Lubomiry np. nie zasłużyli na karę śmierci, przyznajcie to sami, mój panie; podsunęła królewska małżonka.

— I to prawda, przyznał monarcha, wyznaję, iż stawali mi oni niejednokrotnie przed oczami.

— Na matkę ich spadła najcięższa kara, choć ona niewinną była... westchnęła Judyta. Co to za boleść dla matki, patrzeć na

taką śmierć synów! Ale cóżbyście powiedzieli na to, mój panie, przydała z uśmiechem, gdyby oni zmartwychwstali?

Król rozśmiał się.

— Dziwna jest twoja mowa, wyrzekł:

— Niedziwna to mowa, ciągnęła dalej małżonka, wcale nie dziwna. Synowie Lubomiry mogą zmartwychwstać na wasz rozkaz, miłościwy panie i mężu mój.

— A więc niech zmartwychwstaną! żartował król, niech zmartwychwstaną! Gotuję się na wojnę niemiecką, potrzeba mi wielu ludzi, radbym był, aby słowa twoje sprawdzić się mogły, Judyto!

Królowa nie odpowiedziała nic na to, ale twarz jej zajaśniała radością.

Żelisław z Miłosławem od pewnego czasu przebywali w zamku pomiędzy czeladzią dworską. Nędzny strój, zabrudzone z umysłu twarze, sprawiły, że nikt ich nie poznawał.

Królowa, po rozmowie powyżej opisanej z małżonkiem, przywołała ich, a ofiarowawszy im strojne szaty, kazała wykąpać, się, ubrać i zasiąść za stołem pańskim.

Bolesław podczas uczty bywał teraz smutny, jadł mało i nie częstował nikogo. Wszyscy biesiadnicy siedzieli także w milczeniu, nie śmiąc rozrywać się wesoło, gdy pan zachowywał żałobę. Wszystkie oczy zwracały się jednak w punkt jeden, i szeptano sobie z cicha i wskazywano kogoś. Bolesław rzucił okiem i przypomniał sobie słowa Judyty. Zmartwychwstali synowie Lubomiry siedzieli za stołem, zawstydzeni, trwożni. Król skinął na nich, aby się zbli-

żyli, a oni przypadłszy do nóg królewskich, wyznali kim są i opowiedzieli przygody swoje.

Chrobry wysłuchał do końca z łaskawą twarzą, a domyśliwszy się, za czyją sprawą cud zmartwychwstania stał się, poszedł do królowej, a za chwilę wrócił wesoły, uradowany.

— Stało się dobrze, wyrzekł, mieliście czas do pokuty i poprawy, spodziewam się, że nie powrócicie już do hultajskiego życia, jakie wiedliście dawniej. Oto idę na wojnę z Niemcami, potrzebuję ludzi, pójdziecie więc ze mną.

Żelisław z Miłosławem byli nad wyraz szczęśliwi z tego obrotu rzeczy; dziękowali królowi i królowej. Poszli na wojnę, a odznaczywszy się tam wielką śmiałością w boju, zostali przez króla pasowani na rycerzów. Zwano ich do śmierci zmartwychwstałymi mężami.

Bolesław wielki wstąpił na tron 992 r. Odebrał on Czechom Kraków i toczył liczne a szczęśliwe wojny. Zdobył wielkie miasto Kijów, stolicę Rusi. Wielką położył zasługę przez utwierdzenie chrześciaństwa; w tym celu zakładał kościoły i klasztory, oraz wezwał z Czech swego krewnego ś. Wojciecha, aby tenże utwierdzał lud polski w prawdziwej wierze. Umarł Bolesław w Poznaniu d. 17 Czerwca 1025 r., pochowany w kościele katedralnym. Przez cały rok nosili po nim Polacy i Polki żałobę.

Cztery piękne przykłady waleczności naszych przodków.

Za panowania Bolesława Wielkiego jeszcze tu owdzie panowało bałwochwalstwo, gdyż dla szczupłej liczby kapłanów, znających język polski, nie można było przekonać pogan o prawdziwości religii chrześciańskiej. Pewna liczba rycerzy, którzy nie chcieli porzucić czci starosłowiańskich bogów, zbudowała sobie na niedostępnej górze Łysej, dziś Świętokrzyzką zwanej, warowny zamek, gdzie się kłaniano fałszywym bożyszczom. Król Bolesław wezwał odpornych rycerzy, aby przyjęli chrześciaństwo i oddali zamek, ale usiłowania te nie odniosły pożądanego skutku. Dzielny monarcha postanowił siłą zbrojną przełamać opór, dla tego zebrawszy hufiec wojowników, wyruszył ku górze Łysej. Niełatwa to była sprawa, gdyż buntownicy byli dobrze uzbrojeni, a stroma góra nie dozwalała przystępu. Tem trudniejszą była walka, gdyż był to czas zimowy, a całą górę pokrywały śniegi i lody. Jeźdzcy pędzili śmiało pod górę, ale mając niepodkute konie, nie mogli podjechać pod mury warowni.

Poganie urągali się z wojska, wołając: „Jednego z was wybierzcie, coby chciał za Chrystusa waszego stoczyć pojedynek z rycerzem, którego wybierzemy.“ Wnet się zgłosił do boju pewien wojownik, zwany Jastrzębczykiem, gdyż używał jastrzębia na swej tarczy za godło. Wyznaczono miejsce do walki niedaleko zamku, ale rycerz nie mógł przybyć, gdyż koń jego na gładkim lodzie wciąż się potykał. Wielka ztąd panowała wesołość pomiędzy oblężonymi, a smutek w wojsku królewskiem.

Jastrzębczyk, pełen żarliwości dla świętej wiary, przemyśliwał nad sposobami, aby

mógł wjechać na szczyt góry. Razu pewnego zaszedł w las daleko zadumany. Wtem nagle doleci go odgłos młotu kowalskiego. Rycerz stanął, a po chwili ujrzał kowala, który się tak odezwał:

— Jakoś jesteście frasobliwi, panie rycerzu. Jakiż to smutek gniecie waszą duszę?

— Mój dobry człowieku, rzecze Jastrzębczyk, nie powiem wam nic o mym smutku, bo i tak mi nic nie poradzicie.

— Kto wie, odpowiedział kowal, ho, ho, z niejednego pieca chleb jadłem, byłem daleko w świecie, a za młodu wojowałem. Nad rzeką Cydyną pod dowództwem Mieczysława, rodzica naszego miłościwego króla, odebrałem tę kresę na twarzy.

— Witam kolegę rycerskiego rzemiosła. Nie będę taił, co mi dolega. Oto na tej górze zamknęli się wyznawcy starej wiary, a nie podobno do nich dojechać, gdyż lód okrutnie gładki. Mam się jutro stawić na pojedynek, a nie wiem, jak podjadę.

— Jeżeli nie chodzi o nic więcej, to mogę wam pomódz. Kiedym wojował w niemieckiej ziemi, widziałem, jak koniom przybijano pod nogi okrągłe kawałki żelaza, a wtedy konie szły bezpiecznie po śniegu i lodzie. Umiem podkuwać konie i mogę wam wnet kopyta waszego rumaka opatrzyć w podkowy.

Rycerz, nie namyślając się długo, poprosił o podkucie, a na drugi dzień istotnie podjechał na szczyt góry, gdzie stoczył pomyślną walkę z pogańskim wojownikiem, a powaliwszy go o ziemię, wziął w niewolą i przyprowadził przed króla. Opowiedział

też, jakiej zażył sztuki, żeby się dostać na wierzchołek Łysej góry. Król kazał zaraz zawołać kowala, aby tenże podkuwał konie wojowników. Kowal, sprowadziwszy kilku towarzyszy, zwijał się szybko, a wkrótce połowa hufca miała podkute konie. Z łatwością pod dowództwem Jastrzębczyka stanął oddział przed zamkiem rychło rano, a że nie było straży, przeto wtargnęli rycerze w wnętrze zamku, gdzie śpiących przeciwników częścią wysiekli, częścią pojmali w niewolę.

Za tę waleczność dodał król Bolesław Jastrzębczykowi do godła jastrząb podkowę z krzyżem. W taki sposób powstał herb Jastrzębiec, który przedstawia u góry na koronie jastrzębia, trzymającego w szponach podkowę z krzyżem, a na tarczy znajduje się większa podkowa z krzyżem. Jest to jeden z najstarszych i najwięcej rozpowszechnionych polskich herbów, którym się pieczętuje przeszło 300 rodów szlacheckich.

Pamiętał także dobry król Bolesław o kowalu, gdyż zamianował go królewskim podkuwaczem koni i wezwał do Gniezna, gdzie mu oddał ładny dworek i kawał ziemi. Wdzięczny kowal podkuwał konie polskiej jazdy, co się przyczyniało do odnoszenia zwycięztw.

Do wojska Bolesława Wielkiego wstąpił młody kmieć, zwany Trzaską. Był to chłop tak silny, że jednym zamachem szablicy przecinał kark wołowi. W pewnej bitwie otoczyli króla nieprzyjaciele. Groziło mu już wielkie niebezpieczeństwo, wtem dopada Trzaska i zaczyna mieczem siekać. Za każdem uderzeniem spadała głowa nieprzyjacielska na

ziemię. Zabił już sześciu wrogów, a pozostało jeszcze trzech żołnierzy. Zamierzy się Trzaska i rąbnie co siły potężnym mieczem, który jednakże uderzywszy o mocną zbroję, pęknął przy rękojeści. Król zaraz dobył swego miecza i podał Trzasce, a ten niedługo i owych trzech nieprzyjaciół na śmierć zarąbał. Ale i miecz królewski w ręku dzielnego kmiecia się przełamał. Król pochwalił Trzaskę i nadał mu herb szlachecki, zwany Trzaską. W herbie tem widzimy na dole dwa niecałe miecze z rękojeściami, które się schodzą, a w tem miejscu znajduje się półksiężyc. Wyżej hełm i korona, a nad nią pawi ogon, w którym znowu wyrażone dwa miecze z krzyżami i półksiężycem.

Jeden z Trzasków założył klasztor księży Benedyktynów w Lubiniu pod Grodziskiem w Wielkopolsce. Klasztor ten na pamiątkę swego założyciela pieczętował się herbem Trzaską.

Z powyższego opowiadania przekonujemy się, że szlachta polska powstała z kmieci. Gdy się jaki włościanin odznaczył walecznym czynem, odbierał herb i szlachectwo. Potomkowie tych uszlachconych kmieci używali praw szlacheckich i tak z czasem powstała szlachta, która z początku obchodziła się dobrze z wieśniakami, dopiero w ostatnich czasach popełniła w tym względzie wiele błędów.

Nie trzeba ciskać lekkomyślnie kamieniem na szlachtę, gdyż chociaż można jej niejedno zarzucić, przecież z drugiej strony nie podobna jej odmówić męztwa, ofiarności i poświęcenia dla ojczyzny.

Odznaczył się też w tych czasach niezwykłem męztwem i przytomnością umysłu

giermek Jan, zwany później Strzemieńczykiem. Wyruszył on z królem 1018 r. do Kijowa. D. 22 Lipca przyszło do bitwy nad rzeką Bugiem pomiędzy wojskiem polskiem a księciem ruskim Jarosławem, który zgromadził nieprzeliczone mnóstwo Rusinów i Waregów. Bitwa była bardzo zacięta, gdyż nieprzyjaciele mieli liczebną przewagę. Jan Strzemieńczyk dokazywał cudów waleczności, dla tego wkrótce stał się postrachem Rusinów. Wtem, kiedy uderza na samego księcia Jarosława, ubito mu konia. Wojownik pada na ziemię nieuszkodzony, ale nie mógł zaraz powstać, gdyż nietylko go koń przywalił swoim ciężarem, ale jeszcze na dobitkę złego zaplątały mu się nogi w strzemiona. Nieprzyjaciela dopadają i byliby go na miejscu rozsiekali, gdyby był Jan stracił przytomność umysłu. Ale ten urwał strzemię z rzemieniem i ugodził tak potężnie jednego z nacierających, że zabił go na miejscu. Zręcznym rzutem powstał z ziemi, a dosiadłszy rumaka nieprzyjacielskiego, zaczął walić potężnie strzemieniem napastników. Zabił jeszcze jednego, kilku zranił, a jednego zabrawszy w niewolę, przyprowadził przed króla. Ucieszył się Bolesław Wielki na widok takiego męztwa, to też pochwalił żołnierza i dał mu za herb strzemię, którego po dziś dzień używa kilkadziesiąt rodów szlacheckich.

W kilkadziesiąt lat później sprawił się podobnie na Rusi rotmistrz Radwan, wojując pod Bolesławem Śmiałym, prawnukiem Bolesława Wielkiego. Ten Radwan wysłany był z małym hufcem żołnierzy na zwiady.

Wtem trafia na obóz nieprzyjacielski. Mężny Radwan śmiało uderza, choć przeciwnicy dziesięćkroć byli silniejsi liczbą. Nie dziw też, że został odparty, a nawet zabrano mu chorągiew. Kto inny straciłby może ducha, ale nasz Radwan pobiegł szybko do pobliskiego kościoła, pochwycił za chorągiew kościelną i zgromadził rozpierzchłe rycerstwo. Uderza znowu. Nieprzyjaciel sądząc, że nowy zastęp polski przybył na pomoc, zaczyna uciekać, a Radwan zatrzymuje plac boju. Za ten czyn dzielny król nadał mu chorągiew za herb, tj. godło szlachectwa.

Takie to męztwo ożywiało naszych przodków w wieku XI., tj. w czasie od r. 1000 do 1100. To też Bolesław Wielki zdobywał liczne ziemie i przyłączał do Polski, a wnuk jego Bolesław Śmiały walczył z powodzeniem na Rusi, w Czechach i Węgrzech, roznosząc sławę polskiego imienia w tych postronnych krajach.

Grosz wdowy.

Legenda z czasów Bolesława Wielkiego.

Trudem schylony w pocie ochrzcony,
Maluczki tutaj, a wielki w niebie;
Poczciwy ludu, posłuchaj cudu,
Jakim Bóg niegdyś zaszczycił ciebie.

Niech z tej powieści, żałosnej treści,
Nadzieją błyśnie słomiana strzecha;
Niech się rozpłynie w całej krainie,
Cześć Bogu, sercom prostym pociecha.

Czasu onego, z kraju czeskiego
Przyszedł mąż święty na pruską ziemię;
I z wiarą żywą Chrystusa żniwo
Rozpoczął, ucząc pogańskie plemię.

Gardzono zawdy nasieniem prawdy,
Lecz krwią zroszone zakwitło wszędzie!
Przecież moc piekła i tutaj rzekła:
„Zabijmy prawdę, a ciemność będzie.“

I tak się stało, jak piekło chciało.
Już święty Wojciech w świetnej koronie,
W niebieskim progu modli się Bogu
Za tych, co w jego krwi broczą dłonie.

Napróżno wierni, z rąk dzikiej czerni
Chcą ciało święte wydrzeć zniewadze;
Czerń chciwa łupu, woła okupu,
Złota równego ciału na wadze.

Ciesz się zapłatą! zdobycz bogatą
Już ci prowadzą od tej tu strony;
Bolesław Chrobry, mężny a dobry,
Kupi tę gwiazdę do swej korony.

Już są, stanęli — już okup zdjęli;
Skrzynia potężna, złotem nabita.
Na lewą szalę sypią wciąż... ale
Prawa tak leży, jak w ziemię wbita.

Tylko z niebiosy, jakoweś głosy
Zabrzmiały pieniem rzewnem, wspaniałem,
Jakby anieli, z nieba zlecieli,
I zawisnęli nad świętem ciałem.

Więc znowu sypią, łańcuchy skrzypią,
Szala pod złotem gnie się jak karta;
Na drugiej z ciała taki blask pała,
Że słońce blednie; ta stoi wsparta.

Więc sypią dalej, na lewej szali;
Lecz coraz wolniej, coraz to bladną;
Już wszystko... biada! waga nie spada;
I od podziwu na twarz upadną.

A inni dłonie ku swojej stronie
Łamiąc, wołają: „Spiesz, królu dobry!“

Nie spiesz, ja radzę, bo na tej wadze
 Przegrałbyś państwo i miecz twój chrobry.
Potem krzyż święty, pierścienie, sprzęty,
 Rzuca kto może, modli kto może,
Lecz znamię krzyża wagi nie zniża,
 Ni ślubny pierścień, ni słowo Boże.
A więc pogany i chrześciany
 Zbladłe, milczące postrach zdjął srogi;
Tylko w niebiosy ciche szły głosy,
 Niby rozpaczy, modłów i trwogi.
Już wrzawa wzrasta... a wtem niewiasta.
 Z pośrodku ludu rozpycha zgraję;
Z zamkniętą dłonią, z promienną skronią,
 Z wniesionem okiem przed wagą staje.
I w szczerej wierze w dwa palce bierze
 Pieniążek złoty, drobny jak plewa,
I taki mały, tak lekki cały,
 Że go wiatr powiał, jak listek z drzewa.
I ten z ochotą rzuca na złoto.
 Cudo!... jak z wiosną lodów okowy,
Runęło złoto i pierzchło w błoto;
 A na dnie szali został grosz wdowy!
Ciało zaś święte, w górę dźwignięte,
 Jako gołąbek zatacza koła;
A blask zeń bije, że lud twarz kryje,
 Chyląc ku ziemi pokorne czoła.
I znów w niebiosy słodkiemi głosy
 Zabrzmiała nuta rzewna, wspaniała;
Jakby anieli w niebo wzlecieli,
 Śpiewając: chwała! o chwała! chwała!

J. N. Jaśkowski.

UWAGA. Powyższą legendę opowiada lud polski. Legenda jest to opowiadanie pobożnej treści, zawierające piękną naukę. Nie jest nikt obowiązanym, aby wierzyć w prawdziwość legendy, ale z drugiej strony Kościół katolicki nie potępia podobnych opowiadań, jak owa legenda o ś. Wojciechu. Dowodu piśmiennego, że owa niewiasta wydała ostatni pieniądz na wykupienie ciała ś. Męczennika, nie ma wprawdzie, ale cud podobny jest możliwym, gdyż Bóg ceni wysoko ofiarę jakąkolwiek ludzi biednych.

Żołnierz polski ocala życie Kazimierzowi Odnowicielowi.

Po zgonie Bolesława Wielkiego objął rządy 1025 r. Mieczysław II, który tylko 9 lat panował. Po jego śmierci rządziła pewien czas żona Ryxa, ale gdy się naród na nią oburzył z powodu złych rządów, wtedy ustąpiła z kraju, zabierając z sobą młodocianego syna Kazimierza.

Nastąpiło bezkrólewie. Polska poniosła w owym czasie wielkie klęski, gdyż lud wiejski, jeszcze niedostatecznie w nauce Chrystusa utwierdzony, burzył w wielu miejscach kościoły, a postronni nieprzyjaciele mieczem i ogniem niszczyli nasz kraj ojczysty. W r. 1040 wrócił do Polski młody Kazimierz, który na nowo wprowadził porządek i prawo, przytem budował zburzone kościoły i gromił wrogów. Trudne było jego stanowisko. Na Mazowszu zgromadził liczne siły Masław, syn kmiecia, który władał jak udzielny książę. Kazimierz wezwał go do posłuszeństwa, a gdy Masław dał mu hardą odpowiedź, zebrał król wojsko i wyruszył przeciw buntownikowi. Masław zgromadził daleko więcej żołnierzy, dla tego też walka była uporczywą. W stanowczej bitwie długo się chyliła szala zwycięztwa. Sam król został przez

nieprzyjaciół obskoczony i o mały włos byłby utracił życie. Wtedy prosty wojak, imieniem Piotr, uzbrojeny dzidą, pospieszył na pomoc chwiejącemu się królowi. Uderzenie było potężne, gdyż Piotr powalił na ziemię trzech nieprzyjaciół, a żołnierzowi, który się zamierzył mieczem na króla, aby mu zadać cios śmiertelny, uciął od razu rękę. Rzucą się wrogi na dzielnego wiarusa, ale ten nadludzką niejako siłą obdarzony, dokazywał cudów męztwa, zadając naokół śmiertelne razy. Jednakże w końcu zaczęła płużyć krew obficie z ran walecznego wojownika, a niewiele brakło, że byłby ducha wyzionął; wtem nadbiega pomoc, która ocala króla i Piotra od śmierci niechybnej. Wtedy zachwiały się szeregi Masława, a wkrótce zaczęła się bezładna ucieczka. Kazimierz odniósł walne zwycięztwo.

Nie zapomniał Kazimierz o dzielnym obrońcy, gdyż nietylko go obdarzył na pamiątkę złotym łańcuchem, ale darował mu prócz tego na wieczystą własność kilka łanów ziemi w okolicach Poznania. Piotr się ożenił i doczekał się jeszcze tej pociechy, że jeden z jego synów został ozdobiony godnością kanonika katedry gnieźnieńskiej, a drugi walczył na Rusi pod królem Bolesławem Śmiałym, synem Kazimierza. Jeszcze w późnym wieku opowiadał Piotr swoim wnukom o przygodach młodości a mianowicie o tem, że ocalił królowi życie.

Kazimierz umarł w Poznaniu 1054 r., licząc dopiero 42 lata. Uzyskał chlubny przydomek Odnowiciela, gdyż on istotnie odnowił niejako naszą ojczyznę.

Który z królów polskich daje piękny wzór miłości dla rodziców?

Do najdzielniejszych królów polskich należy Bolesław Krzywousty, syn Władysława Hermana, a wnuk Kazimierza Odnowiciela. Wygrał on 47 bitew, walcząc mężnie przeciw Pomorzanom, Niemcom, Czechom, Rusinom i Węgrom. Bolesław liczył dopiero lat jednaście, a już dosiadał konia i brał udział w walce przeciw wrogom Polski. Nie samem jednakże odznaczał się męztwem wojennem, gdyż zdobiły go także cnoty pokojowe, a mianowicie pobożność, usiłowanie o wzrost chwały Bożej i cześć dla rodziców. Bolesław miał szczególne nabożeństwo do ś. Wojciecha, Patrona Korony Polskiej, dla tego odprawiał częste pielgrzymki do Gniezna, gdzie spoczywają śmiertelne szczątki Świętego Męczennika, zawieszał nad jego grobem zdobyte na nieprzyjaciołach Polski chorągwie i sprawił złotą trumienkę dla kości ś. Wojciecha, którą później przerobiono na relikwiarz, kryjący głowę ś. Męża.

Przedewszystkiem Bolesław czcił i kochał rodziców. Rzadka to dziś zaiste, a można śmiało powiedzieć, że mało rozpowszechniona cnota, choć Bóg tym, którzy szanują rodziców i są im posłuszni, udziela długiego życia i innych darów. Inaczej sobie postępował Bolesław, aniżeli znaczna część dzisiejszej polskiej młodzieży. Jeszcze był małem pacholęciem, a już był posłusznym na każde skinienie rodzica Władysława i matki Judyty, oraz starał się usilnie, aby ich nie martwić złemi postępkami. Kiedy

umarł ojciec Władysław, wdzięczny syn pięć lat po jego śmierci ubierał się w żałobne szaty, a przez całe życie nosił jego obraz na piersiach. Wpatrywał się często w ten wizerunek, mawiając: „Niech mnie Bóg zachowa, żebym jakim złym czynem miał splamić pamięć mego ojca.“

Chłopczyki polskie i dziewczęta polskie, czyż będzie dla was obojętnym przykład wielkiego króla? Naśladujcie jego miłość, cześć i posłuszeństwo dla ojca i matki. Bądźcie im posłuszni w młodości, a gdy dorośniecie, bądźcie podporą ich starości. Jeżeli wasi rodzice nie będą mieli dostatecznego utrzymania, wspomagajcie ich pracą rąk swoich. Nie okazujcie im chmurnej, nieprzyjemnej twarzy. Dobry Bóg błogosławić wam będzie, jeżeli czwarte przykazanie Boże gorliwie spełniać będziecie.

Nieznany bohater z czasów Bolesława Krzywoustego.

Wielką zjednał sobie Bolesław Krzywousty zasługę, że zaszczepił chrześciaństwo na Pomorzu, tj. w dzisiejszej Pomeranii, gdzie leżą miasta Szczecin, Kamień i Kołobrzeg. Już Bolesław wielki starał się w tej krainie zaprowadzić wiarę Chrystusową, dla tego założył Biskupstwo w Kołobrzegu, ale po jego zgonie znowu pogaństwo wzięło górę. Bolesław Krzywousty, powziąwszy szlachetny zamiar nawrócenia Pomorzan, wezwał ś. Otona, biskupa w Bambergu, aby opowiadał słowo Boże w nadmorskiej krainie. Usłuchał tego wezwania święty biskup, gdyż zdawało mu

się, że sam Bóg przemawia do niego ustami króla, dla tego udał się na dwór monarchy polskiego, który dodał mu do pomocy księży, tłomaczy i obrońców, oraz obdarzył go kosztownemi szatami kościelnemi i naczyniami. Biskup Oton pozyskał w niedługim czasie całe Pomorze dla Chrystusa, gdyż bałwochwalnie pogańskie zostały zniszczone, a natomiast w jednym roku wzniesiono 11 kościołów. Stało się to 1024 r. W cztery lata później jeszcze raz udał się ś. Oton na Pomorze, dowiedziawszy się, że chrześciaństwo podupada i wtedy to założył biskupstwo w Wolinie, przeniesione później do Kamienia.

W tych pobożnych wyprawach odznaczył się żołnierz Paweł, który towarzyszył świętemu Mężowi, kierował jego krokami, zasłaniał go od niebezpieczeństw i dopomagał w opowiadaniu słowa Bożego. Wielkie są zasługi tego Pawła i gdyby nie jego szlachetna pomoc, nie byłby dokonał ś. biskup wiekopomnego dzieła. Oto co pisze o tym żołnierzu A. Oleszczyński w „Wspomnieniu o Polakach, co słynęli w obcych i odległych krajach.“

„Paweł kieruje krokami świętego Biskupa, poprzedza go wszędzie i przysposabia umysły mieszkańców. W Pierzyskach, mieście pogranicznem Pomorza, orszak przybywa w sam dzień uroczystości krajowej. Paweł sam staje pośród tłumu i przemawia: „Mąż Boży jest blisko, przynosi wam słowo święte, a potężny i bogaty niczego od was prócz zbawienia dusz waszych nie żąda. Pomni na przysięgę, świeżo wykonaną Bo-

lesławowi, pomni na miecz jego zwycięzki, który jest mieczem Boga, zaproście Apostoła, aby wstąpił w progi domów waszych i wyrazy ust jego do serc waszych przyjmijcie.“

Lud zdziwiony żąda czasu do namysłu, ale Paweł woła: „Każda chwila jest droga, gdzie idzie o zbawienie wasze, czyńcie bez zwłoki co wam Bóg rozkazuje.“ Żarliwe wyrazy żołnierza, jako promień łaski Bożej, wnikają w serca pogańskie, to też cały tłum, głęboko wzruszony, zawołał w uniesieniu: „Idźmy, idźmy, gdzie nas nowe oczekuje życie.“ Biskup przybywa i przygotowaną ludność wodą chrztu oblewa.

W Julinie lud wzburzony namiętnemi podmowami oblega zamek, do którego schronił się Apostół i żąda jego głowy. Paweł przemawia do szaleńców na próżno; myśli więc tylko jakby ocalić biskupa, dla tego uprowadza go z zamku. Tysiąc rąk im zagraża, już świętokradzkie żelazo zraniło Otona, upada na ziemię; księża polscy zasłaniają go swojem ciałem, stawiając nieprzełamany mur krwawej wściekłości pospólstwa; Paweł porywa na ręce biskupa i unosi go daleko od miasta.

W Szczecinie książę Wrocisław, osadzony przez Bolesława, sprzyja misyonarzom, ale mieszkańcy odrzucają wszelką myśl nawrócenia, chybaby król Bolesław zmniejszył podatki i dał im rękojmię niewzruszonego pokoju. Niestrudzony Paweł udaje się do króla i przynosi list, zapewniający opiekę i zmniejszenie daniny. Wtedy lud z zapałem przyjmuje chrzest święty, a dzieło na-

wrócenia zostało spełnione. Paweł, nie mniej szczytny w swojej skromności, jak nim był w czynach, wraca spokojnie do swego ustronia. Kapłan cudzoziemiec, który opisał dzieje nawrócenia Pomorza, sam tylko przechował jego pamiątkę. Kroniki polskie zaledwie wspomniały o tym żołnierzu Chrystusa. Jaki był ród jego? jaka herbowna tarcza? gdzie wiek swój spędził? gdzie życia dokonał? Na te pytania nie ma odpowiedzi. Po wszystkie czasy historya troskliwiej zapisuje zbrodnie i klęski człowieka, jak jego dobrodziejstwa i cnoty.“

Bohaterem zowie się mężny wojownik, który poświęca życie dla kraju i dla przeprowadzenia wielkich celów. Większe jest przecież bohaterstwo pokojowe, jakie okazał żołnierz Paweł, który nie używał broni, ale łagodnością uspakajał rozjuszone tłumy. Życie własne narażał, aby ocalić ś. biskupa. Pamiętajcie, że dobre, łagodne słowo lepiej gasi, aniżeli wiadro wody.

Bolesław Krzywousty zdobywa Białogród.

Adam Naruszewicz w pięknym dziele: „Historya narodu polskiego,“ które mianowicie dojrzalszej młodzieży usilnie polecić można, opisuje następnemi słowy oblężenie i zdobycie przez Bolesława Białogrodu, warownego grodu na Pomorzu:

„Szczęściło się Skarbimirowi*) w Pomeranii: wiele miast i powiatów upokorzonych czyniło nadzieję, że wkrótce ten naród zu-

*) Był to dzielny hetman za czasów Bolesława Krzywoustego

pełnie miał być do poddaństwa przywrócony. Było wówczas miasto Białogród w ludzi i w bogactwa zamożne, środek między miastami pomorskiemi utrzymujące: bliskość morza i Odry wnosiła do niego liczne dostatki. Król, wszedłszy do Pomeranii, chcąc upornych postrachem oręża do poddania się dobrowolnego zniewolić, najprzód spustoszył okolice, potem posłał oblężonym dwa puklerze do wyboru, z których czerwony wojnę, biały pokój oznaczał. Odpowiedziano dumnie, że biała tarcza wtenczas im żądany pokój ubezpieczy, gdy się krwią polską ufarbuje. Obie więc strony gotowały się do boju. Rozłożył król wojsko około zamku, dzieląc między rycerstwo robotę, kto czego miał pilnować. Kazał gotować mosty i faszyny na zrównanie przekopów. Sporządzono komory dla zasłony podkopców, zbudowano wieże z mostami zwodzonemi, za pomocą których wiszące u dołu tarany miały tłuc mury, a stojący na górnych pokrywach żołnierz, mógł wpadać na nie i oblężonych pociskami zganiać. Skoro zrównano fosy i podciągniono gotowe machiny, każdy się wziął do wyznaczonej pracy. Bito zewsząd potężnemi belkami, puszczano z kusz rozmaitą strzelbę, gdy tymczasem nieprzyjaciel czyniąc z miasta mocny odpór, ile tylko odwaga, rozpacz i gniewy dodawały sposobów, kamieniami, grotami, owszem wrzącą smołą żołnierstwo raził. Za osłabieniem murów, postawił Bolesław naokoło gęstych strzelców, tak dla gotowości w czasie wycieczki, jak dla posiłku swoich, którzy do miasta wpadać mieli. Sam na czele prze-

brańszych skoczył najpierwszy z tarczą na głowie, a siekierą w ręku, ani pierwej ustąpił, aż wywaliwszy część bramy, wpadł do otwartego miasta. Rzuciło się za królem rycerstwo, siekąc bez braku pałaszami, kto się tylko nawinął; więc gdy wkrótce inni żołnierze potłukłszy ze wszech stron mury, z nim się złączyli, zlękło się miasto zwykłej zajuszonemu, a łakomemu zwycięzcy zapalczywości. Pomiarkowany w szczęściu Bolesław, wspomniał na to, że miał z nieprzyjaciół i pogan uczynić obywateli i chrześcian, czego najwięcej żądał. Zastanowił wzniesione na rzeź miecze, zmiękczony żałosnym widokiem wychodzących przeciwko sobie mieszczan, a z żonami i dziećmi do nóg mściciela rzucających się. Osądziwszy się sami godnymi kar najsurowszych, odnieśli darowane winy i łaskawość. Zostawiony każdy obywatel przy swoim majątku i pod dawną zwierzchnością.“

Piękny czyn w Gąsawie 1227 r.

Gąsawa i Rogoźno, dwa miasta wielkopolskie, słyną w dziejach naszego narodu, gdyż były one świadkami zabójstwa dwóch polskich monarchów. W Gąsawie 1227 r. został zamordowany Leszek Biały, a w Rogoźnie 1296 r. poniósł śmierć zdradziecką Przemysław, który niedawno ozdobił swe czoło królewską koroną.

Leszek Biały był synem Kazimierza Sprawiedliwego, a wnukiem Bolesława Krzywoustego. Wiadomo, że Leszek wolał odrzucić ofiarowaną sobie koronę polską, aniżeli

oddalić od siebie swego opiekuna i przyjaciela Goworka. Trudne było położenie Leszka, gdyż wskutek podziału Polski przez Krzywoustego kraj nasz ojczysty został bardzo osłabiony. Równocześnie panowało w Polsce czterech książąt, tj. w Ślązku Henryk Brodaty, w Wielkopolsce Władysław Odonicz, w Mazowszu książę Konrad, a w Małopolsce władał Leszek Biały, mający wprawdzie zwierzchniczą władzę nad pojedyńczemi częściami, ale tej władzy nie chcieli uznać polscy książęta. Na dobitkę niedoli Świętopełk, starosta, tj. najwyższy urzędnik w ziemi pomorskiej, dążył do niepodległości. Leszek dla załatwienia sporów zawołał wiec do Gąsawy, dokąd miał też przybyć Świętopełk, starosta Pomorza. Tenże przeczuwszy, że czeka go złożenie z urzędu i więzienie, zwlekał przybycie a ukrywszy niedaleko zastęp żołnierzy, dowiadywał się przez zaufanych ludzi o tem, co się dzieje w Gąsawie. Doniesiono mu, że Leszek Biały i Henryk Brodaty, książę wrocławski, nie spodziewając się żadnej zdrady często się kąpią w łaźni. Świętopełk, upatrzywszy stosowną chwilę, wpadł niespodziewanie na czele silnego oddziału Pomorzan do Gąsawy, gdzie wyciął w pień wojsko polskie. Przestrzeżony Leszek o niebezpieczeństwie, dopadł na pół ubrany konia i zaczął uciekać w kierunku Gniezna. Pomorzanie ścigali go, a dogoniwszy pod wsią Marcinkowem, zabili księcia. Droga, którą uciekał Leszek, zowie się dotąd królewską, a przy wsi Marcinkowie w tem miejscu, gdzie został monarcha polski zabity, wznosi się krzyż, ale nie ma żadnego

napisu, którybу przechodniowi głosił o smutnym wypadku.

Henryk Brodaty nie zdążył ujść z łaźni. Dzikie żołdactwo wpada do kąpieli i szuka księcia. Wtedy szlachetny sługa, którego imię nie dochowało się potomności, zasłania własnem ciałem swego pana. Pomorzanie sądząc, że to jest Henryk, rozsiekali dworzanina, a księcia zranili. Po odjeździe Pomorzan przybyli litościwi mieszczanie, a obmywszy rany, zatamowali krew biegnącą. Henryk Brodaty odzyskał wkrótce zdrowie i udał się do Ślązka. Poświęcenie zatem zacnego sługi ocaliło mu życie.

Małżonką Henryka była ś. Jadwiga, Patronka Polski i Ślązka. Bogobojna niewiasta niezawodnie gorącemi modlitwami uprosiła dla męża łaskę, że uszedł grożącego mu niebezpieczeństwa.

Dziś Gąsawa jest małą mieściną. Ktokolwiek ją zwiedzi lub zobaczy jej nazwę na mapie, niech pamięta o pięknym czynie służącego, który położył życie za swego pana. Takie przykłady nie często na świecie zachodzą.

W bliskości Gąsawy leży wieś Wenecya nad jeziorem, a na łące w pobliżu znajdują się gruzy zamku, który zapewne już istniał za czasów Leszka Białego.

Słówko o Ś. Jadwidze.

Ś. Jadwiga, po zgonie swego małżonka osiadła w klasztorze Trzebnicy. Dowiedziawszy się, że Tatarzy po złupieniu Polski zbliżają się do Ślązka, chwyciła za miecz

a podając go synowi, wyrzekła te wiekopomne słowa: „Kochany synu! Chceszli, bym się nie wstydziła, żem jest twoją matką, spiesz na ratunek ojczyzny.“

Henryk Pobożny, zagrzany słowami matki, która była księżną Ślązka i Polski, wyruszył pod Lignicę, gdzie położył życie 1241 r. za wiarę i ojczyznę. Bitwa była krwawą, chrześcianie zostali pobici, ale Tatarzy tyle utracili wojska, że się cofnęli. Ś. Jadwiga, dowiedziawszy się o śmierci syna, zgromiła synową, że opłakiwała zgon małżonka. Ś. Jadwiga jest zaiste dla nas pięknym wzorem i zachętą, aby miłować ojczyznę i pracować dla jej dobra. Do tej Świętej naszej Patronki i do jej syna słusznie można zastósować następne słowa Piotra Kochanowskiego:

Dla wiary wszystko uczynić się godzi,
I dla ojczyzny, bo to społem chodzi.

Lud ślązki opowiada następną dziwnie piękną legendę o śpiącym wojsku ś. Jadwigi pod kościołem w Trzebnicy. Za bardzo dawnych czasów przybyli pod Trzebnicę Turcy z ogromnem wojskiem, domagając się, aby Polacy przeszli na ich wiarę, a kościół na turecki zamienili. Polacy, choć ich była mała garstka, że zaledwo jeden z nich był na dziesięciu Turków, bili się tak dzielnie, że odnieśli zwycięztwo. Ale z Polaków tylko jedyny dowódzca został przy życiu. Ś. Jadwiga uprosiła u Matki Boskiej, że zranionemu wodzowi wróciła zdrowie, a wszystkim za wiarę świętą poległym śmierć na sen zamieniła. Leżą oni wszyscy w ogromnej jaskini pod trzebnickiem kościołem; śpią twardo, ale żyją. Sam jeden dowódzca nie śpi; siedząc na kamieniu, odmawia różaniec. Dawniejszemi czasy jaskinia ta nie była bardzo głęboko pod ziemią, a pewna dziewczyna weszła przypadkiem do jaskini. Zobaczywszy śpiących rycerzy, zlękła się; dowódzca kazał się jej niczego nie bać, ostrzegł tylko, aby wychodząc, nie poruszyła dzwonu u wnijścia wiszącego. Płocha dziewczyna umyślnie go poruszła, a na dźwięk dzwonu wszyscy wojacy powstali ze snu i stanęli pod bronią. Wódz rozgniewany zamknął się z wojskiem głębiej w ziemi i odtąd nikt tej jaskini znaleźć nie może. Ale kiedy będzie wojna o wiarę, dowódzca sam w dzwon uderzy, a śpiący rycerze wstaną i zwyciężą.

Piękne to podanie ludu ślązkiego, zawierające myśl, że piękne czyny przeszłości nie zaginęły, ale owszem i dziś wpływ wywierają i później wywierać go będą, powstało niezawodnie pod wrażeniem przemówienia ś. Jadwigi do syna.

Przy wsi Pempowie w W. Ks. Poznańskiem zajduje się kamień z wydrążeniem stopy ludzkiej. Włościanie okoliczni twierdzą, że ś. Jadwiga, przechodząc przez wodę, oparła nogę na kamień, a zaraz wyrył się ślad jej stopy.

Ksiądz Adam.

Legenda z roku 1246.

Był w Franciszkanów świętym zakonie
Mąż z cnotliwego żywota znan;

Czciły go ludy, i sam na tronie
Polski go cenił i wielbił pan.

Choć umiłował pokorę, skromność,
Cnoty swe tulił w klasztorny cień;
Ale Bóg zrządził, późna potomność,
Żywota jego ogłasza pień.

Na imię Adam: on się przerażał,
Słysząc o błędach pogańskich wieść;
Błaga starszego, by mu rozkazał,
Ciemnym naukę Chrystusa nieść.

I szedł na północ w kraje dalekie,
Gdzie się Prusaków zasiedlił lud;
Przybył nad Wisłę, i Wisłę, rzekę
Głęboką, przeszedł szczęśliwie w bród. —

Drogą znużony, nie brał spoczynku,
Skoro wszedł w miasto, a wieczór był,
Napotkał mnogo ludu na rynku,
W środku się ogień chróstowy tlił.

A w koło ognia, chłopców i dziewek,
Mnóstwo splątanych skakało par,
Przy głosie rogów i dzikich śpiewek,
Chróstem drażniło ognisty żar.

Skoro ucichły, śpiewy i gwary,
Wielebny Adam podniósł swój głos,
I mówiąc słowo Chrystusa wiary,
Runął na święty Prusaków stós.

Zdziwiona zgraja, patrzy i pyta,
Z jakiego kraju dziwny ten człek?
Poznał kapłana stary wróżbita,
I wściekłym gniewem miotany rzekł:

„To kapłan! nową niesie wam wiarę,
„On bluźni Bogom, na ogień z nim,
„Bogom uczynim godną ofiarę,
„Gdy jego popiół rozniesie dym.“

Ledwie wymówił rozkaz wróżbita,
Budzi się w ciżbie, okrzyk i gwar,
Przypada zgraja, kapłana chwyta
I wrzuca w ognia okropny żar.

Lecz płomień wiatrem z góry ciśnięty,
Upadł i dołem wił się jak wąż;
I stał śród ognia, ogniem nietknięty,
Na stosie Adam, pobożny mąż.

Zaszumiał wicher, w płomienie dmuchnął,
I tam, gdzie stary wróżbita stał,
Lawą gorącą i iskrą buchnął,
Spojrzeć — wróżbita ogniem już tlał.

A kapłan cały stoi w płomieniach,
Z głowy mu jeden nie spłonął włos,
I chwalił Boga w pobożnych pieniach,
I do zdziwionych podnosi głos.

A słowa jego ciekawie słucha
Dziwem i trwogą przejęty lud;
I słowo wchodzi do ludu ucha,
Bo serce ludu otworzył cud.

I jeszcze w nocy nad brzegiem Wisły
Do chrztu gotowy stał ludu ścisk,
A skoro ranne zorze zabłysły,
Nad miastem krzyża ujrzałeś błysk.

Konik zwierzyniecki w Krakowie.

Krwawo w dziejach Polski zapisali się Tatarzy, którzy prawie pięć set lat od 1241 do 1696 r. kraj nasz łupili. Palili oni wsie i miasta, zabierali drogocenne sprzęty i ludzi w niewolę, czyli w jasyr, podług ich mowy. W r. 1287 uprowadzili 20,000 Polek w niewolę. Tatarzy byli zatem straszną klęską dla Polski.

Było to 1281 r., kiedy za panowania Leszka Czarnego posunęli się Tatarzy pod mury Krakowa. Właśnie odbywała się w oktawę Bożego Ciała uroczysta procesya, gdy nagle rozległ się złowrogi okrzyk: „Tatarzy, Tatarzy.“ Wszystko co żyło zaczęło uciekać. Byłaby cała ludność Krakowa zginęła, gdyby nie odwaga włóczków. Nazwę tę nosili ludzie, którzy spławiali drzewo na Wiśle; oprócz tego trudnili się rybołóstwem. Oto nagle wystąpił jeden z włóczków, a pochwyciwszy chorągiew, zawołał silnym głosem: „Hej bracia w Imię Boże! uderzmy na tych zbojców, którzy pustoszą naszą ziemię.“ Dzielni włóczkowie uzbroili się na prędce, jak mogli, i rzucili się z całą zajadłością na wrogów. Długo trwała walka. Krakowianie i Krakowianki zwracali z niespokojem oczy w tę stronę, zkąd ich dochodził szczęk bitwy. Już wieczór zapadał, gdy nagle wkroczył Tatar na koniu a za nim mnóztwo tatarskich żołnierzy. Lud wydał okrzyk rozpaczy, sądząc, że już zbliża się ostateczna klęska. Wkrótce przestrach zamienił się na wesele, gdyż byli to włóczkowie, którzy się ubrali w tatarskie szaty. Trudno opisać radość, jaka zapanowała w Krakowie. Odtąd co rok święcono pamiątkę pobicia Tatarów uroczystością ludową, która się zawsze odbywa w ostatnią oktawę Bożego Ciała. Po ukończeniu ostatniej procesyi występuje na udanym koniu jeden z włóczków, przebrany za Tatara, wywijając buławą. Niejeden i niejedna odbierają uderzenia, ale to nic nie boli, gdyż buława jest wydęta powietrzem. Ponieważ

ów przebrany Tatar wyjeżdża z Zwierzyńca, gdzie się wznosi klasztor Norbertanek, przeto uroczystość ta ludowa zwała i zwie się „konikiem zwierzynieckim.“ Zwyczaj ten przechował się od przeszło 600 lat, zatem stał się drogim ludowi krakowskiemu. Poeta Edmund Wasilewski w te się odzywa słowa o „Koniku:“

W tatarskiem ubraniu, na tatarskim koniu,
Przypatrz się, jak włóczek harcuje po błoniu.
Jak wtedy harcował, do dziś dnia harcuje,
Bo pamiątkę jego każdy z nas szanuje,
Każdy z nas szanuje, a kto się zapiera
Pamiątki swych ojców, tym wiatr poniewiera.

Poświęcenie za kraj ruskiej książniczki.

Gdy hordy mongolskiej dziczy, opuściwszy siedziby swoje na Chin granicach, srogie pod groźnym Batu Kanem, ich wodzem, w głąb Rusi zapuszczały zagony, wszystko uległo ich okrucieństwu; płonęły wsie i miasteczka, a ludzie płci obojej w niewolę zabrani pod ciężkiem jęczeli jarzmem. Truchleli wszyscy na wieść, że dziki tatarzyn się zbliża, uchodzili książęta i możni do twierdz i zamków, opuszczał rólnik nizkie swe strzechy, z unosząc życie i wolność, krył się w lasach niedostępnych. W powszechnej tej trwodze podstąpił Batu Kan pod obronny Czerniechów, w którym się zamknął książę ruski z swą rodziną.

Jak zwierz krwi syty na chwilę czasem dzikiej pozbywszy się natury, z niewinnym pieści się jagnięciem, tak i Batu Kan, usłyszawszy o czarujących wdziękach Czerny,

córki księcia, wyprawia do twierdzy posłów, oświadczając, że cofnie swe wojsko z Rusi, jeżeli księżniczka połączy się z nimi przez ślub małżeński; w przeciwnym zaś razie, dodać rozkazał, mocą oręża zamek zdobywszy, jako brankę w poczet swych niewolnic policzy i na swe rozkazy powolną uczyni. Zadrżał książę i jego powiernicy, słuchając przybyłych posłów; przytomne niewiasty zaczęły płakać i biadać, sama tylko księżniczka, spoglądając z wzgardą na wysłańców tatarskich, wyrzekła te pamięci godne słowa:

Czerna się żadnych pogróżek nie lęka,
Raczej na gruzach legnie Czerniechowa;
Śmierć dla niej milsza niż niejezdzcy ręka.

Zdumieli się posłowie na odpowiedź dziewicy, a powróciwszy do obozu Kana, donieśli, że księżniczka Czerna, przed którą zwycięzca chciał schylić swą głowę, odrzuciła ze wzgardą ofiarowane jej małżeństwo.

Rozwścieklony Batu Kan, że słaba dziewica opór mu stawia, dał natychmiast znak do szturmu, a posłuszna jego skinieniu dzicz rzuciła się hurmem na otaczające Czerniechów szańce. Jako lwy bronili się oblężeni, lecz pomimo męztwa, ulegając przemocy, musieli ustąpić za mury. Ostatnia to była obrona. Trwoga opanowała rycerstwo; każdy polecając się niebu, oczekiwał śmierci, gdyż zewsząd nastawał dziki pohaniec, a na rozkaz wodza zapalano smolne wieńce, aby miasto spłonęło. Runęły nareszcie mury; zajęte płomienie przyświecały mordującej dziczy, która zalała w oka mgnieniu całe miasto, a chciwa łupu w krwi bezbronnych

nawet dzieci i niedołężnych starców ręce swe broczyła. Książe schronił się z wiernymi towarzyszami broni do warownej baszty, aby tam, broniąc do ostatniej chwili małżonki i córki, legnąć śmiercią bohatera.

Batu Kan, przeleciawszy wśród płomieni, jak strzała z łuku puszczona, całe miasto, zbliżył się do schronienia księcia, a wdarłszy się z mieczem i ogniem na wały, żąda raz jeszcze, aby Czerna ręki jego nie odrzucała i przyjęła w ofierze serce zwycięzcy. Okazała się wkrótce księżniczka pomiędzy strzelnicami baszty i tak się odezwała do tatarskiego wodza: „Podły najezdniku, gardzę twoją ofiarą, śmierci się nie obawiam; nad życie milszy mi jest honor i imię chrześcianki.“

To mówiąc, rzuciła się w fosę, otaczającą basztę, a w krótkim czasie przeniosła się jej czysta dusza w niebiosa. Zdumiał się dziki pohaniec, a widząc się pozbawionym celu żądz swoich, uderzył z rozjuszoną hordą na bramy baszty. Pękły mocne zapory; nowa rzeź się rozpoczęła; mężowie legli z bronią w ręku, jak na wojowników przystoi, a niewiasty ożywione męztwem Czerny, znalazły śmierć męczeńską w płomieniach, własną ręką wznieconych.

Pamięć tego zdarzenia utrzymuje się dotąd pomiędzy ludem tamecznym. Za murami Jelezkiego klasztoru w Czerniechowie wznosi się mogiła bohaterki Czerny, wieńczona corocznie gałązkami brzozy przez dziewczęta, nucące o niej pieśń, z której się kilka wierszy wyżej przytoczyło.

Wzór wytrwałości.

Zdobią Polaków liczne cnoty, jak np. męztwo, miłość ojczyzny, gościnność, poczciwość itd., ale rzadką pomiędzy nami jest wytrwałość. Łatwo się zapalamy do wielkich i szlachetnych czynów, ale wnet zapał ostyga a nieraz zwątpienie ogarnia nasze serca, chociaż nie ma słusznych powodów, aby tracić nadzieję i wątpić o pomyślnym skutku usiłowań. Ten brak wytrwałości sprowadził ciężkie klęski na nasz naród i dotąd jest główną przyczyną naszych niepowodzeń.

Najpiękniejszym dla nas wzorem jest dzielny Władysław Łokietek, król polski, który pierwszy raz zaczął panować 1290 r. jako książę krakowski. Nie utrzymał się długo w Krakowie, gdyż książę ślązki Henryk zajął Kraków, a Łokietek ratował się ucieczką. R. 1297 został znowu powołany na tron polski, ale, gdy jego żołnierze dopuszczali się zdzierstwa i gdy sam Władysław popełniał liczne błędy, ofiarowano koronę polską Wacławowi, królowi czeskiemu, który panował od r. 1300 do 1305. Łokietek stał się wygnańcem. Udał się on na pielgrzymkę do Rzymu, gdzie opłakiwał grzechy młodości. Po zgonie Wacława wrócił do Polski na czele szczupłego oddziału rycerzy, aby się dobijać na nowo tronu. Wielkie wówczas panowało w naszym kraju zamieszanie. Wielkopolanie uznali za pana Henryka, księcia głogowskiego; Kraków zajął Bolesław, książę opolski, Krzyżacy opanowali zdradą miasto Gdańsk, a przytem

zagarnęli żyzne Kujawy; oprócz tego silne wojsko czeskie usadowiło się w kilku grodach, aby zapewnić tron polski młodocianemu synowi Wacława. Nie uląkł się tych trudności Łokietek, a chociaż mu się nie zawsze powodziło, chociaż niejedną klęskę poniósł, przecież w końcu za pomocą męztwa, roztropności, a nade wszystko wytrwałości pokonał wszelkie przeciwieństwa i zasiadł na tronie przodków. R. 1319 odbyła się jego uroczysta koronacya w Krakowie w katedrze na Wawelu. Łokietek ma tę wielką zasługę, że chociaż nie wszystkie to przynajmniej większą część rozerwanych ziem polskich spoił w jednę całość, a mianowicie połączył Wielkopolskę, gdzie leży Gniezno i Poznań z Małopolską, gdzie się wznosi Kraków. Ślązka i Pomorza nie zdołał król Władysław przywrócić Polsce, chociaż gorąco tego pragnął, gdyż jeszcze na łożu śmiertelnem zalecał synowi, aby się nie zrzekał dwóch tych ważnych polskich krain.

Władysław Łokietek miał za żonę Jadwigę, córkę Bolesława, księcia kaliskiego i błogosławionej Jolanty, której kości spoczywają w Gnieźnie. Zakończył życie 1333 r. w Krakowie. Zwłoki jego spoczywają w katedrze krakowskiej, ozdobione pięknym pomnikiem, który przedstawia postać króla wykutą z marmuru.

Łokietek zapalał nieraz naszych przodków do wytrwałości i zachęcał, aby nie rozpaczał mimo chwilowego niepowodzenia. W r. 1656 za panowania Jana Kazimierza opanowali Szwedzi całą Polskę z wyjątkiem Gdańska i Częstochowy. Król szwedzki,

przybywszy do Krakowa, udał się do katedry, aby się przypatrzyć pomnikom i pamiątkom tej wspaniałej świątyni. Oprowadzał go zacny i zasłużony ksiądz kanonik Starowolski, dając objaśnienia i wskazując godne widzenia zabytki. Gdy stanęli przed grobowcem Łokietka, na którym nie ma żadnego napisu, zapytał się król szwedzki: „A kto tu spoczywa?“ — „Władysław Łokietek, odrzekł Starowolski, który trzy razy był wygnańcem, a jednak w końcu wrócił do kraju i zasiadł na tronie polskim, a w tej tu właśnie świątyni był koronowanym.“ — „Ale wasz król obecny Jan Kazimierz, ten już nigdy nie wróci,“ dodał Szwed. Na to ksiądz kanonik: „Bóg jest cudowny, a szczęście zmienne.“ Słowa te przejęły głęboko króla szwedzkiego, zaraz też zdjął kapelusz, gdyż będąc protestantem nie uszanował kościoła katolickiego, a już potem rozmawiał łagodnie i dziwnie był zadumanym. Ziściła się przepowiednia Starowolskiego, gdyż Szwedzi ustąpili z Polski, a Jan Kazimierz wrócił do kraju.

Pająk i mrówka.

Opowiadanie z czasów Władysława Łokietka.

Niedaleko Krakowa wznosi się zamek Ojców, a naokół roztaczają się piękne wzgórza, lasy, łąki i doliny. Jest to jeden z najpiękniejszych zakątków naszej ojczystej ziemi, dla tego z bliska i z daleka przyjeżdżają tu podróżni, aby się nacieszyć temi pięknościami.

Znajdują się tu wielkie, podziemne jaskinie, z tych jedna nosi nazwę królewskiej. W tej jaskini czyli grocie ukrywał się bardzo dawnemi czasy jakiś pielgrzym, który opowiadał wiele o Rzymie i dalekich krajach. Najchętniej przebywał on w jaskini, dokąd miał przystęp tylko młynarz Jakub, zwany Pytlem, dla tego że umiał robić i wyporządzać dobrze młynarskie pytle. Ów Jakub polubił pielgrzyma, to też przynosił mu chleba, mleka i owoców, a pielgrzym odwdzięczał mu się, dostarczając zwierzyny. Dziwny był to zaiste pielgrzym, gdyż więcej był świadom rycerskiej sztuki, aniżeli praktyk pobożnych. Bywało, że raz po raz brał w ręce łuk i oszczep, a na plecy zarzucał kołczan z strzałami i szedł do lasu, a wtedy zawsze powracał z zdobyczą myśliwską. Nieraz powalił na ziemię dzikiego odyńca, lub szybkiego łosia, a było to dlań prawie igraszką ubijać z łuku sarny i jelenie. I silne niedźwiedzie i potężne tury, czyli dzikie woły, które jeszcze wówczas hasały w naszych lasach, nie zdołały się oprzeć dzielnemu łowcowi.

Zdarzyło się też czasem, że do owej groty przybywali posłańcy, a nieraz w pobliżu ukazywały się całe gromady żołnierzy. Razu pewnego przybywa do jaskini młynarz Pytel, aż tu widzi hufiec zbrojnych jeźdźców, a na ich czele pielgrzym, lecz nie w szatach pątniczych, ale w złocistej zbroi na dzielnym rumaku, a obok niego dzierżył rycerz chorągiew czerwoną z białym orłem. Zdziwiony młynarz spogląda osłupiałym wzrokiem, a wtem skinie nań ów rycerz-piel-

grzym i tak doń przemówi! „Nie miej obawy, poczciwy Jakubie. Jam jest król wasz Władysław. Ukrywałem się w tych skałach, a gdy teraz nadciągnęło wierne moje rycerstwo, staję na jego czele i wyruszam na odzyskanie wydartego mi Krakowa i tronu. Za twoją życzliwość wdzięczny ci będę do końca mego żywota, a teraz cię żegnam i dziękuję za twe dobre serce. Dalej za mną rycerze na Czechów, niech nas Bóg prowadzi!

Zabrzmiała pieśń bojowa: „Boga-Rodzica Dziewica," a wnet zadrżała ziemia pod kopytami koni, które niby wicher zajadły popędziły w dolinę. Niedaleko stał obóz czeski. Uderzą niespodzianie Polacy, a choć Czesi byli liczniejsi, chwiać się zaczęli, słaby tylko stawiając opór. Zaczęło się już uśmiechać zwycięztwo Łokietkowi, gdy w tem nagle odezwały się w pobliżu trąby wojenne, a wnet z tyłu ukazał się liczny zastęp Czechów. Szczupły hufiec polski, z dwóch stron otoczony, nie mógł się oprzeć przewadze nieprzyjaciół. Długo jednakże trwała walka, gdyż król Łokietek dokazywał cudów męztwa. Mały był wzrostem, ale miecz w jego dłoni roznosił potężne i szybkie razy, niby błyskawica. Zagrzewał on stygnące męztwo swych towarzyszy i choć z dwóch stron obsaczony, umiał krzyżować ruchy i wstrzymywać zapędy Czechów. Sam własną ręką ranił śmiertelnie dziesięciu napastników. Jednakże nie zdołał odnieść zwycięztwa, gdyż zastęp jego liczył tylko 200 rycerzy, a czeskie wojsko zawierało przeszło 1000 wojowników, umiejących dobrze

władać bronią. Już król otoczony z przodu i z tyłu miał zginąć śmiercią bohatera, albo popaść w niewolę, gdy w tem zebrawszy ostatnie siły i krzyknąwszy potężnym głosem: „Bóg i Polska, za mną bracia, spieszmy tam do lasu!" rzucił się na nieprzyjacielskie zastępy, torując sobie drogę mieczem potężnym. Strwożeni Czechowie niezwykłą odwagą rozstępowali się na dwie strony, to też Łokietek na czele kilkudziesięciu rycerzy zdołał się przerznąć przez szeregi wojskowe. Już był blizko lasu, gdzie go czekało ocalenie, gdy nagle zjawia się nowy oddział czeski. „Wybiła zapewne moja ostatnia godzina," szepnął król, „ale nie dam się pojmać w haniebną niewolę, wolę raczej zginąć na polu sławy." Uderza zatem na nich w przekonaniu, że wkrótce legnie na pobojowisku. Kiedy walczy w najlepsze, zauważył, że Czesi mięszać się zaczęli, a od lasu rozległy się gromkie okrzyki: „Niech żyje nasz kochany król Władysław!" Byli to dzielni kmiecie ze wsi poblizkich, którzy uzbrojeni w kosy, pałki, cepy i widły uderzyli z wściekłością na czeskie wojsko, które nie zdołało wstrzymać nagłego napadu, dla tego wkrótce się rozproszyło. Podjeżdża Łokietek ku swym wybawcom, aż wtem widzi na czele poczciwego młynarza Jakuba, który zebrawszy na prędce gromadkę kmieci, pospieszył na pomoc swemu królowi. Dziękował rozrzewniony król włościanom za tę przysługę, a już najserdeczniej ściskał dłoń poczciwego młynarza.

Roztropny król bacząc, że Czesi wkrótce przybędą, rozpuścił swój hufiec, liczący już

tylko 50 rannych wojowników, dawszy im polecenie, aby za miesiąc zebrali się znowu w poblizkiej dolinie. Także i kmieciom rozkazał się rozejść, gdyż wiedział dobrze, że nie zdołaliby pogromić dobrze uzbrojonych Czechów. Wydawszy te rozporządzenia, udał się do jaskini, aby wypocząć i leczyć się z ran odniesionych. Młynarz pospieszył do domu w celu przygotowania żywności, odzieży i ziół leczniczych.

Zajechawszy przed jaskinię, puścił Łokietek konia na paszę, potem odpasał miecz skrwawiony i usiadł na złomku skały.

Czarne zwątpienie ogarnęło jego duszę. „Ha! zawołał z mocą, „trudno płynąć przeciw wodzie. Człowiek żyje w niepewności i tuła się po lasach na podobieństwo zbójcy. Ten złomek skały tronem potomka, w którego żyłach płynie krew dzielnych Bolesławów. Precz z wojskowem rzemiosłem; rzucę na zawsze kraj ojczysty, a osiadłszy w jakim klasztorze węgierskim, dokończę życia w ustroniu. Wszakże już raz przebrany w habit franciszkański, uciekałem z Krakowa. Może to wskazówka, że mam zostać zakonnikiem. Trzeba się pospieszyć, aby wykonać zamiar powzięty."

Gdy tych słów domówił, ujrzał u góry pająka, a ten usiłuje zarzucić wątłą pajęczynę z góry skalnej na drzewo. Wiatr psotny udaremniał pracę zwierzątka. „O ty mały pająku, jakżeż twoje położenie podobne do mojego. Ty nie zdołasz zarzucić marnej nitki pajęczej na drzewo, a ja miałżebym odzyskać koronę przodków?"

Wtem spojrzy król na dół, a tu przedstawia mu się inne zajmujące widowisko. Mała mrówka chciała zanieść na kopczyk ziarnko żyta. Po wiele razy osiągnęła szczyt wzniesienia, ale za każdym razem zsunęła się na dół z ziarnem. Pracowita mrówka nie zrażała się niepowodzeniem, ale wytężając wszystkie siły, toczyła na górę ziarnko. Spoglądał król z wielkiem zajęciem na pracowitą i wytrwałą mrówkę, a w końcu zaczął liczyć, ile razy owad na dół się zsunął. I naliczył już 69 razy, ale za siedmdziesiątym razem udało się nakoniec mrówce odrobinę żyta umieścić na szczycie kopczyka. Zwróci król wzrok w górę, aż tu widzi, że i pająk zdołał uczepić pajęczynę do drzewa. Wtedy pomyślał sobie Łokietek: „Jakżeż mnie zawstydzają te bezrozumne zwierzęta. Pracowały wytrwale, a pomyślny skutek uwieńczył ich usiłowania. Ja człowiek, obdarzony rozumem, chcę się cofnąć dla tego, że mi się chwilowo nie powodzi. Wezmę sobie przykład z tego tu pająka i mrówki, a choć mnie ścigać będą przeciwieństwa, nie upadnę na duchu, ale będę pracował wytrwale dla dobra mej kochanej Ojczyzny Polski." Jakoż dotrzymał słowa, a pomiędzy królami polskimi nie ma drugiego, któryby przewyższał Łokietka co do wytrwałości.

Poczciwy młynarz został hojnie wynagrodzony za przysługę, gdyż król darował mu młyn na własność, a kiedy odbywał uroczystą koronacyą, wezwał Jakuba, aby był przytomnym temu obrzędowi.

Kazimierz Wielki, syn Łokietka, wybudował w tem miejscu, gdzie jego rodzic się

ukrywał, obronny zamek, który nazwał Ojcowem na pamiątkę swego ojca. Dotąd w lasach ojcowskich znajduje się jaskinia, zwana królewską na pamiątkę, że w niej się ukrywał Władysław Łokietek, który dla nas Polaków jest pięknym wzorem wytrwałości.

Król polski trzyma chłopu dziecko do chrztu.

W mieście Radomiu, położonem w dzisiejszem Królestwie Polskiem, znajduje się w starożytnym kościele obraz z dawnych czasów, przedstawiający króla z dziecięciem na ręce. Lud w okolicach Radomia opowiada, że owo malowidło wyobraża Kazimierza Wielkiego, który nieraz przebrany udawał się na wsie, aby poznać lepiej swój lud i przekonać się, co też o jego rządach myślano. Razu pewnego przebrał się za żebraka i udał się do wsi dużej, prosząc o przytułek na noc. Odarta i nędzna jego odzież zamiast wzbudzić litość była przyczyną, że go wszędzie odprawiano z niczem. Gdy już miał ze wsi odchodzić, spostrzegł lichą chatkę, w której nie był jeszcze. Zbliżywszy się, zapukał lekko. Wyszedł wieśniak i zapytał podróżnego: czego sobie życzy. „Umieram z głodu i utrudzenia, była odpowiedź, czy nie chciałbyś mnie przyjąć na noc?“ — „Niestety! wyrzekł wieśniak, biorąc go za rękę, „bardzo ci tu moj człeku, będzie niewygodnie, gdyż żona moja jest bardzo chora, dla tego jej jęki spać ci nie dadzą; lecz wejdź, w chacie przynajmniej nie doznasz zimna, a pożywisz się tem, co mamy.“ To powiedziawszy, wprowadził

wieśniak wędrowca do chaty, pełnej dzieci. Po chwili przyniósł miodu i czarnego chleba. „Oto,“ rzekł, „wszystko co mam, posilcie się z memi starszemi dziećmi, a ja pójdę do żony.“ — „Dobry wasz uczynek, gospodarzu,“ odezwał się żebrak, „bodaj był dla was szczęścia przyczyną.“

W godzinę wyszedł uradowany wieśniak z komory, gdyż właśnie w tym czasie urodziło mu się dziecię, które trzymał na ręce. „Oto ósme,“ rzecze, „niech je Bóg chowa tak zdrowe, jak i tamte. Patrzcie, jak wielkie i zdrowe!“ Podróżny, wziąwszy dziecko na ręce, powiedział: „Zaręczam, że to dziecię wniesie w dom wasz dostatki.“ Uśmiechnął się wieśniak, a zrobiwszy z słomy na ziemi posłanie, zaprosił go do snu. Kładąc się, pomyślał sobie król: „O prosty i poczciwy człowieku, jak jesteś szczęśliwym! Nie mięszają twego spoczynku zgryzoty, podejrzenia i wyniosłe zamiary: żyjesz stokroć swobodniej, aniżeli dumne pany w świetnych pałacach.“

Rychło rano obudził się podróżny, a żegnając się z dobroczynnym wieśniakiem, tak się odezwał: „Powrócę do miasta, gdzie znam pewnego uczynnego człowieka; powiem mu o was, a pewny jestem, że go nakłonię do trzymania wam dziecka do chrztu. Wieśniak nie bardzo polegał na tej obietnicy, przyrzekł jednakże poczekać z chrztem do dnia jutrzejszego.

Po upłynionym czasie umowy, gdy nie było widać nikogo, wieśniak wybierał się z dzieckiem do kościoła. Wtem usłyszano tentent koni i turkot pojazdów, które zaje-

chały prosto przed chatkę wieśniaka. Któż opisze zdumienie wieśniaka, gdy zobaczył, że z wspaniałego pojazdu wysiada jego gość wczorajszy. Ale nie był to już żebrak lichy, ale pan możny, na którym błyszczało złoto i drogie kamienie. „Obiecałem ci ojca chrzestnego,“ rzecze dobrotliwy monarcha, zatem dotrzymuję słowa. Daj mi dziecię i jedź ze mną do kościoła.“ Wieśniak spoglądał z obawą na króla i na jego wspaniały orszak, a z wielką trudnością wsiadł do królewskiego powozu. W drodze rzekł doń monarcha: „Wczoraj dopełniłeś obowiązku religii i ludzkości, dziś ja przychodzę, jako król nagrodzić twą poczciwość. Zostawię cię w kmiecym stanie, któremu zaszczyt przynosisz, ale będziesz miał rozległe pola, piękne sady, bydło i wygodną chatę, w której łatwiej ci będzie dopełniać obowiązków gościnności; nakoniec biorę w moją opiekę dziecię, które się podczas mej bytności w twej chacie urodziło.“ Nie mógł na to odpowiedzieć wieśniak, tylko łzami wdzięczności skropił ręce monarchy — dziękczynnie, jak tego rzadko doznają królowie i majętni ludzie. Król, podobnież rozrzewniony, trzymał dziecię do chrztu i dał mu własne imię na pamiątkę, Tem dziecięciem był Kazimierz Trzaska, później sławny kaznodzieja i kanonik poznański.

Kazimierz Wielki, urodzony r. 1310 w mieście Kowalu na Kujawach, abjął rządy 1333 r., umarł 1370 r. w Krakowie. Jest to jeden z najlepszych i najzasłużeńszych królów polskich. Zastał on Polskę drewnianą, a zostawił murowaną. Szerzył gorliwie oświatę, zaprowadził mądre prawa, budował kościoły i warowne zamki. On dał początek sławnej akademii krakowskiej, która dotąd krzewi oświatę w ziemiach polskich. Opiekował się ludem wiejskim, nie dozwalając, aby go krzywdzono. Wdzięczni włościanie w okolicach Krakowa dotąd o tym królu śpiewają:

Prędzej Wisła z Sandomierza
Odwiedzi Bielany,
Niźli imię Kazimierza
Zapomną włościany.

Pielgrzymka do Sandomierza.

Długa, tęga ziemia, już blizko od czterech miesięcy polską ziemię ostrem berłem cisnęła; rzeki, góry, łąki, pola, odłogi, przyrodzenie całe smutne i nieczynne, białym całunem okryte, zmartwiało jakby w śmierci objęciach; nie miało oko przechodnia gdzie spocząć, w co się wpatrzyć mile; najpiękniejsze okolice powab swój straciły. Ale wszelkie przejażdżki i podróże ułatwionemi zostały, a kiedy w innej porze kilkunastu koni a często czterech dni było potrzeba, do przebycia dwudziestu siedmiu mil złej między Krakowem a Sandomierzem drogi, wtedy na suwających się szybko za końmi saniach, tęż samą przestrzeń niemal we dwóch odbywano dobach. Niejeden przeto przedsiębrał długo odkładane w tę stronę odwiedziny krewnych lub przyjaciela, albo uczynionego ślubu dopełniał. — Kończyła się też właśnie druga doba, jak w tym ostatnim, w tym pobożnym celu, w malowanej węgier-

skiej budzie, na kutych saniach ustawionej, futrami i kobiercami wysłanej, jechały dwie niewiasty jako pielgrzymki do Sandomierza, aby spełnić w kościele Panny Maryi ślub dawniej postanowiony; barczysty, z tęgim karkiem, z długą brodą, w ciemnym kożuchu, czerwonym pasem przewiązany, w rogatej czapce na głowie woźnica, Litwin, sam jeden składał całą ich służbę: obie obwinięte były od stóp do głowy w jednakie z szaregu sukna habity, w białe welony, obie kryły ręce w szerokie zakonne rękawy, ale obudwóch postać, wiek, a nawet godność nie zdawały się jednakie. Starsza z nich lubo więcej otyła, mniej miała powagi, mniej miejsca w budzie zabierała; kiedy wiatr mocny wionął i odchylił futro niedźwiedzie okrywające nogi jej towarzyszki w bóciki z sobolami obute, kiedy jeden z czterech koni karych w poręcz zaprzężonych, zasypał ją odbitym podkową stwardniałym śniegiem, zasłaniała ją skwapliwie, strzepywała, ścierała ostróżnie odzież, a całe jej ułożenie i słowa, pełne były uszanowania i miłości. Sanie ciągnione przez dzielne rumaki posuwały się spiesznie; ale spieszniej jeszcze wiatr zgromadzał chmury; występowały jedna za drugą, jakby z nieprzebranych składów; coraz więcej zaciemniały światło dzienne, coraz grubszą i gęstszą powłoką niebo do ziemi zbliżały. Nareszcie śnieg padać zaczął; z razu pruszył tylko, lecz wnet w gęstych spuścił się płatach, wiatr coraz silniejszy całe tumany szronu z ziemi i zdrzew zrywał, a kręcąc nim pomiatał na wszystkie strony. Znikły z oczu pielgrzymek przeby-

tego Opatowa dzwonnice, i już dostrzegane przed chwilą sandomierskie wieże, znikły i bliższe przedmioty; sam tylko odmęt, zamieć i mgła widocznemi były. Woźnica to zwalniał kroku koni, to znowu pospieszał; próbował jazdy to w prawą, to w lewą, a widać było, że żadnej pewnym nie był; nachylała się nieraz ciężka buda, tak iż zdawało się, że z sań się zsunie; zataczały się i sanie raz w tę, drugi raz w ową stronę; niewiasty wołały na woźnicę, że zbłądził, napominały, by jechał pomału; starsza z nich więcej nierównie niźli siebie towarzyszki swojej strzegła, od uderzenia chroniła; kiedy nagle, w jednem mgnieniu oka, buda podniosła się z tyłu w górę, stanęła; konie wpadły w śnieg tak, że im tylko łby czarne widać było, woźnica padł na nie, a niewiasty uderzyły twarzą w usłaną na przodzie pościel i podróżne sprzęty. Powstali jednak wnet wszyscy, prócz koni; starsza z niewiast strwożona wydobyła się z trudnością z budy, podając troskliwie rękę młodszej, woźnica stanąwszy sam na pewnym gruncie, chciał koniecznie wydobyć konie, wołał na nie, ciągnął, szarpał, bił, żegnał się, modlił, nic to wszystko nie pomogło, zdawało się owszem, że konie coraz głębiej się pogrążają, i wnet pojazd za sobą pociągną; widząc Litwin niebezpieczeństwo, a oraz i to, iż nie skutkowały jeszcze chrześciańskie modły i znaki, jął wzywać Perkuna i dawnych bożków swoich. Więcej dotąd stroskane, niźli przelęknione pielgrzymki dopiero wtedy bać się zaczęły. „Imieniem twego pana i mojem — wyrzekła młodsza jak tylko mogła najgło-

śniej — „zakazuję ci wspominać tych bał-„wanów; ukorz się natychmiast przed tym „Bogiem, któregoś znieważył, a który i cie-„ciebie i nas cudem tylko od zguby uchro-„nił; wezwij opieki i litości tej potężnej Pa-„ni, do której kościoła dążymy!...“ Padł Litwin na kolana, twarzą w ziemię, łzy jego gorące i obfite zdawało się, że przenurtują śnieg gruby; a ta, która do niego przed chwilą groźnym przemówiła głosem, uklą-kłszy na ogromnym opodal leżącym kamie-niu, mile, czysto i donośnie, złożywszy ręce, śpiewała pobożnie co następuje:

Boga Rodzica
  Dziewica
Bogiem sławiona
Marya! u twego Syna
  Hospodyna
Matko zwolona
Marya! ziścij nam,
  Spuścij nam
Kirye Eleison twego Syna
Chrzciciela zbożny czas.
  Usłysz głosy!
Napełnij myśli człowiecze!
  Słysz modlitwę
Jenże Cię prosiemy
  To dać raczy
Jegoż prosimy...

Właśnie ciągnącym głosem te ostatnie słowa śpiewała, kiedy stojąca za nią towa-rzyszka wyrzekła: „Darujcie pani, że pieśń nabożną przerwę, „ale zdaje mi się, że sły-szę chrupanie śniegu pod stopami ludzkiemi, i głos mówiących; są blizko, ale ich dla mgły i zamieci widzieć nie można.“ Ucichła młodsza niewiasta z swym śpiewem, odsło-niła biały welon, naraziła na śnieg i wiatr

twarz anielską, i pilnie nadstawiła ucha; podniósł także woźnica swe czoło wstydem i zimnem rumiane: „Jak Bóg w niebie — powiedział cicho — „tak prawda, że tu coś nadchodzi, byle nie złe jakie.“ Spojrzała na niego surowo cudna niewiasta, a wtem wyraźnie stąpanie ludzkie słyszeć się dało, i te słowa: „Dyć wam powiadam, że w onej stronie śpiew pobożny słychać, pewnie na jutrzejszy odpust dąży do Sandomierza ja-kieś ubóstwo.“ — „Ale tęgo zmyliła drogę, „chudzina! — odezwał się drugi. — „Czy „to jedno nie czort — wyrzekł trzeci — „który nas mami, i w one przepaści wścią-„gnąć chce, boć ja teraz nic nie słyszę...“ Gdy tego domawiał, zbliżyli się już tak do podróżnych, iż się wzajemnie rozpoznać mogli. Trzej chłopkowie, z których jeden był już podeszły a dwaj młodzi, w białych kożuchach, w czarnych czapkach z baran-kiem i z uszami, w kurpie obuci, zoba-czywszy niewiasty i powóz w tak niebez-piecznem położeniu, zdziwili się mocno. „Przebóg żywy! — zawołał najstarszy — „a Wielmożne Państwo gdzie do licha wje-„chało? czy aniołowie tak utrzymali nad „tym dołem tę budę? widzęć ja tu, Boże „mi przepuść, niby żywego anioła?... tu „jedno rowy, doły przepadziste, a nieco da-„lej Wisła; śmierć pewna... Zkądże to i do-„kąd z przeproszeniem Wielmożne Państwo „chce jechać?“ — „Jedziemy z Krakowa do „Sandomierza na jutrzejszy odpust, aby „uczynionego ślubu dopełnić — odpowie-działa młodsza z niewiast — ale przy onej „srogiej zawierusze woźnica zbłądził, wpa-

„dły konie w dół, a nie mogąc wydobyć ich „sami, wzywaliśmy pomocy Boga Rodzicy; „usłyszała te głosy, spuściła nam zbożny „czas, napełniła dobrą chęcią myśli wasze... „Powiedźcież nam, poczciwi ludzie, gdzie „jesteśmy i bądźcież nam przewodnikaml do „Sandomierza; zapłata was nie minie."

„Człek pobożny nie pyta o zapłatę kiedy „widzi bliźniego w potrzebie — odpowiedział sędziwy kmiotek — jedno go jak może ratuje. „O dobrą milę jesteście od miasta, „moje śliczne i wielmożne Paniątka, daleko „zboczyliście z gościńca, bliżej was wioska „nasza. Jam w niej jest, nie wiem, czy ła„ską czy karą Boga sołtysem, bo i ten „urząd nie koniecznie od nahajów złego pana „mnie broni; szukałem z synami konia z su„tym rzędem, który dziś w nocy dziedzi„cowi czy uciekł czy skradziony? sto obie„cał kijów, łaskawca, każdemu z dwunastu „osadników, a mnie dwieście, jeśli go za „tydzień nie dostawimy. Ale bierz go tam „licho na dziś (a bodaj na zawsze) i z ko„niem; trzebać tu o was, moje Wielmożne „Państwo pomyśleć, i wyciągnąć was z onej „biedy." Tu zebrawszy drągi, bosaki, które mieli z sobą, wraz z Litwinem, póty dźwigali, pracowali, aż nareszcie wydobyli konie i pojazd nie uszkodzony; wtedy sołtys, zdjąwszy czapkę, skłonił się do nóg obudwom niewiastom, i tak powiedział: „Moje „Wielmożne Paniątka! Wrony na nocleg „ciągną, dzionek już zapada, zawierucha „zawżdy straszna, do miasta nie dojedzie„cie; nakłońcie się raczej ku mojej chacie. „Niema w niej onych wygód, do których

„pewnie nawykliście w domu, ale znajdzie„cie w niej ogień suty, piwo i mleko grzane, „chleb, poczciwą niewiastę, dziatek gromad„kę i serca otwarte. Jutro, da Bóg docze„kać, ruszycie sobie dobrze przed świtem „do miasta, i może jeszcze na pierwszą „mszę zdążycie." — „Z całej duszy przyj„mujemy gościnne zaproszenie wasze, — odpowiedziała młodsza z niewiast, wsiadając do budy — prowadźcie nas, poczciwi ludzie." Wziął więc sołtys konie za cugle, jednemu z synów iść kazał naprzód z bosakiem, drugi wraz z woźnicą trzymał budę; i tak ostrożnie i pomału po długich i przykrych przeprawach, wyjechali nareszcie na równiejszą drogę, i wnet przed porządną chatą stanęli. „Niewiasto! Regino! — zawołał sołtys w nizkie stukając okno — miasto konia, patrzcie co my zdobyli." — Wybiegły wnet: dorodna choć już nie młoda kobieta, z nią dwie hoże dziewuchy i dziatek małych sześcioro; kłaniała się matka i dziewuchy przybyłym gościom, dziatwa patrzyła na nich ciekawie. „Zapewne Wielmożne Paniątka — wyrzekła, gdy wysiadali — „na jutrzejszy odpust dążą? uczyńcież nam tę łaskę, „przejdźcie w dobrej myśli próg nasz ubogi..." A to mówiąc wprowadziła obie niewiasty do obszernej i porządnej izby, gdzie dużo bielizny i odzieży rozwieszonej i porozkładanej było. „Chciejcież rozgościć się — rzekła — siądźcie przy ognisku na ławie; i „darujcie temu nieładowi — dodała zbierając na jeden stos rozrzucone rzeczy — „ale to na jutrzejszy odpust ubiory. Ja sa„ma iść nie miałam jedno dziatki i starsze

„wnuki wysłać, ale pójdę, oną zgubę Pań-
„ską i u Matki Bozkiej wybłagać, boć mi
„nasz pan gotów mojego kijmi zabić...“ —
I to mówiąc, otarła rękawem łzy gorzkie. —

„Niewiasto! nie płaczcie — zawołał sołtys — miejcie lepszą otuchę; dobrze pierwsze „kroki nasze ku temu szukaniu się powiodły; wyratowalim od zguby taką poważną „i wielmożną panią i zapewnieć jej corkę, „tego żywego anioła; a zresztą, dyć wam „mówiłem, że jeźli wnet ten przeklęty koń „się nie znajdzie, ruszę do Krakowa, do „królewskiego zamku. Do onego jeszcze „(jak powiadają ludzie) dzikiego Litwina nie „pójdę, ale pójdę do ślicznej naszej królowej i zaskarżę okrutnika. Wszak zarówno „o jej cudności jako i o dobroci nagadać „się świat nie może. Boć i na kiego licha „byłaby wnuczką naszego Ojca Kazimierza „(Boże świeć nad jego duszą) gdyby jego „serca wylanego ku chłopkom nie miała, „gdyby jak on sprawiedliwości w królestwie „swem nie strzegła. Taka zacna wnuczka „jako i dziad; jedno niewiasta, młoda, nie „sama panuje, nie tyle, co nasz Kazimierz „sprawić może. A pamiętajcie, co nam po„wiadał, na N. Pannę Gromniczną ów piel„grzym z Wielko Polski tu przybyły. Król, „gdy raz przyjechał do Gniezna, kazał so„bie stacye księżym poddanym dawać, któ„rej gdy mu nie chcieli dać, kazał brać do„bytki ich. Aż go królowa zgromiła o to, „mówiąc, że to nie w Litwie, bo tu obycza„ju tego nie masz, aby kto co komu miał „gwałtem brać. Więc kazał wszystko po-

„wracać ludziom, co było wzięto. Zaczem „królowa westchnąwszy rzekła: *Dobytek* „*im się wróci, ale płacz ich kto im nagro*„*dzi!* kiedyć nad Wielkopolanami taka była „jej litość, cóż dla nas Sandomierzaków?“ — W czasie tej mowy, niewiadomo czemu, obie grzejące się przy kominie pielgrzymki odwróciły głowy, starsza by uśmiech ukryć, młodsza by łzę otrzeć nieznacznie. Nie spostrzegł tego sołtys, a obracając się ku nim powiedział jeszcze: „Zda mi się jakobyście „w onym zamęcie mówili, że z Krakowa je„dziecie? po tych złocistych łańcuchach, „kosztownych relikwiarzach, które u was na „szyi widzę, lubo niby w zakonnych jesteś„cie szatach, po onych cudnych srebrnych „i złotych sprzętach, po tej bogato oprawnej „księdze, tych futrach i kobiercach, które „ten brodacz wam znosi a znosi, sądzę, iż „nasza chata takowych gości jeszcze nie „miała. Darujcie jednak to co powiem, „Wielmożne Panie; oto powiedźcie nam go„dność waszą, i czy znacie naszą królową „Jadwigę?“ — „Godność nasza — odpo„wiedziała młodsza — acz w oczach nie„których ludzi dosyć znaczna, w oczach tej „Boga Rodzicy do której dążymy, bardzo „nikczemna; wyjawić jej jednak nie możemy. „Królową zaś znamy z blizka.“ — Jestże „ona tak cudna i dobra, jak ludzie powia„dają?“ — spytała się skwapliwie Regina, garnek czystej wody wstawiając w ogień. — „Jeszcze może cudniejsza i lepsza!“ odpowiedziała starsza. — „Już cudniejszą od „waszej córy być nie może — wyrzekła „Regina — osobliwie w tej chwili, kiedy tak

„krasnym spłonęła rumieńcem... Ale po-
„wiedzcież mi, moje Wielmożne, prawdaż to
„że one niebożątko nieszczęśliwe i prześla-
„dowane od tego dzikiego Litwina? Poga-
„nin on chyba jeszcze w duszy, jeźli ma
„sumienie trapić niewiastę, z której ma
„wszystko; boć jabym zabić się dała, że ona
„mu wierną i jest i była, to zawsze miało
„być czyste, jak kryniczna woda, a pobo-
„żne kieby święta jaka..." — „Za cnotę
„królowej i jabym śmierć poniosła — wy-
rzekła tu z żywością sędziwa niewiasta —
„co do jej nieszczęścia"... — „Nie tak
„srogie jak mówią — przerwała jej młodsza —
„bo król przecież nie taki, jak go malują;
„on dobre ma serce, pobożności ma wiele,
„lubo jeszcze nie taki okrzesany jak polskie
„książęta; ja przekonana jestem, że do jej
„szczęścia, dziatek tylko nie dostaje; i wie-
„cie co? dobrzy ludzie, pójdźmy jutro razem
„pieszo do Sandomierza, i razem błagajmy
„Boga rodzicy, żeby dla królowej dziecię
„u Dzieciątka swego uprosiła." — „Spełnimy
„to chętnie" — odezwali się jednogłośnie
wszyscy mieszkańcy chaty, „Ale nic darmo —
„przydała Regina — wy za to proście Matki
„Boskiej za oną zgubą pańską; proście
„iżby mojemu i całej tutejszej gromadzie
„sprawiedliwość oddano." — Tu dopiero
rozgadywać się zaczęli o niegodziwości pana
tej wioski; o jego okrucieństwie, o niesły-
chanej pańszczyźnie, jaką mu odrabiać mu-
szą. „Przy takich swobodach — dodał soł-
tys — jakiemi nasz Ojciec Kazimierz wsie
„i miasta polskie obdarzył, przy takim han-
„dlu i tylu mieszkańcach, jacy teraz w San-

„domierzu z łaski jego, my okoliczni kmiot-
„kowie wnetbyśmy w pierze porośli; ale cóż
„kiedy nas ten niegodziwiec skubie a sku-
„bie, i zawsześmy goli. O! póki żył ten
„dobry król, który sam przez się skargi
„chłopków przyjmował i rozsądzał, którego
„przeto *królem chłopków* nazwano, ciężko
„on bywał karany za swoje przestępstwa:
„ale gdy miasto tego ojca, dostalim ojczyma
„w owym węgierskim Ludwiku, jął się mścić
„na nas niebożątkach, i dotąd się pastwi;
„a my jeszcze nie śmieli zaskarżyć go przed
„Litwinem, boć podobne rzeczy w kraju jego
„nie nowina." — Zachęcały sołtysa obie nie-
wiasty, żeby się udał do królowej: trwała
parę godzin ta rozmowa; sołtys i jego żona,
którzy dobrze pamiętali Kazimierza Wiel-
kiego, lubo już lat ośmnaście od jego śmierci
upłynęło, wiele o nim mówili, i nieraz w cza-
sie tej mowy anielski uśmiech twarz cudnej
niewiasty rozjaśniał. Zjadła smacznie pro-
stą wieczerzę, spała słodko w rogu izby na
grochowinach bogatym kobiercem przykry-
tych, lubo wierny panu swemu woźnica,
przez noc całą w nogach jej łoża siedział;
a pierwsza jej mowa, którą, gdy ocknęła się
koło czwartej po północy, mile o jej odbiła
się uszy, było szeptanie Reginy do męża:
„I tej statecznej pani niczego, ale też ta
„młodsza, to nie paniątko, to istny anioł:
„szkoda, że ten uparty Litwin, jakby za-
„klęty, i słowa o ich nazwisku i godności
„wyrzec nie chce, jedno tak na nią patrzy,
„jak żółw na jaja." Wstała z pospiechem,
a umywszy się na złotej miednicy drogiemi
kamieniami wysadzanej, wypiwszy gorącego

piwa z podobnegoż kubka, ślubowała, iż do samego wieczora nic więcej w usta nie weźmie; i wraz z towarzyszką swoją, z rodziną sołtysa, i z brodatym woźnicą, który krok w krok szedł za nią, ruszyła w drogę.

Ustał był zupełnie śnieg i wicher, ale mróz wzmógł się nieco; gwiazd było miliony na niebie, lecz już bladły i nikły pomału; jedna tylko zawsze równym blaskiem jaśniała. Godło to było od wieków owej Boskiej Dziewicy, do której świątyni pobożne grono dążyło: obróciwszy się więc ku niej, odśpiewali pozdrowienie anielskie, a potem zacząwszy różaniec, mówili go prawie do samego Sandomierza. Wszedłszy bramą krakowską do tego miasta, w ów czas zamożnością z najpierwszemi w równi w Polsce będącego, dwie pielgrzymki krakowskie zmieszane z tłumem, od nikogo nie poznane, cały poranek w kościele Panny Maryi na modlitwie strawiły. Tam młodsza z nich obiecała Boga Rodzicy złożyć na jej ołtarzu świec dwieście jarzących i dziecię szczerozłote, właśnie w tej chwili, kiedy poczciwa Regina ślubowała ze swojej strony sześć świec żółtych, konia i dziecię. — Po południu dwie pielgrzymki poszły do szpitala Ś. Ducha*), gdzie resztę dnia na usłudze chorym, na opatrywaniu rannych strawiły. Gdy już wieczór się zbliżał, pomimo tego, że strudzone były, że starsza wiele troskliwości o towarzyszkę

---

*) Żegota, kasztelan krakowski, w roku 1222 założył w Sandomierzu kościół i szpital Ś. Ducha dla chorych i kalek ubogich. Już więc od sześciu wieków naród nasz ma zakłady dobroczynne.

swoją okazywała, a Litwin mruczał pod nosem, wszyscy ruszyli pieszo do chaty sołtysa i zaszli szczęśliwie, nabożne pieśni śpiewając. Cudnej urody niewiasta szła pierwsza, i mimowolnie nikt w parze iść z nią nie śmiał; wyraz nadziemski piękną jej twarz krasił, moc nadludzka pieszczonemu jej ciału siły dodawała. — W chatce sołtysa czekał ją znowu ogień suty, smaczna wieczerza i sen słodki, aż ją budzić musiała jej towarzyszka nazajutrz... Przy odgłosie błogosławieństw mieszkańców chaty, opatrzywszy ich hojnie, jak na polskie dusze przystało, dwie niewiasty wybrały się na powrót do stolicy; sołtys sam do walnego gościnca je odprowadził. — W tydzień zaś, właśnie wtedy, kiedy Regina, z płaczem wyprawiała męża po Krakowa, bo koń się nie znalazł, a pan batożników już miał przysłać, stawa przed ich chatą ten sam brodaty woźnica, te same cztery konie kare i buda węgierska, ale już na kołach, bo sanna znikła; siedzą w niej w miejscu dwóch niewiast dwaj poważni panowie, i dąży za niemi dwunastu konnych. Pytają się o sołtysa, każą się prowadzić do dworu. — Krótko mówiąc, po przyzwoitych badaniach i układach, wioska ta imieniem królowej Jadwigi kupioną została i darowaną kapitule sandomirskiej; pana jej na sześć miesięcy do więzienia skazano; nazwisko Świątnik wiosce nadane, a to z powodu, że jej włościanie żadnej z gruntów swoich nie będą mieli na wieki powinności prócz wysyłania koleją co tydzień czterech z pomiędzy siebie do Sandomierza, do kościoła P. Maryi na świętą u-

sługę. Ta zaś wieczna ulga (jak oświadczyli panowie) należy się gromadzie za wycierpianie uciemiężenia, sołtysowi i jego rodzinie za wyrządzoną przysługę i uczynioną gościnność. — Bo któż nie zgadł oddawna, że młodszą z pielgrzymek, niewiastą cudnej urody, była królowa Jadwiga; starszą, żona Jaśka z Tenczyna, kasztelana Wojnickiego, gorliwego jej obrońcy. — W piętnaście zaś miesięcy po odprawieniu tej pielgrzymki, leżało na ołtarzu Boga Rodzicy, w Sandomierzu, dziecię szczerozłote, paliło się dwieście świec jarzących, ale w dni kilka potem w zamku krakowskim, wśród płaczu i modlitw ludu całego, leżało ciało nadobnej i świętej królowej z duszy wyzute i obok niej zmarłe dzieciątko... Zaledwie dwadzieścia ośm wiosen przeżywszy, nieśmiertelną zyskawszy sławę, doczekała się Jadwiga dziecięcia, a potem umarła, posiadła ten żywot lepszy, którego pragnęła. — Zapewne nikt jej więcej nie płakał jak sołtys, rodzina jego, i wszyscy Świątnik mieszkańcy. Tam, dotąd jeszcze, choć już od śmierci tej królowej lat czterysta minęło, jeszcze jej pamięć błogosławią, tam w szczęściu i dobrem mieniu coraz liczniejszych osadników trwa jej dobroczynność.

Kontusik królowej Jadwigi.

Słuchajcie gadki starożytnej treści,
Słuchajcie sercy waszemi,
Któż wie, jak długo te dawne powieści
Krążyć będą w naszej ziemi?
F. M. (Góra poznańska).

Przejęty prawdą, zawartą w tych kilku wierszach, opisuję podanie ludu dawnej stolicy krakowskiej, które mi jeden z ziomków opowiadał. Święta uroczyste obchodzono w Polsce z czcią i poszanowaniem, jakie trudnoby w innym kraju znaleźć: kościoły Boże napełniane były pobożnemi, król i kmiotek z równą biegł radością do przybytku pańskiego, złożyć dziękczynienia za łaskę najwyższą nad krajem i upraszać o nią nadal.

Przenieśmy się w ubiegłe czasy w piękny dzień czerwca. Wystawmy sobie uroczystość Bożego Ciała w Krakowie za czasów Jagiełły i Jadwigi, a szybko dojdziemy do kresu naszej powieści. Gdy pierwszy promień słońca zawisł na szczytach Wawelu, rozpromienił krzyże wież, katedry, Panny Maryi i innych rozlicznych kościołów, rozjaśnił górę Bronisławy, kopce Wandy i Krakusa, natenczas zabrzmiały dzwony w tysiącznych akordach, zwołujące na modlitwę z miasta i okolicy. Wkrótce tłum napełnił ulice; rynek obszerny, ozdobiony sukiennicami przez Kazimierza W., wypełniał się napływem ludu, ciągnącym na uroczysty obchód wszystkiemi bramami, ową sławną floryańską, już wtenczas wspartą na wiekach, zczerniałą pyłem szturmów, które wytrzymała i niejako uwieńczoną koroną wytrwałości w formie wieżyc, które ją otaczają. Niezadługo ruszyły kolasy możniejszych na zamek, ruszyli konni, ruszył i lud; tam odbyło się wielkie nabożeństwo; obręb kościoła nie wystarczył, nie zmieścił pobożnych, dziedzince zamkowe napełnione były tłumami klęczących z odkrytemi głowami, omijano tylko smoczą jamę, jako skalane miejsce przez złego ducha. Wkrótce nastąpiła pro-

cesya, arcybiskup Bodzanta, który chrzcił Jagiełłę, prowadził orszak pobożny, otoczony duchowieństwem, śpiewając hymn Boga Rodzicy i inne, schodził z góry zamkowej do miasta, gdzie żaden kościół ominionym nie był. Za nim postępował Jagiełło w królewskiej szacie, korny przed prawdziwym Bogiem, niedawno dopiero zażywając słodkich owoców wiary; jemu towarzyszyli książęta mazowieccy, książę oleśnicki, inni lennicy korony i kilku panów polskich i litewskich. Obok szła Jadwiga w białym ubiorze; złotem lamowany karmazynowy kontusik, lekko zarzucony, zakrywał śnieżne ramiona, a sploty włosów były obwijane karmazynową chustką. Na twarzy jej malował się ten wyraz wiary, słodyczy, który twarde serce Jagiełły miękczyć, miliony nawrócić umiał; widać w jej rysach tę głęboką wdzięczność ku Bóstwu, że jej pozwolił uskutecznić zamierzone dzieło; lecz w bogobojnie pochylonej nie poznałbyś owej królowy, która w czasie niebezpieczeństwa ojczyzny umiała podnieść broń męzką ręką i z męzkim umysłem zgromić nieprzyjaciela. Lud schylał przed nią kolana, całował z uszanowaniem rąb jej szaty, błogosławiąc ją, wznosząc modły do Boga za swym aniołem opiekuńczym. Za królową szli panowie radni w kontuszach, żupanach, głowy poważne, sędziwe brody, zawiesiste wąsy; wyraz twarzy surowy, jedynie pobożnością łagodzony; bogate szpinki pod szyją i rękojeści mieczów kąpały się w promieniach słońca. Obok nich akademia krakowska w długich szatach na kształt tóg rozmaitych ko-

lorów, z postawą, jak przystało na przyszłych nauczycieli Kopernika, wraz z radnymi miasta Krakowa, którzy hiszpański strój od Niemców przyjęli. Orszak kończył się rycerstwem z stałego otoczenia króla, niezliczonym tłumem ludu, złożonym z mieszczan i kmiotków. Każdy kościół otwierał swe wrota przed pobożną pielgrzymką, w każdym składał arcybiskup swe modły, a lud na kolanach śpiewał hymny niebieskie. Całe miasto w ten sposób zwiedzone zostało; wreszcie zakończyło się nabożeństwo w kościele ś. Katarzyny na Kazimierzu. Poczem Jagiełło dosiadł rączego rumaka i wśród panów i dworzan wracał na zamek. Jadwigę odwoziła złocista kolasa, ciągniona sześciu białemi końmi, które wolno stąpały, jakby instynktem prowadzone, by dłużej zostawić ukochaną królową wśród wiernego jej ludu; Okrzyki radosne nie ustają na chwilę towarzyszyć jej powrotowi; z uczuciem Polki dziękuje wejrzeniem, skłonieniem głowy, czasem do góry oczy wznosi, dzięki śląc Wszechmocnemu Panu za hołd, który ją otacza. Nagle pochód wstrzymuje się na moście na starej Wiśle dla zwiększonej ciżby; cech kotlarzy otacza kolasę i wita królową okrzykiem wesela; w tej chwili jakiś nieszczęśliwy czy z uniesienia czy przypadkiem wpada w rzekę, której nurty wkrótce go pochłaniają; krzyk boleści i prośba ratunku lotem błyskawicy wyrwała się z litościwego serca królowej i wypełniła serce ludu; wszyscy starają się ratować tonącego; nadpływają łodzie, lecz już martwego z wody wynoszą. Królowa opuszcza kolasę,

spieszy nieść ratunek, klęka nad nieszczęśliwym, chcąc mu życie powrócić, raz sposobami ludzkiemi, raz gorącą modlitwą, wzniesioną do Boga, którą lud za nią powtarza, lecz wszystko daremnie. Raz tylko odetchnął, dotknięty jakby iskrą galwaniczną, cichą, lecz gorącą łzą, która w czasie modlitwy z jagód królowej na nieszczęśliwego spłynęła. Jadwiga zdejmuje swój kontusik i okrywa ciało zmarłego, poczem odmówiwszy modlitwy idzie dalej do zamku z zasępionem licem; lud uszczęśliwiony jej widokiem, nie śmie już przerywać smutku okrzykami wesela, które jej obecność w nim budzi, ale uczy się szanować tym więcej królowę, która tak boleje nad zgonem biednego kotlarza. Wkrótce nastąpiło nabożeństwo nieszporne; lud i panowie znowu się zgromadzili; królowa jak pierw gorąco się modliła, jej lica tylko okazywały smutek zaszłego wypadku; cech kotlarzy szedł za procesyą z innemi, ale zamiast chorągwi, niósł kontusik Jadwigi i w tym dniu otrzymał od arcybiskupa poświęcenie tej pamiątki. Od tego czasu trumna każdego kotlarza, umierającego w Krakowie, przykrywaną była tym kontusikiem, pod którego przykryciem, jak pod skrzydłem anioła, dusza zmarłego wiekuiste szczęście osięgnąć miała. Aż do niedawnych czasów relikwia ta zachowywała się w wspomnianym cechu; zaburzenia czasu wyrwały ją z rąk właścicieli; dostała się w ręce żydów i tak zaginęła ta pamiątka litości królowej Jadwigi.

Wzór dobroczynności i prostoty.

Pięknym wzorem dla Polaków jest Władysław Jagiełło, wielki książę litewski, a później także król polski. Był to dziwnie łaskawy i dobrotliwy monarcha. Starał się on każdego uszczęśliwić i pocieszyć. „Z przed oblicza panującego“, mawiał on, „nie powinien nikt odchodzić bez pociechy.“ Widok każdego szlachetnego czynu rozgrzewał mu serce, pobudzał do radości i pochwał, oraz otwierał rękę dla nagród. Szczególną opieką otaczał biedne wdowy i sieroty. Sam osobiście rozsądzał ich sprawy, a dawał im często większe ofiary, aniżeli go o to proszono. Chętnie zapomniał i przebaczał obrazy, o czem świadczy następne zdarzenie. Król Jagiełło jechał konno przez ulice Torunia z wielkim mistrzem krzyżackim. W tem nagle jakaś kobieta, wylewając z górnego piętra pomyje, oblała mimowoli króla brudną wodą. Mistrz krzyżacki chciał za tę zniewagę ukarać śmiercią biedną kobietę, ale Jagiełło nie zezwolił na to, przedstawiając, że nie uczyniła tego umyślnie.

Chodził król ten w zwykłym kożuchu baranim bez żadnych ozdób. Nie cierpiał złota na szatach, ale za to jego serce było prawdziwie złotem, tj. szlachetnem i wspaniałem. Nie znał on obłudy, zawsze tylko to mówił, co myślał. Był także bardzo wstrzemięźliwym w używaniu potraw i napojów. Najchętniej pijał czystą wodę; rzadko używał miodu i to dopiero w ostatnich latach sędziwego żywota. Ta wstrzemięźliwość sprawiła, że żył lat 84 w dobrem zdrowiu.

Cechowała także Jagiełłę wielka pobożność. Gdy w podróży zobaczył z daleka szczyt kościelnej wieży, zaraz zdejmował czapkę i pomodlił się. Odprawiał często pobożne pielgrzymki, a podczas walki błagał nieraz na klęczkach Boga o zwycięztwo.

Trzy wielkie zasługi zjednał sobie Władysław Jagiełło w dziejach naszego kraju; zaprowadził on chrześciaństwo na Litwie, przyczynił się także wielce do połączenia Polski z Litwą, a wielkiem zwycięztwem pod Grunwaldem 1410 r. złamał potęgę Krzyżaków. Jest to największa bitwa w naszej przeszłości. Padło w niej 50,000 Krzyżaków, a 51 ich chorągwi wpadło w ręce naszych przodków.

Syn Władysława, Kazimierz Jagiellończyk, naśladował rodzica w wstrzemięźliwości, gdyż przez całe życie pił tylko wodę.

Jagiełło był praojcem królów polskich, zwanych Jagiellończykami, którzy 186 lat w Polsce i Litwie panowali. Byli to następni monarchowie: Władysław Jagiełło, Władysław Warneńczyk, Kazimierz Jagiellończyk, Jan Olbracht, Alexander, Zygmunt I i Zygmunt II. Pod ich rządami doszedł nasz naród do najwyższego szczebla potęgi i zamożności. Wtedy to istotnie przez pewien czas polsko-litewskie państwo dotykało brzegów morza Bałtyckiego i Czarnego.

Z siedmiu królów z rodu Jagiellonów spoczywa pięciu w Krakowie; zwłoki Władysława Warneńczyka spoczywają za granicą w nieznanem miejscu, a kości Alexandra pochowane w Wilnie, które jest stolicą Litwy.

Szlachetna zemsta.

Za panowania Kazimierza Jagielończyka dokuczał bardzo kmieciom w krakowskiej ziemi pewien starosta. Szczególnie gospodarz Jan Łopucha, zwany zwykle krótko Jonkiem, doznawał wiele złego od dworskich ludzi, i choć chodził na skargę do pana nic nigdy nie wskórał.

Zdarzyło się, że w pewnej nocy zajęło się ogniem mieszkanie starosty. Wieśniacy pomni krzywd, jakich doznali, nie chcieli spieszyć na ratunek. Wtedy stanął przed nimi Łopucha i rzekł te słowa: „Bracia, nadeszła pora, aby się pomścić za nasze krzywdy". Zdziwieni chłopi spojrzeli na mówiącego, a niejednemu brzmiał ten głos mile w uchu. Jonek mówił dalej: „Zemścijmy się, ale po chrześciańsku, oto idźmy czem prędzej ugasić ogień i ocalić rodzinę starosty; niech on pozna, jak to krakowiacy mścić się umieją."

Kmiecie, tą zachętą zagrzani, spieszą na pomoc i z prawdziwem poświęceniem starają się przytłumić pożar. Ci noszą wodę, inni skrabią się na dachy, tamci znowu wynoszą sprzęty i zapasy, pewna część znowu udaje się do stajni i obór, aby wyprowadzić konie, bydło i owce. Jonek był wszędzie na przedzie, wszędzie dodawał ducha i zachęty. Wtem usłyszał nagle głos starościny: „Ach mój Jaś kochany, gdzież on się znajduje?" Łopucha dopada i dowiaduje się od służebnych, że zapomniano o Jasiu, gdyż matka co dopiero przebudziła się z omdlenia. Dowiedziawszy się zacny kmieć, gdzie dziecko

sypia, rzuca się w płomienie, choć groziło mu każdej chwili niebezpieczeństwo życia. Bóg prowadził jego kroki, gdyż po kilku minutach wyniósł Jasia i złożył starościnie na łono. Trudno opisać radość matki. Ucałowawszy dziecię, klęknęła, a wznosząc dłonie serdecznie się modliła za powodzenie szlachetnego kmiecia.

Nazajutrz starosta zwołał całą gromadę, a gdy podziękował za pomoc, w te odezwał się słowa: „Janie Łopucho, popełniłeś dobry uczynek, za który Bóg ci zapłaci. Jednakże i ja z mej strony chciałbym coś dla ciebie uczynić. Mów, jakiej żądasz nagrody?“

Wieśniak ukłoniwszy się, odrzekł: „Nie uczyniliśmy nic nadzwyczajnego, gdyż godzi się ratować bliźniego w nieszczęciu. Ja i inni gospodarze nie znamy dzięki Bogu biedy, ale są między nami tacy, co jęczą w ucisku, niechże wielmożny pan o nich pamięta, a będziemy wynagrodzeni dostatecznie za naszą mało znaczącą pomoc.“

Rozrzewniły starostę te proste słowa. Odtąd zmienił się zupełnie i był dla włościan ojcem łaskawym. Jankowi darował na wieczne czasy dwa łany ziemi; trzymał mu z żoną dzieci do chrztu i często go w chacie odwiedzał.

Coś podobnego stało się w 300 lat później. Opisujemy to zdarzenie podług opowiadania Adama Gorczyńskiego.

Młody szlachcic Charłupski, dziedzic wielkich i małych Charłup, jako jedynak był źle wychowany. Zaślepieni rodzice pozwalali na wszystkie jego zachcenia, to też synek, nie odebrawszy starannego wychowania, dopuszczał się, gdy dorósł, różnych bezprawi, a mianowicie uciskał bardzo włościan. Przechodząc pewnego razu przez las, napotkał chłopa, który nie zdążył na czas zdjąć przed nim czapki, gdyż niósł wór zboża na plecach. Młody dziedzic kazał za to mniemane przewinienie osadzić wieśniaka w sklepie.

Właśnie w tym samym czasie pan Charłupski, który nietylko włościan uciskał, ale i sąsiednim dziedzicom dokuczał, najechał las stolnika, blizkiego sąsiada, wykopał graniczny kopiec i posunął go o kilka stai w głąb lasu. Kiedy o tem dano znać stolnikowi, uniósł się tenże gniewem, to też kazał uzbroić swych poddanych w cepy i kosy, aby ci pod dowództwem ekonoma, którego zwano podówczas podstarościm, napadli na dwór Charłupskiego. Podług rozkazu starosty miał winowajca własnemi rękami wykopać kopiec świeżo wzniesiony, a w dawnem miejscu miał usypać kopiec na nowo. Struchlał Charłupski, gdy się dowiedział o przygotowaniach stolnika i o karze, jaką miał ponieść. Nie tracąc ducha, uzbroił swych domowników i chłopów, ale ci doznawszy niejednej krzywdy, nie chcieli narażać życia za niedobrego pana, to też pierzchnęli, gdy ludzie stolnika w nocy nadeszli. Daremnie wołał Charłupski ratunku; nikt go dać nie mógł, bo nikogo nie było. Dopiero strach niewypowiedziany ogarnął opuszczonego; nie wiedząc sobie rady w takiem niebezpieczeństwie, gdzie nawet o życie chodziło, biegał po izbach, załamując ręce. Jak to mówią: „Kiedy trwoga, to do Boga“,

tak i dziedzic Charłup modlił się gorąco, przyrzekając poprawę życia, że już więcej włościan ciemiężyć nie będzie. Już mieszkanie otoczone zbrojnym ludem, ani myśleć o ucieczce. Już walić zaczęli do drzwi i okienic; jedyne schronienie było w sklepie. Bieży tedy, tchu mu nie staje; biegnie, pod pachą szkatułka z pieniędzmi, w jednym ręku klucze a w drugim niektóre kosztowności. Drżały mu ręce, ledwie było czasu otworzyć zamek i zamknąć go za sobą, gdyż już były wywalone drzwi od sieni; najezdnicy z hurmem i wrzawą wpadli do domu, wrzeszcząc: „Gdzie się podział szlachcic! szukać go!“ Charłupski, wbiegłszy do sklepu, padł na ziemię, jakby bez duszy, jednakże wkrótce obudziły go mocne pukania do drzwi żelaznych sklepu. Gdy otworzył oczy, dostrzegł w ciemności stojącego przed sobą człowieka. Był to ów wieśniak, trzymany w sklepie za niezdjęcie czapki. Struchlał pan na widok chłopa, któremu krzywdę wyrządził. Mniemał się być zgubionym; załamując ręce z pokorą, błagał o ilość. Poczciwy wieśniak ulitował się nad niedobrym panem w nieszczęściu i tak doń się odezwał:

„Wyrządziliście mi, wielmożny panie, wielką krzywdę. Może dziś Bóg was karze za uciskanie biednych. Ja jednakże nie pragnę zemsty i Bóg mi świadkiem, że chętnie wam pomogę, jeżeli to będzie w moich siłach. Opowiedźcie mi tylko, co się stało, że szukacie w sklepie schronienia.“

Charłupski opowiedział pokrótce rzecz całą, wołając: „O Matko wielkiego miłosierdzia, niechbym wszystko stracił, ale nie daj Boże doczekać się hańby, abym miał sypać kopiec i dostać się w moc stolnika!“

Wtem zagłuszył jego słowa huk wielki, gdyż rozbijano drzwi żelazne, wiodące do sklepu.

— Tak mi Boże dopomóż, rzekł wieśniak, — nie doznacie hańby; posłuchajcie jeno co wam powiem i zróbcie to, co wam poradzę.

— Ratuj mnie, dobry człowieku, krzyknął dziedzic, stokrotnie ci to wynagrodzę, a nietylko ciebie, ale i każdego, któregom skrzywdził mową i uczynkiem. Obiecuję szczerą poprawę.

— Kiedyć obiecujecie panie poprawę i żałujecie za grzechy, to niezawodnie Bóg miłosierny nie odmówi wam swojej pomocy i wybawi z tej biedy. Zróbcież tak, jak mówię. Zrzućcież czemprędzej wasze zwierzchnie szaty i przywdziejcie moje chłopskie. Wsadźcie na głowę moję czapkę i obleczcie się w moją sukmanę, a skoro odwalą drzwi do sklepu, powiemy, żeśmy poddani dziedzica, że nas tu zamknął niesprawiedliwie. Oni dadzą temu wiarę i wypuszczą nas na wolność, niby na przekorę panu. Wstąpiła nadzieja w duszę Charłupskiego, przystał więc chętnie na wszystko; ale skoro wieśniak zażądał, aby rozkuł dyby, któremi miał nogi skrępowane, nie dowierzając, zwrócił na niego spojrzenie i znowu trwoga opanowała serce, ażali wieśniak nie myśli o zdradzie i dla tego pragnie się uwolnić z kajdan. Ale z tamtej strony uderzano coraz silniej i zakładano drągi pod zawiasy.

Wieśniak nalegał na pana, gdyż nie było chwili do stracenia. „Stań się wola twoja,“ zawołał Charłupski i wnet przywdział sukmanę, uwolnił z kajdan jednę nogę wieśniaka i nałożył na swoją prawą nogę, aby był pozór, że zostali razem zakuci w jedne kajdany. Wnet się pokazało, że wieśniak nie był zdrajcą a rada jego była bardzo dobrą. Podstarości pana stolnika, wywaliwszy drzwi sklepowe, zastał w tym lochu dwóch chłopów; puścił ich zaraz na wolność, wcale im się nie przypatrując. Tak więc Charłupski uniknął strasznej zemsty sąsiada.

Stolnik, gdy go minęła pierwsza zapalczywość gniewu, chętnie przebaczył urazę, tem więcej, że obawiał się skargi sądowej za wymierzenie doraźnej kary. Nastąpiła zatem zgoda i wzajemne przebaczenie uraz.

Charłupski, widząc w nieszczęściu, które go dotknęło, oczywistą karę niebios za grzechy, a mianowicie za pychę, postanowił odtąd ubierać się na zawsze w wieśniacze szaty. Raz za pokutę, a powtóre, ażeby ta kmieca sukmana przypominała mu zawsze, że winien jej wybawienie od hańby. Odtąd Charłupski stał się zupełnie innym człowiekiem. Włościan nietylko nie gnębił, ale otaczał ich szczególną opieką, a wieśniaka, którego zamknął w więzieniu, uwolnił na wszystkie czasy od pańszczyzny i danin.

Ta historya pana Charłupskiego uczy nas, że jeźli Bóg spuści na nas nieszczęście, należy się poddać woli Jego najświętszej, a nie sarkać na przeciwieństwa. Każde nieszczęście jest albo karą za grzechy, albo środkiem poprawy życia. Jeżeliś zawinił,

przyjmij z pokorą karę, a gdyby cię dotknęło nieszczęście niezasłużone, choć to nader rzadko się dzieje, wtedy uważaj to za łaskę niebios, gdyż Bóg cię doświadcza, aby cię uczynić doskonałym. Wszakżeż złoto i żelazo tylko przez ogień i uderzenia młotem stają się użyteczne dla ludzi.

I druga z powyższego opowiadania wypływa nauka. Oto trzeba kochać lud wiejski i tych naszych rodaków, którzy pozostają w ciemnocie. Staraj się zaszczepiać oświatę pomiędzy młodzieżą i włościanami, gdyż oświata wyrywa nas z ziemskich niedoskonałości, wskazuje nam, jak żyć mamy, aby się zasłużyć Bogu, ojczyźnie i bliźnim.

Piękny przykład uszanowania kmiecego ludu daje nam Jan z Tarnowa, czyli Tarnowski, jeden z najznakomitszych bohaterów Polski. Urodził się on 1488 r., żył zatem za czasów panowania królów polskich: Kazimierza Jagiellończyka, Jana Olbrachta, Alexandra, Zygmunta I i Zygmunta Augusta. Był to nietylko wielki wojownik, który niejednokrotnie bronił skutecznie granic kraju, ale także znakomity uczony, oraz opiekun i dobroczyńca kmieci. To też po jego zgonie rok trwała po nim w całej Polsce żałoba.

Niżej podany wiersz opisuje prawdziwe zdarzenie z życia Jana Tarnowskiego.

Poszanowanie słuszności.

Otoczon w koło swych dworzan orszakiem,
Błyszczącym strojem i rzędy sutemi,
Raz Jan z Tarnowa pustym ciągnął szlakiem,
Późnym wieczorem wśród wołoskiej ziemi.

Już pomrok nocny zapadał na błonie,
Kryjąc całunem tarczę słońca złotą,
Strudzeni jazdą panowie i konie,
Z równą spoczynku pragnęli ochotą.
Niejeden nawet w cichości się żali,
Że dotąd brodzi wśród pustki i cieniu,
W tem psów szczekanie usłyszano w dali,
I jakieś światło błysło ich spojrzeniu.
Za tem światełkiem jak gwiazdką na niebie
Co im zabłysła spojrzeniem łaskawem,
Cały tłum dworzan wzrok wiodąc przed siebie,
Za swoim panem zwrócił się niebawem,
I wnet dziecinną porzucono troskę,
Nadzieja wszystkim rozjaśniła lica,
Bo w chwilę potem zobaczono wioskę,
Z licznemi chaty i dworem dziedzica.
A pan z Tarnowa rad także spocznieniu,
Wysłał niebawem jednego z drużyny,
By do dziedzica szedł w jego imieniu,
Prosić strudzonym uprzejmej gościny.
„Panie! rzekł dziedzic chętnie każdą porą,
Czem mogę bliźnim pomagam w potrzebie,
Lecz mam dom mały, a w nim żonę chorą,
Nie mógłbym godnie przyjąć was u siebie,
Lecz jeżli łaska, to wśród mojej włości,
Nie raczcie wzgardzić choć kmiecą zagrodą,
Ściany jej zmieszczą utrudzonych gości,
A ja was wszelką otoczę wygodą.“
Skłonił się poseł na odpowiedź taką,
Powtórzył panu słowa usłyszane,
A dobry dziedzic z radości oznaką
Powiódł swych gości na miejsce wskazane.
Lecz wprzód przed kmieciem, odkrywszy swą głowę,
W grzecznych wyrazach próźb swoich nie skąpił,

Aby wzgląd mając na tę jego mowę.
Mieszkania swego wędrowcom ustąpił.
Widząc to wszystko, rzekł jeden z dworzanów:
„A czyli też to przystało na świecie,
Wśród własnej ziemi dla dziedziców, panów,
Tak o gościnę prosić swoje kmiecie?
Jabym zaś zamiast tak błagać w pokorze,
I narażać się na słów próżną stratę,
Rozkazał chłopu nocować na dworze,
I według woli zajął całą chatę.“
Wtedy mu gniewnie odrzekł pan z Tarnowa:
„Czyż się tak godzi gardzić kmiecym stanem,
Pełne bezprawia są te waści słowa,
W swym kątku każdy zarówno jest panem.
Poczciwy chłopek na swej szczupłej roli,
Wart jest szacunku w swym stanie ubogim,
Pełniąc powinność, żyjąc w Bożej woli,
Jak każdy inny sąsiadem jest drogim.“
I długo potem wśród rodzinnych progów,
Słusznie należnej używając chwały,
Dzielny Tarnowski, straszliwy dla wrogów,
Powtarzał chętnie ten wypadek mały.

Emilia Leja.

Z szewca ksiądz świętobliwy.

Siedm mil za Krakowem nad granicą Śląska leży miasteczko Sławków, słynne niegdyś kopalniami ołowiu. W tem mieście urodził się Świętosław. Rodzice jego byli ubodzy mieszczanie, ale zdobiła ich wielka pobożność, dla tego też zaszczepili te cnoty w sercu syna. Mimo ubóstwa oddali oni młodziuchnego Świętosława do szkółki, aby się nauczył najpotrzebniejszych języków i nauk. Uczył się dobrze chłopiec, ale cóż, kiedy w niedłu-

gim czasie umarli mu rodzice. Ciężka to klęska dla dziecka, które wcześnie traci ojca i matkę. Doświadczył tego Świętosław, gdyż krewni odebrali go ze szkół i przeznaczyli, aby się wyuczył rzemiosła szewskiego. Świętosław, nie opierając się wcale, przykładał się pilnie, aby się wykierować na dobrego szewca. Był posłusznym majstrowi i jego żonie, a taki był pokorny, że choć odebrał niezasłużoną naganę, milczał, okazując zawsze twarz pogodną. Wyuczywszy się dokładnie szewstwa, pracował usilnie przez cały dzień na utrzymanie, a większą część nocy spędzał na modlitwie. Dla siebie potrzebował bardzo mało, dlatego mógł z swego zarobku wspierać ubogich. Uzyskał taką łaskę u Boga, że widział razu pewnego Ś. Stanisława, biskupa, otoczonego kapłanami i pobożnemi ludźmi. Świętosław, czując w sobie powołanie do duchownego zawodu, sprzedał co miał, a rozdawszy pieniądze ubogim, udał się do Krakowa, a choć był już dorosłym, zaczął się uczyć na nowo w szkole. Z powodu wzorowej pilności, przyswoił sobie dokładną znajomość języka łacińskiego i innych potrzebnych nauk. W niedługim czasie został przyjęty jako kleryk, a następnie wyświęcił go biskup na kapłana i przeznaczył do kościoła Panny Maryi w Krakowie, gdzie przebywał do końca życia. Spędzał znaczną część czasu na modlitwie, ale prócz tego nie zaniedbywał ręcznej pracy, gdyż niemożna wciąż się modlić. Świętosław ukochał wielce milczenie, dla tego też ustrzegł się licznych grzechów, gdyż wiadomo, że wielomówstwo staje się

najczęściej przyczyną licznych przestępstw. Tylko czasem, gdy był w towarzystwie świętobliwych mężów, zabierał głos w rozmowie pobożnej, wystrzegał się przecież mówić o rzeczach świeckich. Umarł Świętosław 1489 r. Pochowany w kościele Panny Maryi, gdzie za jego sprawą doznali wierni licznych cudów.

Poznaj ztąd młodzieży, że i do świętobliwego życia jest potrzebną nauka.

Dwaj miłośnicy prawdy.

Szedł dawnemi czasami ubogi pątnik, czyli pielgrzym do Rzymu. W lesie napadli go zbójcy. „Oddaj pieniądze, jakie masz, bo jak nie oddasz, śmierć cię czeka.“ Pielgrzym sięgnął ręką do kieszeni i podał im nieco grosza, mówiąc, że niema więcej. Gdy się zbójcy oddalili, przypomniał sobie podróżny, że posiada kilka dukatów, zaszytych w sukni, o których zupełnie zapomniał. Skoro to spostrzegł, zaraz zaczął gonić rozbójników, wołając, że jeszcze ma pieniądze. Oskarża się potem przed nimi, że mimowoli popełnił kłamstwo i oddaje im dukaty. To zamiłowanie prawdy tak zmiękczyło zbójców, że nietylko oddali mu pieniądze, ale prócz tego czyniąc pokutę, nawrócili się do Boga.

Tym miłośnikiem prawdy jest nasz rodak, Święty Jan Kanty, Patron Królestwa Polskiego i uczącej się młodzieży. Był on za życia kapłanem i profesorem przy akademii, tj. najwyższej szkole polskiej w Krakowie.

Urodził się Jan Kanty w miasteczku Kętach 1412 r. za panowania Władysława

Jagiełły. W młodości uczył się pilnie i był bardzo pobożnym. Zostawszy kapłanem, jaśniał wielkiemi cnotami. Był tak miłosiernym, że nieraz widząc ubogiego, darował mu własną szatę i trzewiki. Miłował Mąż Boży nade wszystko Pana Jezusa i Matkę Najświętszą, ich też słodkie imiona miał zawsze na ustach. Puszczał chętnie urazy w niepamięć, a jeżeli mu się zdawało, że kogo nieumyślnie obraził, błagał o przebaczenie. Nadzwyczaj był wstrzemięźliwym w słowach, a nigdy o nikim źle nie mówił. Napisał sobie w mieszkaniu na ścianie następne zdania:

Strzeż się kogokolwiek zasmucić, bo przykro jest przepraszać; nie mów źle o bliźnim, bo trudno odwołać.

Stanowczo zatem potępia mąż święty obmowy, plotki i odbieranie dobrej sławy bliźniemu. Niejeden i niejedna mówi źle o bliźnim, choć nie wie z pewnością, czy te posądzania są słuszne. Nawet i wtedy trzeba o bliźnich łagodnie się wyrażać, choćby błądzili, a cóż dopiero, jeżeli się opiera sąd na przypuszczeniach i mowie złych ludzi.

Zakończył życie Ś. Jan Kanty 1473 r.; pochowany w Krakowie w kościele Ś. Anny.

Drugim wielkim miłośnikiem prawdy był Ś. Kazimierz, syn Kazimierza Jagiellończyka, króla polskiego. Urodził on się 1460 r. Już od najpierwszej młodości ukochał różne cnoty a mianowicie pobożność, czystość i zamiłowanie prawdy. Mawiał on często, że po Bogu prawdzie najpierw służyć należy. Czystość duszy i ciała tak umiłował, że nietylko nie czynił nic takiego,

czegoby się wstydził przed rodzicami, ale nawet w słowach i myślach był czystym, zatem nigdy nie wymówił żadnej klątwy, albo słowa nieprzyzwoitego, któreby obrażało skromność. Jakżeż się to dziś dzieje? Małe dzieci, co ledwie znać ich przy ziemi, klną nieraz i używają takich plugawych wyrazów, że się wzdryga serce prawego człowieka.

Kazimierz wolał umrzeć niż popełnić grzech przeciw czystości. Często wymykał się w nocy cichaczem z komnaty i szedł do kościoła, a gdy kościół był zamknięty, modlił się u wrot kościelnych. Chociaż spędzał wiele czasu na modlitwie, jednakże nie zaniedbywał pracy naukowej, owszem doprowadził do takiej doskonałości, że nawet składał wiersze łacińskie. Z latami pomnażał się Kazimierz w cnotach i mądrości. Nigdy o nikim źle nie mówił i wogóle rzadko przemawiał. Był też opiekunem sierót, wdów i nędzarzy. Jeżeli kto był niesprawiedliwie osądzonym, wstawiał się do ojca, aby go nie karać. Umarł królewski młodziniec w Grodnie 1484 r., pochowany w Wilnie. R. 1521 został policzony w poczet Świętych Pańskich kościoła rzymsko-katolickiego.

Kto nie miłuje prawdy, nie będzie nigdy doskonałym. Chrystus powiedział o sobie: „Jam jest drogą, prawdą i żywotem.“ Przeciwieństwem prawdy jest kłamstwo. Kto kłamie, nie miłuje prawdy. Ś. Jan Kanty i Ś. Kazimierz niech ci będą na pamięci, gdybyś chciał splamić kłamstwem twe usta.

Dzbanek rozbity.

Legenda z życia śp. Jana Kantego
przez Sewerynę Duchińską.

Po nad Rudawą, u stóp Wawelu,
W pogodzie ducha, w serca weselu,
Szedł kapłan Boży lekkiemi kroki,
Wzrokiem widnokrąg objął szeroki.
Kłosy na łanach przed nim się kłonią,
Zioła nań słodką buchnęły wonią:
W koło go pszczółek okrążą roje.
— „Skąd on, pytają, ssie miody swoje?
Żaliż te kwiaty na ziemi rosną,
Że mu ich nie brak zimą i wiosną?
Śpiewny skowronek widzi go z góry;
W lot ku świętemu mknie przez lazury,
Krąży nad czołem — pyta w pokorze,
Czemu w niebiosa wzbić się się nie może
Tak wysokiemi, jak on, poloty?
A słońce promień rzuca nań złoty,
Barwi mu lica i jasnem kołem
Po nad pogodnem zawisło czołem,
A święty idzie drogą kwiecistą,
W myśli mu błogo, w duszy przeczysto,
Wszędzie głos Boży pochwycić umie,
W szeleście wiatru i wody szumie,
Nim karmi serce, ożywia chęci,
Na ziemi tylko szczęśliwi święci!
Coraz to żywiej słońce przypieka,
Łożysko Wisły świeci z daleka;
Rudawa płynie coraz to szerzej,
Spieszy w objęcia miłej macierzy.
Znużony kapłan spoczął w olch cieniu,
Za biegiem rzeki patrzy w milczeniu,
Słucha i słucha pogwaru Wisły,
I nagle zadrżał — oczy mu błysły.
Jęk go żałosny dobieży zdala;
Czy tak wiślana załkała fala,
Gdy chwyta w łono prądy Rudawy?
Zkądże ta skarga i ten jęk łzawy?
Powstał na nogi, otarł pot z czoła,
Jakby go niosły skrzydła Anioła;
Dąży za głosem ile tchu stanie,
I coraz bliżej dobiega łkanie.

Spojrzy, a oto widzi nad rzeką
Rozlane strugą bieluchne mleko,
A dalej dziewczę włos płowy targa,
Z ust jej żałosna wybiega skarga.
Na ziemi leżą czerepy z gliny,
To rozstrzaskany dzbanek dziewczyny!
Płacze i woła: „Boże mój Boże!
Kto mi poradzi, kto mnie wspomoże?
Jam się poślizgła na drodze gładkiej,
Było w tym dzbanku mleko dla matki,
Czemże nieboga siły pokrzepi?
Nieszczęsna dola! umrzeć by lepiej!
Jam zawiniła... biadaż mi... biada!“
I obie ręce pobożnie składa:
„Tyś jedno mocen wesprzeć mnie, Panie!
Rzecz tylko słowo, a cud się stanie.
Kto świat zbudował mocą swej woli,
Ten i czerepom zrość się pozwoli,
I nowe mleko wleje do dzbana.“
Słyszy to święty — padł na kolana,
„Panie! zawoła, odpuść jej winy,
Wielkaż bo wiara w sercu dziewczyny!
Ona ku Tobie podniosła oczy,
Promień Twej łaski niech ją otoczy!“
Powstał z miłością, z wiarą, z nadzieją,
Niby dwie gwiazdy, oczy mu tleją,
Zbiera czerepy... i w dłoni świętej,
Zrosł się cudownie dzban rozpryśnięty.
Potem go wodą napełni rzeczną,
Kreśli znak krzyża z wiarą serdeczną,
I cudem w mleko mieni się woda;
Schwyciła dzbanek dzieweczka młoda,
Zaledwie szczęściu własnemu wierzy,
Poskoczy w pląsach w progi macierzy.
A święty kapłan ukląkł nad rzeką,
I sięgnął duchem w przyszłość daleką,
Zbiega proroczo wieki i lata,
Dni klęsk i chwały na wątek splata,
Grzechy i cnoty składa na szali,
Aż mu rumieniec czoło zapali;
Łzy po jagodach stoczą się strugą,
Długo się modli... oh!.. płacze długo!
Żarem południa słońce rozbłysło,
Piosnka flisaków płynie nad Wisłą,

Kmiotek za pługiem ku ziemi zgięty,
Śpiewa na chwałę Panienki Świętej.
Woń macierzanki z wiatrem powiewa,
Szumi Rudawa, szeleszczą drzewa,
I dzwon z wysokiej Wawelu wieży,
Boga Rodzicy pokłon uderzy.

A Święty z ziemi nie powstał jeszcze,
Z czoła mu zbiegły chmury złowieszcze,
Syty natchnienia, łask Bożych syty,
Wspomniał z otuchą on dzban rozbity,
Na nowo Bożym spojony cudem.
„Tak będzie, rzecze z mym biednym ludem!
Zszarpan na kęsy, grzeszny i ślepy,
On tak się zrośnie, jak te czerepy,
Niech tylko serce z sercem się zrasta,
Niech żyje święcie mąż i niewiasta,
Niech żar miłości dusze przebodzie,
Niech spotężnieje wiara w narodzie,
Niech do serc dawna wróci prostota,
Niech nie ułaknie chleba sierota.“

A słońce z góry kręgi jasnemi
Wieńczy przeczyste proroka czoło.
Święty zatoczy wzrokiem około,
Pragnie i ufa, kocha i wierzy,
A dzwony biją z Wawelu wieży;
Blade mu widma zbiegły z pamięci,
I chwali Pana, jak chwalą święci!

Wzór wstrzemięźliwości.

Gdy Alexander, który panował w Polsce od r. 1501 do 1506, zobaczył w Wilnie księcia Mikołaja Radziwiłła, zwanego Starym, bo liczył już przeszło 100 lat życia, wtedy rzekł król: „Dziwię się wielce, mości wojewodo, że liczycie już 100 lat wieku, a jeszcze tak czerstwo wyglądacie. Powiedźcie mi, jakich sposobów używacie, aby w tak późne lata wiek swój przeciągnąć?“

Na to stuletni Radziwiłł dał następną odpowiedź: „Od młodości mojej gardziłem

nikczemnym zbytkiem, z daleka zawsze bywałem od wina, miodu i podobnych napojów, a piłem zawsze tylko czystą wodę. Oto moje sposoby, za pomocą których nietylko życie przedłużyłem, ale i zdrowia dobrego zawsze zażywałem.“

Mikołaj Radziwiłł, zwany Starym z powodu długiego życia, urodził się 1398 r., a umarł 1507 r., żył zatem 109 lat.

W dawnej Polsce wielu było Polaków i Polek, którzy odznaczali się długiem życiem. Piast, praojciec królów polskich, żył podobno lat 120. Władysław Jagiełło, król polski, doszedł do 84 roku; tego samego wieku dożył wnuk jego Zygmunt I. Katarzyna Odrowążówna, pochowana w Przeworsku, przeżyła 120 lat w panieńskim stanie. Ossowski, szlachcic w województwie lubelskiem, mając lat 115 jeździł konno i gryzł orzechy. Stanisław Kaski z Rawskiego żył lat 130, jego żona z domu Petrykowska 95, a ich syn Stanisław 116. Wiśniewski, w księstwie oświecimskiem zamieszkały, licząc lat 140, chodził jeszcze pieszo do kościoła. Za panowania Jana Kazimierza króla polskiego, żył we wsi Zapatowie, w województwie ruskiem, chłop, który doszedł 180 roku życia, najmłodszy jego syn miał lat 120, a wnuk 90; ten wnuk miał znowu wnuki, przeto jego dziad doczekał się szóstego pokolenia. Zdarzył się razu pewnego w tej rodzinie wypadek, że starzec stuletni płakał przed domem. Jakiś podróżny, zdjęty litością, pyta się o przyczynę płaczu. Na to odpowie staruszek: „Jakże nie mam płakać, kiedy mój ojciec źle się ze mną obchodzi i często

mnie bije." Wtem wyszedł ojciec 160 letni i zawołał: „Poczekaj ty gołowąsie, chłystku jakiś, który nie chcesz szanować starszych, nauczę ja cię rozumu." Syn stuletni, siwy jak gołąb, skłonił się do nóg starca i serdecznie go przepraszał za mniemaną winę. Mówimy mniemaną, gdyż ojciec obchodził się jeszcze z synem, jakby z niedoletniem pacholęciem. Syn siwy słucha ojca i z pokorą przyjmuje nietylko napomnienia, ale i karę — cóż wy na to polskie dzieci?

Dawni Polacy, żyjąc wstrzemięźliwie, nietylko dochodzili lat sędziwych, ale byli także bardzo silnymi. Do najmocniejszych Polaków, jacy kiedykolwiek istnieli, należy Stanisław Ciołek, który żył za panowania Kazimierza Wielkiego. Składał tak wielkie próby swej niezwykłej siły, że dziś temu trudno dać wiarę; a jednak są opowiadania o jego sile prawdziwe, gdyż opisali je wiarogodnie pisarze. Ciołek, gdy wziął w rękę surowe drzewo i ścisnął mocno rękoma, wtedy ciekł z niego sok jak z gębki. Niech kto dziś dokaże tej sztuki. Razu pewnego 40 ludzi mocowało się, aby w Krakowie wciągnąć dzwon na wieżę kościelną. Ciołek sam jeden schwycił dzwon za uszy i zaniósł na przeznaczone miejsce. Robotnicy ze strachu pouciekali. W jego wsi Otrołęce przy stawianiu młyna potrzebną była belka, której 24 ludzi ruszyć nie mogło. Stanisław kazał im chwycić za cieńszy koniec, a sam chwycił za grubszy; chłopi się zmęczyli, że aż pot im sączył z czoła, a pan ich kroczył wesoło naprzód. Zakreśliwszy koło na piasku, rozkazał dwudziestu chłopom, aby go

powrozami z koła wyciągnęli: nie mogli go ani ruszyć, ale jak on szarpnął, wszystkich wywrócił. Bywał Ciołek na dworze Kazimierza Wielkiego, zadziwiając swą siłą króla i jego gości. Za panowania króla Alexandra żył rycerz Brudziński, który sześciu zbrojnych rycerzy w górę podniósł, a gdy siedział na koniu, wtedy chwytał się rękami za belkę nad wrotami, a ścisnąwszy konia kolanami, unosił go nad ziemię.

Wojciech Lachocki, ubrany w żelazną zbroję, przeskakiwał konia. Król Zygmunt I w młodości rwał powrozy i łamał podkowy.

Jan Tarło z Szczekarzowic, krajczy króla Zygmunta I, słynął z nadzwyczajnej siły. Żadne drzwi żelazne, żaden zamek najmocniejszy, nie wytrzymały silnego razu jego ręki. Sztaby żelazne giął w ręku, jak gdyby były woskowe. Gdy ugodził rozjuszonego niedźwiedzia oszczepem, zwierz padał od razu zabity.

Nawet niektóre Polki siłą się odznaczały. Cymburga, księżniczka mazowiecka, pramatka cesarzów austryackich, nietylko tłukła palcem orzechy laskowe i włoskie, ale nawet żelazne gwoździe ręką w ścianę wbijała.

Banna Barska, obywatelka województwa kaliskiego i Grabkowska, zamieszkała w województwie poznańskiem, kiedy ręką w pięść złożoną przycisnęły orzechy, wtedy wydobywał się z nich olej.

Lacka, wziąwszy stół długi z zastawionem jadłem, podniosła ze wszystkiem do góry, a nic się nie rozlało.

Obecnie głównie z powodu nadużywania wina, piwa i wódki nie ma silnych Polaków, tylko czasem pomiędzy wiejskim ludem napotykamy siłaczy. Wójcicki opowiada, że znał chłopa, którego chwytało dwunastu najmocniejszych ze wsi parobków, ale gdy ów siłacz się wstrząsnął, chłopstwo jak gruszki padało na ziemię.

Pamiętajcie, że przedewszyskiem hartowanie sił za młodu i wstrzemięźliwe życie dodają sił, zdrowia i życia.

Nie wydał tajemnicy, choć go ogniem pieczono.

Za panowania królów polskich Alexandra i Zygmunta I odznaczył się na Litwie Michał Gliński. Był to wielki wojownik. R. 1507 pobił Tatarów pod Kłeckiem. Dopuściwszy się różnych bezprawi, udał się na dwór wielkiego księcia moskiewskiego, który go mile przyjął, gdyż zamierzał toczyć wojnę z Polakami.

Gliński czuł wielkie zgryzoty, gdyż dopuszczał się zdrady na ojczystym kraju, a któryż zdrajca kraju posiada spokojne sumienie? Król Zygmunt ubolewając, że taki dzielny wojownik wysługuje się wrogom, wysłał do niego Stanisława Trepkę, aby tenże nietylko upewnił Glińskiego o łasce królewskiej, ale aby także ułatwił mu ucieczkę. Dostrzegli wrogowie, że Trepka widuje się z Glińskim, dla tego osadzili go w więzieniu, a następnie zadawali mu najwyszukańsze męczarnie, gdyż nietylko go bili, kopali, ale wbijali mu drzazgi za paznokcie, a nawet postawili na żarzących węglach, rozkazując mu, aby wydał tajemnicę. Mężny Trepka zniósł wszystkie te męki z wielką pogodą umysłu, a choć ból na wskroś świdrował jego ciało, nie wydał ani jednego jęku boleści. Wreszcie zakończył życie a nic nie wydał. Sami Moskale podziwiali niezłomną moc duszy Trepki, który wolał życie poświęcić, aniżeli zdradzić powierzoną mu tajemnicę.

Podobnym czynem odznaczył się w legionach polskich, które pod dowództwem Dąbrowskiego we Włoszech wojowały, żołnierz Ignacy Brzozowski, pochodzący ze wsi Wasilkowa pod Tarnopolem. Podjął on się na rozkaz generała Kniaziewicza niebezpiecznej posyłki do oddziału polskiego, rozłożonego pod Terraczynem, aby przenieść wiadomość, zkąd, kiedy i jakim sposobem należało uderzyć na nieprzyjaciół. Powstańcy kalabryjscy schwytali dzielnego wiarusa, a przywiązawszy go do drzewa zaczęli go poniewierać i pytać się o powód podróży. Mężny Brzozowski, jakoby przykładem Trepki zagrzany, nie wydał tajemnicy, choć powstańcy rozpalili ogień, aby go spalić. Już płomienie zaczęły palić ciało żołnierza, ale wzniecony dym zwrócił uwagę znajdujących się w pobliżu polskich legionistów, którzy szybko w to miejsce się udawszy, ocalili Brzozowskiego od męczeństwa.

Ślązak Pretwicz broni Polski za panowania królów polskich Zygmunta I i Zygmunta II.

Bernard Pretwicz, którego ojciec przeniósł się ze Ślązka do Polski, jest prawie

nieznanym w dziejach naszego kraju, a przecież jest to jeden z naszych najzasłużeńszych bohaterów. Stoczył on 70 najwięcej zwycięzkich potyczek z Turkami i Tatarami. Bartosz Paprocki,. sławny pisarz z czasów zygmuntowskich, zowie Pretwicza „murem krajów podolskich.“ O nim powstało przysłowie ludowe, że „za czasów pana Pretwicza spała od Tatar granica,“ to znaczy, iż była bezpieczną. W r. 1541 zapędził się Pretwicz aż pod Oczaków nad morzem Czarnem, a w rok później wkroczył zwycięzko na półwysep krymski, zwany także Tauryda, gdzie była główna siedziba Tatarów. Spustoszył także Budziak, czyli dzisiejszą Besarabią. Tatarskie niewiasty, opowiadając swym dzieciom o wielkim polskim wojowniku, mówiły, że dla tego tak często zwycięża, ponieważ posiada amulet, tj. drogi kamień, przynoszący szczęście, który ma od książąt maurytańskich w Hiszpanii. Zakończył Pretwicz życie 1561 r. za panowania Zygmunta Augusta.

Aby utrwalić pamięć tego zasłużonego, a mało znanego rycerza, przytaczamy tu wiersz, napisany przez Kazimierza Oszmianina. [1])

Pamięci Bernarda Pretwicza.

Młodzieży polska, znasz ty rycerza,
Co krasi dzieje naszej ojczyzny?
Zawołanego stepów szermierza,
A tak głośnego pośród obczyzny?...

[1]) Wyjęto z „Domu polskiego,“ pisma wydawanego przez Teofilę Radońską w Poznaniu od 1888–1890.

Wyryjcie w sercu to imie sławne,
Czerpcie z krynicy wspomnienia zdroju,
Pijcie, jak nektar, to życie dawne,
Ono, jak balsam, od łez i znoju.

O! Matko święta, ojczyzno droga,
Gdybyś ty tylko wyliczyć chciała,
Ilu to mężów miałaś od Boga,
Chwałaby Polski bardziej rozbrzmiała.

Byłby to wieniec, ślicznie uwity
Z lechickich kwiatów barwnej piękności,
Z których niejeden, dzisiaj zabyty,
A cudnie jaśniał w dawnej przeszłości.

Młodzieży polska, więc w ręce braci
Złożę choć jedno słabe wspomnienie:
Niech pamięć wasza z oczu nie traci,
Co tak rzucało złote promienie.

Trzy wieki temu przeszło z okładem,
Gdy mężny Pretwicz czuwał na szlakach,
I gdy rycerstwu świecił przykładem,
Jak biedz na ostre w pancernych znakach.

Wodził, by orły swoje drużyny
Przez puste pola, jary, czachary,
I młódź nadworną kniazia Puzyny,
Gdy rozbijali w siołach Tatary.

Pretwicz nie zaznał, co to jest trwoga,
Jego okrzykiem: „pogan zagłada!“
Gdyby uragan wpadał na wroga
I w puch roznosił hufce Murada.

A rozgromiwszy, puszczał zagony,
Po koczowiskach, niwach Budziaku,
Siejąc pożogę na wszystkie strony,
Grożąc wtargnięciem wodzom kipczaku.

Pohaniec krymski mijał zdaleka,
Jak zoczył znaki pana Pretwica,
Wiedział, iż pomsta z mieczem go czeka,
Gdy przekroczona polska granica.

Długo po jurtach prawiły matki
O pustyń hanie, walecznym giaurze,
O wielkim wodzu ucząc swe dziatki,
Co wziął amulet po hiszpańskim maurze.

Męztwo cześć świętą budzi w islamie,
Cenny to klejnot, dany od Boga,
Wielkiemi głoski wpisano w koranie:
Uchylaj czoła dla mężnego wroga.

I tak ujmował sercem i wolą
Miłość ogólną w swoim zawodzie,
Bolejąc zawsze nad słabych dolą,
Nad ich uciskiem w siole lub grodzie.

Nad sinym Dnieprem długo lud śpiewał
Czyny rozgłośne pana Pretwica,
Jakie to gromkie wyprawy miewał,
I co zdziałała jego szablica!

Przeszłości polska! ty, jak sen złoty,
Za tobą biegnie ciężkie westchnienie,
W duszy się żłobi robak zgryzoty
I wywołuje smutne wspomnienie.

Minione dzieje stają, jak we śnie,
Cienie spiżowe wznoszą się nad głową,
Z grobowców ojce patrzą boleśnie,
Witając wnuków zachęty mową.

Książęta Roman i Eustachy Sanguszko.

Ród książąt Sanguszków, wywodzący swój początek od książąt litewskich, zasłużył się dobrze Polsce. Najwięcej w tym rodzie zasłynął książę Roman Sanguszko, syn Jędrzeja, urodzony 1537 r. Mając lat 18, wstąpił w szeregi wojskowe. Zaprawiał się do dzieł wojennych pod dowództwem księcia Konstantyna Ostrogskiego, sławnego wojownika. W trzy lata na czele osobnego oddziału pobił Tatarów. Najświetniejszym jego czynem było zwycięztwo na polach izwańskich niedaleko Czasnik na Białej Rusi, odniesione r. 1567. Stał tam obóz moskiewski, liczący 8000 żołnierzy. Sanguszko miał pod swemi rozkazami tylko 1900 ludzi, jednakże uderzył śmiało na Moskali i rozgromił. Polacy utracili tylko 12 wojaków. Daleko przecież świetniejsze zwycięztwo odniósł książę Roman pomiędzy Ułą a Soszą, obskoczywszy niespodzianie oddział moskiewski, liczący 9000 głów. Znaczna część nieprzyjaciół padła na pobojowisku, część wzięta w niewolę, a reszta uciekła. Sanguszko na czele wojska rzucił się śmiało w bój krwawy, a zobaczywszy moskiewskiego wodza Mienszuka, natarł na niego z dobytym mieczem. Wszczęła się zacięta walka, z szabel iskry pryskały, uderzenia migały jak błyskawica. Wtem nagle Mienszuk, ugodzony śmiertelnie polskim mieczem, spada z konia, a krew obficie z ran jego się leje. Nieco później zdobył książę obronny zamek Ułę. Na sejmie w Lublinie przedstawił królowi Zygmuntowi dwóch moskiewskich wojewodów, 300 bojarów, tj. znakomitych panów, 800 strzelców, oraz wiele dział i chorągwi. Król Zygmunt August mianował go za te waleczne czyny hetmanem polnym litewskim,

choć Sanguszko liczył dopiero 31 lat wieku. W r. 1569 poraził na głowę Tatarów pod Humaniem na Ukrainie. Niestety! dzielny ten bohater, który mógł jeszcze oddać wielkie przysługi narodowi, umarł 1571 r., licząc dopiero 34 lat życia.

W r. 1794 odznaczył się świetnie w powstaniu kościuszkowskiem książę Eustachy Sanguszko, który głównie się przyczynił do ocalenia polskiej armii pod Szczekocinami, kiedy Polacy musieli się cofać przed połączonemi wojskami Prusaków i Moskali. Książę Eustachy dowodził wówczas artyleryą, która raziła skutecznie nacierających nieprzyjaciół.

Rozczulającym jest zgon tego zacnego męża. Mieszkał on w miasteczku Sławucie na Wołyniu. W Listopadzie 1844 r. ciężko zachorował, znękany nietylko sędziwemi laty, ale także losami kraju i rodziny. Zmarła mu córka Dorota, a syn Roman nawiedzony był strasznem kalectwem. Na tydzień przed śmiercią zapytał się lekarza:

— Powiedz mi tak szczerze, jak mężczyźnie, czy wyjdę ja z tej choroby?

Lekarz milczał, ale to milczenie było wymowne.

— Przecież wiem, że każdy umierać musi, odparł książę, liczę 72 lata, dwie siekierki, zatem życia sobie już długiego nie rokuję, dzień prędzej, czy później, przyjdzie może godzina, a chciałbym jako głowa rodziny, jako chrześcianin wiedzieć wcześnie i przygotować się do uroczystej chwili. Poproście mi księdza Czajkowskiego.

Gdy przyszedł kapłan, odprawił książę ze skruchą spowiedź, a choć był bardzo słabym, jednakże na klęczkach przyjmował świętą komunią.

Wstawszy na chwilę, poszedł przed zwierciadło, a popatrzywszy na swą postać, rzekł z westchnieniem, przypominając sobie młodość:

— Hej, hej, nic już z ciebie nie będzie, stary! A nie lepiej ci było ginąć w bitwie po żołniersku, niż teraz powoli na łóżku umierać.

Dwa dni przed zgonem pożegnał się czule z rodziną; błogosławił żonę, z którą przeżył lat 40, oddalonych synów, wnuczkę Maryą, dalekich wnuków, krewnych, przyjaciół, urzędników i domowników. Gromady wiosek książęcych przyszły pożegnać swego dziedzica, który był dla nich zawsze troskliwym ojcem; zalegały one dziedziniec, nie śmiejąc się silniej odezwać, aby mu nie przerywać spoczynku. Książę dowiedziawszy się o nich, wezwał kilku starszych do siebie i tych także pobłogosławił, dodając: „Ej, pamiętajcie na naszą starą Kniaziowszczyznę.“ Ludzie rozczuleni płakali, jak małe dzieci.

W wigilią zgonu książę modlił się coraz gorliwiej, a w końcu przyjął Sakrament Ostatniego Olejem ś. Namaszczenia, zasiłek na drogę wieczności, którym nas kościół żegna i opatruje dzieci swoje.

Ku wieczorowi zrobiło się znacznie gorzej starcowi, zgon widocznie się zbliżał, osłabienie odjęło mowę, ale przytomność została do końca; nareszcie d. 20 Listopada

rano książę Eustachy, spojrzawszy na wschodzące słońce, oddał Bogu ducha.

Synem Eustachego był Roman Sanguszko, który wziął czynny udział w powstaniu 1831 r. Za to po upadku ruchu narodowego był srogo karany, gdyż odbywał podróż na Sybir w zwykłym ubiorze aresztanckim w kajdanach i z żelazną kulą u nogi. Ofiarowano mu na rozkaz cara wóz, ale nieugięty książę Roman tylko pod tym warunkiem chciał korzystać z ułatwienia, jeżeli także towarzysze jego niedoli uzyskają podobne uwolnienie. Odmówiono, zatem potomek hetmańskiego rodu szedł pieszo w kajdanach, pocieszając się myślą, że cierpi za ojczyznę. Pozostając w ciężkiej niewoli, utracił z powodu barbarzyństwa Moskali słuch zupełnie. Został w końcu obdarowany wprawdzie wolnością, ale pozostawał zawsze pod dozorem policyjnym.

Obecnie marszałkiem sejmu galicyjskiego we Lwowie jest książę Eustachy Sanguszko, mąż pełen zasług dla sprawy narodowej.

Syn kmiecia profesorem w akademii krakowskiej.

I.

Pomiędzy miastami wielkopolskiemi Wrześnią a Czerniejewem leży wieś kościelna Marzenin, w której około 1530 r. mieszkał kmieć Grzegórz Twardy z żoną Katarzyną. Urodziło im się troje dzieci: tj. najstarszy syn Stanisław, córka Agnieszka i Wojciech. Rodzice byli bardzo bogobojni, dla tego wychowywali dzieci w bojaźni Bożej, zachęcając ze wszech sił do zamiłowania cnoty. Ich usiłowania odniosły pożądany skutek, gdyż dzieci były pobożne, skromne i pracowite. Mianowicie najstarszy syn Staś odznaczał się nietylko wielką pobożnością, ale zarazem niezwykłym dowcipem i pamięcią.

Razu pewnego zawitał pod strzechę Twardych zakonnik z Poznania. Uwagę jego zwrócił ośmioletni Stanisław, gdyż dawał nader bystre odpowiedzi. Zakonnik dla tej przyczyny tak się odezwał do matki:

— Ależ wasz Staś to nielada chłopiec i zdaje się, że z niego mógłby być znakomity człowiek.

— O mój Jezu i Ty, Matko najświętsza, słynąca cudami w Kołniczkach, adyć mój Staś to czysty Anioł. A wciąż mi gada, że chciałby być księdzem. Ale gdzież nam biednym kmieciom myśleć o tem, aby go oddać do szkół uczonych. Ach! mój Boże kochany, cobym ja dała za to, żebym mogła widzieć mego Stasia w kapłańskich szatach.

— U Boga wszystko jest podobne, odrzekł zakonnik, już ja będę pamiętał o waszym Stasiu, ale niech zmówi przede wszystkiem pacierz.

Chłopczyna uklęknął skromnie i zmówił pacierz uważnie bez najmniejszej omyłki, a mówił tak serdecznie i z takiem przejęciem, że zakonnik łzy miał w oczach. Po małej chwili powstawszy, wymówił te słowa:

— Ciesz się, matko szczęśliwa! Twój syn będzie miłym Bogu i ludziom, a tobie, poczciwa niewiasto, sprawi wielką pociechę.

Będzie się z niego cieszył Kościół święty i nasza Ojczyzna Polska.

Poszedł zaraz zakonnik do księdza proboszcza w Marzeninie i zwrócił mu uwagę na utalentowanego chłopca. Proboszcz kazał przychodzić Stasiowi do siebie, aby go nauczyć czytać, pisać i po łacinie. Chłopczyk czynił zdumiewające w naukach postępy. Wkrótce służył do mszy ś., a tak pięknie i uroczyście odpowiadał kapłanowi po łacinie, że cała parafia spoglądała z radością na młodziutkiego ministranta.

Po kilku latach został Staś Twardy oddany do Poznania, gdzie uczył się bardzo pilnie w wyższej szkole, założonej przez biskupa Lubrańskiego. Dostatecznie przysposobiony, udał się 20-letni młodzieniec do Krakowa.

II.

Wielka uroczystość odbywała się w Krakowie 1580 r. Na uroczystem posiedzeniu senatu w obecności króla Stefana Batorego wystąpił uczony kapłan, aby udowodnić, że papież jest prawym następcą ś. Piotra, zatem wszyscy katolicy powinni być posłuszni głowie Kościoła świętego. Mówca wyłuszczał z początku rzecz swą spokojnie, niejako bez zapału, ale stopniowo głos się podnosił i zapałał. Mowa była wygłoszona po łacinie, ale że to był język powszechnie w Polsce w wyższych stanach używany, przeto słuchacze rozumieli dobrze krasomówcę, który w końcu swego jędrnego przemówienia wzbudził powszechny zapał. Wszyscy senatorowie powstali z swych siedzeń, a nawet król

podniósł się z tronu. Najwięcej był zachwycony wymową znakomitego kaznodziei wielki Jan Zamojski, mąż odznaczający się nietylko dziełami wojennemi, ale także zamiłowaniem nauk. Skończyło się nakoniec świetne przemówienie, a wtedy przez kilka minut zaległa cisza na rozległej sali, poczem zabrzmiały rzęsiste oklaski i odgłosy uwielbienia. Przystąpią biskupi do mówcy i dziękują mu serdecznie za obronę władzy papiezkiej; podał także swą prawicę Jan Zamojski, a w końcu sam król Batory złożył podziękowanie i ozdobił kapłana złotym łańcuchem.

Któż to jest ów mówca zawołany, który ognistą przemową zachwycił słuchaczy? Jest to słynny profesor akademii krakowskiej. Przypatrzmy mu się bliżej, a przekonamy się, że tym sławnym nauczycielem i krasomówcą jest Stanisław Twardy, syn kmiecia z Marzenina pod Wrześnią.

Obdarzony wielkiemi zdolnościami, odznaczając się wielką pilnością w naukach, zajaśniał Stanisław pomiędzy studentami akademii krakowskiej. Poświęcał się głównie nauce filozofii i teologii. Wyświęcony na kapłana, uzyskał stopień doktora i magistra teologii; przytem uzyskał wielki rozgłos jako poeta i znakomity mówca. Władał biegle nietylko językiem łacińskim, ale także greckim i hebrajskim.

Dotąd znajduje się w bibliotece jagiellońskiej w Krakowie rękopis, zawierający uczone prace dr. Stanisława z Marzenina. Mianowany profesorem, zachęcał młodzież do nauk, wykładając teologią. Sława uczo-

ności naszego rodaka doszła nawet do Rzymu, dla tego powierzono mu obronę twierdzenia, że papież jest następcą Piotra ś. i widomą głową Kościoła.

III.

Przenieśmy się myślą do Marzenina.

Tu po wyjeździe Stanisława zaszły znaczne zmiany. Olciec jego Grzegórz zachorował i umarł, siostra Katarzyna wyszła za mąż, a brat Wojciech objął gospodarstwo rodzicielskie. Sędziwa matka, która pierwsza rzuciła nasiona cnoty w serce syna, tęskniła za ukochanym Stasiem, a co dzień błagała Boga, aby przed śmiercią mogła choć raz widzieć drogiego syna, ozdobionego suknią kapłańską. Przychodziły wprawdzie od czasu do czasu listy z Krakowa od księdza Stanisława, ale listy te jeszcze bardziej budziły w sercu staruszki chęć uściskania pierworodnego syna.

Po długiej zwłoce nadeszła nakoniec pożądana wiadomość z Krakowa, że ksiądz Stanisław w niedługim czasie zawita do Marzenina.

Któż opisze radość uszczęśliwionej matki? Co dzień wychodziła na wzgórek, aby spoglądać na drogę ku Wrześni. Dzień za dniem mijał, a kochanego Stanisława nie widać.

Razu pewnego widzi Grzegorzowa, że od Wrześni toczy się olbrzymia bryka, na której widok żywiej jej serce zabiło. „Stój“ odezwał się głos silny z bryki, a wnet wyskoczył z niej podróżny, który padłszy na kolana zawołał rozrzewnionym głosem: „Ma-

tko!“ „Synu“ zabrzmiała odpowiedź, a potem nastąpiło serdeczne powitanie po długiej rozłące.

Bryka potoczyła się przed chatę gospodarza Wojciecha, a wnet cała wieś się zbiegła na powitanie dostojnego gościa. Trudno opisać radość, jaka zapanowała w cichym zawsze Marzeninie.

Ksiądz dobywał z bryki książki, obrazki i różne pamiątki, obdarzając mieszkańców. Matce ofiarował piękny obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, oraz sztuki pięknego płotna i sukna. Udarował także hojnie rodzinę brata Wojciecha i siostry Katarzyny. Niedługo udał się na plebanią, niosąc misterną skrzyneczkę.

Nazajutrz w niedzielę odbyła się wielka uroczystość w skromnym kościółku marzenińskim. Ani połowa ludzi nie mogła się pomieścić w wiejskiej świątyni. Ksiądz Stanisław odprawił mszą świętą na podziękowanie Bogu, że pozwolił mu osięgnąć godność kapłańską i że dożył tej łaski, aby zobaczyć matkę, rodzeństwo, wioskę rodzinną i kościół, gdzie przyjął chrzest święty. Po mszy św. przemówił do zebranego ludu, zachęcając ojców i matki, aby chowali troskliwie młode pokolenie, zachęcając słowem i przykładem do pracy, nauki i cnoty. Przemówienie było tak wzruszające, że wszyscy płakali.

Następnie odezwał się ksiądz proboszcz, oznajmując ważną nowinę, że ksiądz Stanisław ofiarował piękny kielich do kościoła w Marzeninie, oraz 500 złotych polskich na potrzeby kościelne i 500 złotych na za-

łożenie szkółki. Wtem zabłysnął złocisty kielich w ręce mówiącego. Na wezwanie, aby się modlić za dobroczyńcę, nastała cisza w kościele, jakby makiem zasiał. Wszyscy zebrani modlili się szczerze do Boga, a modlitwa prostaczków płynęła do niebios, niby woń z kadzielnicy ofiarnej.

Ksiądz Stanisław zabawił przez cały tydzień w rodzinnej wiosce, przebywając z największem zadowoleniem w rodzinnej chacie.

Kielich, ofiarowany przez niego do kościoła marzenińskiego, był w używaniu do 1656 r., kiedy Szwedzi napadli na Polskę. W tym roku zakopano w ziemi tę pamiątkę, aby ją ocalić przed łupieżcami, a dopiero 1871 odszukano w ogrodzie proboszczowskim tę ofiarę wdzięcznego księdza Stanisława.

Oceńcie sami, mili czytelnicy, czy było tak źle w dawnej Polsce, jak piszą nasi nieprzyjaciele, jeżeli była sposobność, że synowie kmieci dostępowali wysokich w kraju godności?

Wspomnienie o kilku świętobliwych Polkach.

Wiele było w przeszłości pobożnych i świętobliwych Polek, które w późne jeszcze lata zachęcać będą swe rodaczki do cnoty i pracy.

Katarzyna z Maciejowskich Wapowska odznaczała się tak licznemi cnotami, że mąż mawiał o niej: „Nie żonę, ale anioła mam w domu.“ Pozostawszy wdową, wiodła surowe i nader wstrzemięźliwe życie, gdyż

nie pijała wcale wina i rozpalających napojów. Zakazała, aby w jej dobrach nie bawiono się w karczmach pijaństwem i kartami, a gdy jej zwrócono uwagę, że uszczuplą się jej dochody, rzekła: „Byle tylko Bóg nie był obrażony, gdyż ja nie pragnę podobnych dochodów.“ Ubogich nazywała dziećmi; szyła dla nich własnemi rękoma bieliznę. Zakończyła życie 1596 r. w mieście Dynowie. Król polski, Stefan Batory, uczcił ją mową w senacie.

Magdalena Mortęzka położyła wielkie zasługi o wzrost oświaty w ziemiach polskich pomiędzy Polkami, gdyż za jej staraniem zakonnice Benedyktynki zajęły się wychowaniem dziewcząt. Klasztor w Chełmnie pod jej zarządem tak zasłynął, że i w innych miastach zakładano podobne ogniska oświaty. W niedługim czasie powstały klasztory Benedyktynek, zwanych Chełminiankami w Poznaniu, Sandomierzu, Lwowie, Radomiu, Inowrocławiu itd. Magdalena nie wstydziła się żadnej pracy. Ojciec nie kazał jej uczyć czytania i pisania; mimo to własnym przemysłem nauczyła się w krótkim czasie czytać i pisać.

Maryanna z Grudzińskich Działyńska jaśniała za życia niezwykłemi cnotami. Ojciec jej Stefan Grudziński odnawiał i budował kościoły, oraz czynił liczne jałmużny. Córka jego była pobożną i wielce dla ubogich miłosierną. Przez całe życie nie popełniła ani razu grzechu śmiertelnego. Strzegła się pilnie kosztownych ubiorów, napojów i w ogóle manotrawstwa. Nigdy nie mó-

wiła źle o innych, a przestrzegała innych, żeby sławy bliźnich nie szarpali.

Zofia z Odrowążów Tarnowska była tak zacną niewiastą, że sam król Zygmunt August prosił o jej rękę, ale odmówiła. Była tak dobroczynną, że co czwartek służyła ubogim w szpitalu i sama im jeść gotowała. Stała się ofiarą miłości bliźniego, gdyż pielęgnując pasierbicę w zaraźliwej chorobie, przypłaciła to życiem.

Katarzyna z Sobieskich Radziwiłłówna, siostra króla Jana Sobieskiego, obok pobożności jaśniała także wielką dobroczynnością. Opłacała adwokatów, aby bronili w sądach wdów i sierót. Łożyła też hojne ofiary dla tych, którzy się wstydzą żebrać; na wykupno jeńców z niewoli tatarskiej i tureckiej, oraz na kościoły i szkoły. Wyznaczyła także fundusz dla księży, aby w jej dobrach oświecali ludzi w wierze świętej. „Należy, mawiała, aby panowie mieli pieczołowitość o zbawienie dusz tych, którzy na nich pracują.“ Katarzyna kochała gorąco Polskę, jak to stwierdziła następującemi słowy: „Dobra Francya, chwalebna Hiszpania, wesołe Włochy, bogate Niemcy, ale mi najmilsza Polska.“ To też nie opuszczała kraju ojczystego, raz tylko jeden na krótko wyruszyła do Rzymu.

Dziewice polskie, zechciejcie naśladować te wzniosłe przykłady, jakie wam dawne Polki przekazały. Kochajcie Boga, bądźcie pobożne i pracowite, a zarazem miłujcie Ojczyznę Polskę, tem więcej, że ona biedna i nieszczęśliwa. Szerzcie oświatę pomiędzy

ludem i jego dziatwą, a Bóg wam wynagrodzi stokrotnie ten uczynek miłosierny.

Odważna Polka.

Zdarzenie z czasów króla Stefana Batorego.

Dawnemi czasy, kiedy Tatarzy, Turcy, Szwedzi i inne narody kraj nasz ojczysty często łupili, chwytały nieraz i Polki za broń, aby walczyć przeciw naszym wrogom. W r. 1549 księżna Eudoxya Czartoryska przyczyniła się wielce do pobicia Tatarów pod Tarnopolem. W r. 1589 kiedy panował w Polsce król Stefan Batory, odznaczyła się wielkiem męztwem księżna Beata Sołomerecka, która swą niezwykłą odwagą ocaliła miasto Dubno na Wołyniu.

Właścicielem Dubna był wówczas książę Konstanty Bazyli Ostrogski, najzamożniejszy swego czasu magnat polski. Wyprawiał on gody weselne swej siostrzenicy, pannie Beacie Dolskiej, którą zaślubił książę Sołomerecki. Po ślubie w kościele, odbyła się wspaniała uczta w zamku. Sala godowa była świetnie przystrojona. Na ścianach wiszą portrety przodków i chorągwie, zdobyte na nieprzyjaciołach Ojczyzny. Stoły nakryte kosztownemi obrusami, a na nich pełno złotych, srebrnych i porcelanowych naczyń. Najprzód podano gościom złotą miednicę z wodą do rąk umycia, a po zmówieniu modlitwy zasiedli goście, aby spożywać dary Boże Na pierwszem miejscu zasiedli nowożeńcowie. Panna młoda z rozpuszczonym włosem podług zwyczaju słowiańskiego, była wspaniale ubraną, ale na jej białem czole widny smutek głęboki, gdyż

tylko na rozkaz rodziców i krewnych oddaje rękę księciu.

Po drugim daniu rozległ się złowrogi okrzyk: „Tatarzy, Tatarzy!“ a niedługo wpadł do sali Kozak, który przed chwilą stanął przed zamkiem na spienionym koniu. Krótkiemi słowy zwiastował wieść grożącą, że nieprzeliczona ćma Tatarów zdąża na szybkich koniach do Dubna. Trwoga opanowała grono weselne. Starsze panie opowiadają zdarzenia z czasów młodości, jak to Tatarzy srogo się obchodzili z jeńcami, nie przepuszczając dzieciom, starcom i kobietom. Przelęknione niewiasty zaczęły płakać i załamywać ręce. I mężczyźni byli zaniepokojeni, a niejedni z nich, nie wyjmując pana młodego, chcieli się wdać w układy z wrogami. Wtem powstanie panna młoda i tak przemówi do zdziwionej rzeszy:

— Mamy się poddać haniebnie Tatarom i prosić na klęczkach o życie? A czyż ci pohańcy dotrzymują przyrzeczeń? A choćby dotrzymali, czyż to godzi się schylać szyje pod jarzmo ohydnej niewoli? Kochany księciu i wuju, zaklinam cię, nie oddawaj swego zamku poganom. A ty książę Sołomerecki, mój panie i małżonku, jeżeli nie chcesz się bić z Tatarami, wtedy nie chcę cię znać wcale i żyć z tobą nie będę. Dalej Polacy do broni! Nie siła, lecz męztwo zwycięża. I my Polki nie bądźmy bezczynnemi, a jeżeli klęska nas spotka, wtedy raczej zakończmy życie w nurtach rzeki Ikwy, a nie pozwólmy się zabrać w haniebną niewolę. Ja przynajmniej bronić się będę do upadłego i zginę raczej, aniżeli popadnę w tatarskie ręce.“

Słowa odważnej Polki wywarły wpływ wielki. Wszakżeż mała iskra zapala prochy, tak i słowo często zapala ludzi w myśl pięknego zdania Stefana Garczyńskiego:

Tak słowo w dobrej ludziom powiedziane chwili,
Jak trąba archanioła, stworzy ich czem byli.

Panowie, dworzanie i słudzy zaczęli broń przysposabiać, w czem im dopomagały niewiasty. Zatoczono działa, a młoda księżna rozwijała niezwykłą czynność właśnie przy ustawianiu armat, udzielając rad zdrowych i nagląc do pośpiechu. W mury zamkowe cisnęła się okoliczna ludność, unosząc pieniądze i dobytek. Gdy już wszyscy się schronili, zamknięto bramy i podniesiono mosty. Niedługo ukazały się na dolinie, przerzniętej rzeką Ikwą, liczne zastępy tatarskie. Na wzgórzu rozpięto wielki namiot, ozdobiony złocistym półksiężycem. Jest to namiot chana, czyli najwyższego wodza Tatarów. Nieprzyjaciele czynią szybko przygotowania, aby zdobyć zamek. Obszerne stawy bronią przeprawy. Tatarzy kładą wiąski chrustu i słomy i kładą na nie kamienie, aby usypać sztuczną groblę. W kilku miejscach udało im się przeprawić na drugą stronę. Nieprzyjaciele pędzą naprzód i puszczają strzały na dziedziniec zamkowy. Nakoniec zaczęli Polacy strzelać z ręcznej broni i z armat, a ich celne strzały szerzyły popłoch pomiędzy wrogami, sprawiając w ich szeregach straszne spustoszenia. Księżna Beata była wszędzie pierwszą, zachęcając słowem i czynem do mężnej obrony. Wybrawszy największe działo, wykierowała je

na namiot chana, a strzał był tak celny, że rozbił namiot i ugodził śmiertelnie kulą dowódzcę. Rozpacz opanowała szeregi tatarskie, a w krótkim czasie zaczęli się gotować do odwrotu. Wtedy Sołomerecka kazała sobie podać dzielnego rumaka, a dosiadłszy go, wezwała rycerzy do pogoni nieprzyjaciół. Wnet zebrał się zastęp wojowników, którzy pod dowództwem Polki zaczęli ścigać Tatarów. Dopadłszy ich, rzeź straszną sprawili w ich szeregach, a co ważniejsza odbili tysiące jeńców chrześciańskich. Mrok zapadający przeszkodził dalszej pogoni.

Przybycie młodej Polki, uznojonej trudami, równało się tryumfowi. Zabrzmiały dzwony, a zewsząd rozległy się okrzyki: „Niech żyje księżna Beata, nasza oswobodzicielka!“

Małżonek Beaty, książę Sołomerecki, zagrzany przykładem żony, bił się dzielnie, to też i na jego cześć wznoszono okrzyki.

Mniej więcej w tym samym czasie odznaczyła się pewna Polka, której nazwisko nieznane, wielką przytomnością umysłu i odwagą, gdyż porwana przez Tatara, zepchnęła ciemięzcę w rzekę i pospieszyła do swoich. Zdarzenie to opisał Ludwik Jabłonowski pięknym wierszem, który przytaczamy:

Dziewczę polskie.

Ballada Ludwika Jabłonowskiego.

Panowie bracia! dalej na konie!
Daleko mamy pohasać;
Tam w owej stronie, gdzie łuna płonie,
Tam, tam będziemy popasać.“

Na konie wskoczą, sztandar roztoczą,
Wesoło trąbka zadzwoni·
Rumaki spięli, bramę minęli,
A na ich czele on goni.

Pędzą bez drogi, miną rozłogi,
Miną i stepy i pola,
Aż gdzie dokoła plądruje sioła
Zawolczyk, czartów swawola.

„Hej bracia wiara! męztwo i wiara,
Odwaga bracia! Bóg z nami!“
Furknęły piki, runęły szyki,
I już się sieką z wrogami.

„Ho! ho! gdzie nasza zafurknie pika,
Próżno się bronisz, psi synie!
Hartowna pika w krwi najezdnika
Łupieżcy serca nie minie.

Znajcie zuchwali grom polskiej stali!
Już ich wysiekli i lecą,
Aż gdzieś za siołem tańczą półkołem,
Gdzie półmiesiące się świecą.

„Hej bracia wiara! męztwo i wiara,
Odwaga bracia! Bóg z nami!“
Zgęszczą się szyki, zafurkną piki,
I już się sieką z wrogami.

„Wiara, wesoło!“ wpadli na czoło,
I już na karkach im siedzą;
Szyki złamali, w trąbkę zagrali,
Tatarzy, gdzie ujść, nie wiedzą.

Tam, tam, na prawo, mknie Tatar żwawo
Przy nim na siodle dziewczyna :

„Hej za mną dzieci!“ kordem zaświeci,
„To moja córka jedyna!“

Ten żwawo goni, ów żwawo stroni;
Lecz przed Zawolcem Dniestr płynie;
Wstrzymał się w biegu, stanął u brzegu,
Spiął konia — już na głębinie.

Dziewczę się zrywa i Boga wzywa,
I pchnie Tatara na tonie;
Konia zwróciła, na brzeg wskoczyła,
I już u ojca na łonie!

Marcin Wadowita,

jako wzór i zachęta dla młodzieży, aby się pilnie uczyć i pracować.

Po dzielnym Stefanie Batorym, który prowadził zwycięzkie wojny z Moskalami, wstąpił na tron polski Zygmunt III, syn Jana, króla szwedzkiego i Katarzyny, córki Zygmunta I. Za panowania Zygmunta III zasłynął w kraju i za granicą Marcin, zwany Wadowitą, ponieważ urodził się w mieście Wadowicach, położonem niedaleko Krakowa. Był on przez lat 50 profesorem teologi przy uniwersytecie krakowskim, a przez pewin czas nawet rektorem, tj. kierownikiem tej najwyższej szkoły.

Urodził się Marcin pod strzechą wieśniaczą 1567 r. Rodzice wcześnie mu umarli, dla tego Marcinek poszedł na służbę i musiał pasać świnie. Chciał on się koniecznie uczyć, a ponieważ wytrwałością można pokonać największe przeszkody, to też młody pastuszek nauczył się pisać i czytać od dziada wędrownego. Dał mu za to cały swój zarobek, a nawet dzielił się z nim swem pożywieniem. Gdy już umiał czytać i pisać, podziękował za służbę i poszedł do Krakowa. Ciężkie tu było życie dla chłopca, gdyż trzeba było z początku po prostu żebrać na kawałek chleba. Gdy już dorósł, uczył młodszych uczni, zaco dostawał stół i najpotrzebniejszą odzież. Gdy jego rowieśnicy oddawali się zabawom i bijatykom, Wadowita siedział w swej izdebce i uczył się pilnie. Gdy nieraz brakło mu światła, uczył się przy świetle księżyca. Nie dziw też, że w szkole był pierwszym, a nauczyciele chwalili go i za wzór innym uczniom stawiali. Po chlubnem ukończeniu nauk w akademii krakowskiej, wysłano go do Rzymu, gdzie uzyskał stopień naukowy doktora świętej teologii. Po powrocie do Krakowa, został mianowany profesorem przy uniwersytecie i proboszczem kościoła parafialnego na Kleparzu. Obrany rektorem, ubrał się w myśl przepisów w wspaniałą togę, tj. długą zwierzchnią szatę aksamitną i zasiadł na krześle, a profesorowie przechodzili kolejno i kłaniali się swemu zwierzchnikowi. Niektórzy uśmiechali się pogardliwie, szepcąc sobie pocichu, że się muszą kłaniać dawniejszemu pasterzowi. Wtedy powstał z krzesła Wadowita, a ująwszy w rękę kraj szaty aksamitnej, rzekł: „Dziękuję ci aksamicie, kłaniają się Wadowicie.“

Był to mąż szlachetnego charakteru. Razu pewnego studenci chcieli utopić w Wiśle Fau-

styna Socyna. Był to innowierca, który słowami i pismem występował przeciw Kościołowi katolickiemu, ale młodzież nie miała najmniejszego prawa znieważać bezbronnego starca, a tym więcej popełnić na jego osobie morderstwo. Wlekli studenci nieszczęśliwego człowieka do wody, ale wtem nagle dopada ich Wadowita i gromi ich temi słowy: „Czyż nie wstydzicie się męczyć schorzałego starca? Wszakżeż religia nakazuje nam miłować nieprzyjaciół, a wy chcecie życie odebrać bezbronnemu człowiekowi? Odstąpcie w tej chwili od swej ofiary, gdyż inaczej dotknie was nietylko kara Boga, ale i sądy srogo was ukarzą." Zawstydzeni młodzieńcy, błagając o przebaczenie, ustąpili, a Wadowita zaprowadził starca do własnego domu, aby zabezpieczyć jego życie.

Mąż ten uczony trzy razy był wysyłany do Rzymu, gdzie tak uwielbiano jego naukę, że sam papież powiedział: „Wadowita posiada anielskie wykształcenie."

Żyjąc wstrzemięźliwie i oszczędnie, zebrał ksiądz Marcin znaczny majątek, który przeznaczył na pomnożenie chwały Bożej i na dobroczynne cele. W rodzinnem mieście Wadowicach wybudował szkołę i szpital, oraz przeznaczył znaczną ilość pieniędzy na utrzymanie tych zakładów. Znaczny też fundusz pozostawił, aby pomnożyć dochody proboszczów przy kościele św. Floryana, także uczynił zapis dla biednych uczniów w szkołach krakowskich. Zakończył życie 1641 r. za panowania króla Władysława IV, który panował w Polsce po zgonie Zygmunta III. W kościele ś. Floryana

znajduje się tablica marmurowa; na niej wyryty napis wysławia zacne czyny Wadowity, który cnotą, pracą, nauką i oszczędnością dobił się wysokiego znaczenia.

„Nauki mają gorzkie korzenie, ale słodkie owoce," powiedział Arystoteles, sławny mędrzec grecki. Nie chce wam się nieraz uczyć, kochani czytelnicy. Gdy was napadają złe myśli, gdy czujecie chęć do próżniactwa, do zabaw, do łowienia ryb i ptaków, wtedy wspomnijcie sobie Marcina Wadowitę, który usilną pracą i nauką wyrobił sobie znakomite stanowisko w naszym narodzie.

Piękny wzór miłości dla rodziców.

W dzisiejszej Galicyi jest położona wioska Suliszewo, w której za panowania króla Zygmunta III żyła pani Strzemska z synem Krysztofem. Matka kochała czule syna, a ten okazywał jej na każdym kroku niezwykłą cześć i posłuszeństwo. Gospodarowali oboje zgodnie i pomyślnie w dziedzicznej wiosce, uszczęśliwiając poddanych kmieci.

Nagle doszła wieść do spokojnego Suliszewa, że Turcy i Tatarzy spieszą do ziem polskich, a sędziwy hetman Żółkiewski zbiera wojsko polskie, aby odeprzeć siłą zażartych wrogów naszego kraju. Pani Strzemska, jako prawa Polka, wyprawiła syna do obozu na obronę kochanej ojczyzny. Zawiesiwszy mu na piersi obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej, malowany na blasze, tak doń przemówiła: „Opuszczaj synu

matkę, a idź służyć matce nas wszystkich, ojczyźnie naszej, Polsce. Idź z Bogiem, bij się mężnie, a raczej padnij trupem, aniżelibyś miał uciekać haniebnie z pola bitwy. W takim razie nie uznam cię za swego syna. Błogosławię ci na ten bój święty, a pełna tęsknoty oczekiwać będę twego powrotu.“

Popłakali się obydwoje, poczem syn dosiadł konia i pospieszył w towarzystwie kilku wojowników do obozu hetmana Żółkiewskiego.

W r. 1620 w miesiącu Październiku zaszła nieszczęśliwa bitwa pod Cecorą, w której obóz polski został rozbity, a wódz Żółkiewski poległ śmiercią bohaterską. Brał też udział w tym nieszczęśliwym boju Krysztof Strzemski, a pamiętny słów matki, bił się jak lew, aż w końcu okryty licznemi ranami padł na pobojowisku. Uszedł prawie cudem śmierci, gdyż nieprzyjaciele sądzili, że nie żyje. Obudził się z omdlenia Strzemski, gdy już Tatarzy ustąpili. Czołgając się z wielkim trudem, doszedł do wieśniaczej chaty, gdzie go przyjęto gościnnie i opatrzono mu rany. Skoro tylko trochę sił nabrał, wyruszył do rodzinnej wioski, aby jak najprędzej powitać ukochaną matkę. Droga była daleka, to też w miesiąc ledwie doszedł do Suliszewa. Gdy już w dali zobaczył dwór ojczysty, przyspieszył kroku, ciesząc się na błogą chwilę, kiedy zobaczy drogą rodzicielkę. Przychodzi nakoniec przed dom, ale nie wychodzi matka mu naprzeciw, natomiast ukazuje się sługa poczciwy, który mówi z płaczem: „Oj nieszczęście wielkie, kochany paniczu, byli tu

Tatarzy, a nie dość, że wieś zrabowali, ale co najgorsza wzięli w niewolę kochaną panią.“

Krysztof skamieniał niejako z bólu, usłyszawszy tę straszną wiadomość. Gdy po niejakiej chwili przyszedł do siebie, zapytał się, kiedy się to stało i w którą stronę popędzili nieprzyjaciele. Odebrawszy pożądaną wiadomość, zaopatrzył się w pieniądze, które się przechowały w bezpiecznem miejscu, a potem wsiadł na wózek, zaprzężony w dwa szybkie konie i pospieszył na wschód, aby wykupić matkę z rąk tatarskich.

Przejechał na próżno całą Polskę. W przekonaniu, że matka znajduje się u nieprzyjaciół, udał się na półwysep krymski, gdzie była główna siedziba Tatarów.

Szukał syn poczciwy matki, pomnąc na słowa Pisma świętego: „Szukajcie a znajdziecie.“ Jakoż nakoniec odszukał matkę schorzałą, która wciąż marzyła o kochanym synu Krysztofie. Trudno opisać rzewną chwilę, kiedy syn powitał matkę na obcej ziemi. Osłabiona Strzemska podniosła się z posłania, a błogosławiąc syna, rzekła: „Czuję, że zbliża się moja ostatnia godzina, ale jestem szczęśliwa, że zobaczyłam cię jeszcze raz przed zgonem, ukochany mój Krysztofie. Błogosławię ci, mój synu z duszy i serca całego, a dziękuję Bogu, że mi dał takie dobre dziecko, które się nie ulękło tatarskiej niewoli, aby odszukać matkę i wykupić z niewoli. Umrę niedługo, ale bądź pewnym, że tam na drugim świecie modlić się będę za ciebie i błagać Boga o szczęście doczesne i wieczne za twą wielką miłość

i poświęcenie. Niech ci błogosławi Bóg Ojciec, Bóg Syn i Bóg Duch święty.“

Jeszcze kilka dni żyła zacna niewiasta, a potem z błogosławieństwem na ustach dla syna zakończyła doczesną pielgrzymkę. Krótko przed śmiercią wyraziła życzenie, że pragnęłaby, aby jej kości spoczęły na ojczystej ziemi. Życzenie to było świętem dla wdzięcznego syna, dla tego rozpoczął układy z Tatarami o wykupno zmarłej matki. Oddał im z ochotą wszystkie pieniądze, jakie miał ze sobą, oddał nawet wóz i konie, oraz pierścień drogi, pamiątkę po ojcu, aby spełnić wolę nieboszczki. Sam wyciosał białą trumnę, złożył w niej drogie zwłoki, a położywszy na mały wózek, ciągnął własnemi rękoma, dążąc do ojczystej ziemi.

Taka jest potęga cnoty, że miękczy nawet serca zakamieniałych wrogów. Zdumieli się Tatarzy na widok tak niezwykłej miłości rodzicielskiej. Gdy przechodzi Strzemski przez wsie tatarskie, wychodziły matki, a wskazując na niego, mówiły do dzieci: „Patrzcie na tego cnotliwego Polaka, który tak ukochał matkę, że odbył uciążliwą drogę, aby ją jeszcze raz zobaczyć przed śmiercią, a teraz wiezie ją na wózku do rodzinnej ziemi. Dzieci, bierzcie ztąd przykład i kochajcie tak samo rodziców, jak ów szlachetny Polak.“

Nietylko kobiety, ale nawet na pół dzicy ich mężowie, którzy bez miłosierdzia mordowali ludzi, płakali z wzruszenia, spoglądając na wdzięcznego syna. Znalazły się w tatarskiej ziemi czułe serca, które obdarzyły

hojnie Strzemskiego datkami, że mógł sobie kupić konia.

Po licznych przygodach i trudach niesłychanych przeszedł Krysztof granice Polski. Gdy się rozeszła wieść o jego szlachetnym czynie, wtedy w licznych miejscach wychodzili mu naprzeciw księża w kościelnych szatach na czele ludu, który płakał z rozrzewnienia, że polska ziemia wydała takiego dobrego syna, jakim był Krysztof.

Wspaniale odbył się pogrzeb pani Strzemskiej, gdyż brało w nim udział kilkudziesięciu księży i tysiące rodaków. Lud pielgrzymował z daleka do jej grobu, uważając ją za błogosławioną.

Spełniło się błogosławieństwo umierającej matki, gdyż Krysztof Strzemski przeżył szczęśliwie prawie sto lat, ciesząc się zawsze czerstwem zdrowiem. Nieomal co dzień chodził na grób matki i mówił pacierze za jej duszę. Cała Polska wspominała z czcią imię Krysztofa, gdyż niech mówią co chcą o nas niechętni naszemu narodowi, tego przecież nie zaprzeczą, że w dawnej Polsce kwitnęła cześć dla rodziców.

Dziś niestety! ta wielka cnota nie jest tak powszechną na polskiej ziemi, jak niegdyś. Dzieci polskie, naśladujcie piękne przykłady Bolesława Krzywoustego, Krysztofa Strzemskiego oraz podobnych im Polaków i Polek. Kochajcie i szanujcie waszych rodziców, a nade wszystko bądźcie im posłuszne. Pamiętajcie, że Bóg na górze Synai, dając przez Mojżesza dziesięcioro przykazań ludziom, wyrył na drugiej tablicy na pierwszem miejscu to przykazanie: „Czcij ojca

i matkę twoję, abyś żył długo na ziemi i aby ci się dobrze powodziło."

Tylko to jedno przykazanie posiada tę wielką obietnicę, że ci, którzy je spełnią, obdarzeni zostaną długiem życiem i dobrem zdrowiem, największemi darami na ziemi.

Prawdziwa miłość nie kończy się, choć nawet śmierć zabierze drogie osoby. Módl się często i gorąco za dusze zmarłych rodziców.

Nie potrzeba zapewne dodawać, że czwarte przykazanie nakazuje nam nietylko miłować i czcić rodziców, ale także wszystkie te osoby, które ich zastępują, a do tych się zaliczają: przybrani rodzice, starsi krewni, opiekunowie, księża, nauczyciele, dobroczyńcy i wogóle starsi ludzie, którzy dla nas położyli zasługi.

Kończymy to opowiadanie wyjątkiem z „Modlitwy za rodziców" przez Sewerynę Duchińską:

Kiedy w porannej rozmyślań godzinie
Do Ciebie, Boże, modły moje wznoszę,
Nad inne tkliwiej jedna w niebo płynie,
I dłużej, rzewniej Cię proszę,
Ze łzą miłości wznosząc to błaganie,
Rodzicom moim pobłogosław Panie!

Niech własne dziecko nieba im przychyli,
I dni ich życia niech szczęściem otoczy,
A serce nasze w każdej życia chwili
Święta niech miłość jednoczy.
O Boże wielki! przyjm moje błaganie:
Rodzicom moim pobłogosław Panie!

Wielki dobroczyńca narodu Polskiego.

Do najzasłużeńszych Polaków należy ksiądz Piotr Skarga, który, kiedy go namawiano, aby pisał po łacinie, przez coby zyskał europejską sławę, wyrzekł te pamiętne słowa: „Język łaciński jest już stary i od wielu wieków dojrzały: nasz zaś młody ukształcenia potrzebuje; wreszcie Polak jestem, dla Polaków żyję tylko i myślę."

Skarga za życia upominał rodaków do poprawy prześlicznemi kazaniami; ułożył też wiele książek, a mianowicie przesławne „Żywoty Świętych," które się doczekały przeszło 30 wydań, a co może najgłówniejszą jest jego zasługą, nawrócił znaczną liczbę Polaków do wiary katolickiej. Nie tu koniec zasług tego znakomitego męża. Założył on 1584 r. w Krakowie „Arcybractwo miłosierdzia i banku pobożnego," które dotąd istnieje, wywierając wpływ bardzo dobroczynny. Członkowie arcybractwa wspierają ubogich, którzy się wstydzą żebrać, schodzą się na posiedzenia i przystępują razem do Sakramentów świętych. Bank pobożny wypożycza pieniędzy biednym ludziom na zastawy bez procentu. Od samego początku istnieje w połączeniu z arcybractwem skrzynka ś. Mikołaja, czyli fundusz dla udzielania posagów cnotliwym panienkom.

Podobne zakłady za staraniem Skargi utworzyły się w Poznaniu, Warszawie, Wilnie i Lublinie, ale z biegiem czasu upadły.

Za bardzo wielką zasługę Skardze poczytać należy, że wogóle poruszył ważną sprawę miłosierdzia, wzywając Polaków i Polki do wspierania ubogich. W tym celu wypowiedział on pięć kazań o miłosier-

dziu. Śmiało twierdzimy, że nikt w Polsce nie przemawiał tak czule i umiejętnie za ubogimi, jak Skarga.

Oto co mówi o miłosierdziu świętobliwy ksiądz Piotr Skarga:

„Bądźcie miłosierni, bo ludźmi jesteście. Wszyscy miłosiernymi bądźmy, *bo bez tej cnoty, żadna się Bogu nie podoba;* bez miłości nie waży nic, ani czystość, ani post, ani miłosierdzie. Nie wszyscy mogą pościć, długo się modlić, za Chrystusa krew rozlewać, ale wszyscy mogą być miłosiernymi, aby ludzkie nędze bliźnich swoich oddalali pociechą, płaczem, żalem, pomocą i radą. Nie możesz dać wiele, aby brat twój nędzy nie cierpiał, daj mało. Nie możesz dać pieniędzy, daj poradę, upomnienie, naukę, słowo dobre i pocieszające. Ty, któryś jest zdrowy, pomóż schorzałemu; któryś nie upadł, wspomóż leżącego; któryś bogaty, nie opuszczaj ubogiego; nie czekaj, abyś sam na sobie nie poznał, co to jest cierpieć nieludzkość innych i jak to dobrze, nie zamykać miłosierdzia upadłemu. Nie czekajże nad sobą ręki Boskiej i karania, który niemiłosiernych uniża; uczcie się na cudzej nędzy, abyście swojej nie doznali.“

Na innem miejscu wysławia Skarga temi słowy zacność miłosierdzia: „Żadne pożyteczniejsze ziarno na roli serc waszych siać się nie może, jak miłosierdzie, które jest obraz Trójcy ś., najprzedniejsza cnota chrześciańska, wypełnienie zakonu Bożego, świadectwo wiary dobrej, pokuty prawej owoc, miłości ku Bogu wykonanie, pomoc do uznania i nabycia skruchy, oczyszczenie

grzechów, pomnożenie cnoty i sprawiedliwości, błogosławieństwo na dniu sądnym i wprowadzenie do nieba. Miłosierne uczynki od gniewu Bożego bronią, długi Bogu wypłacają, potomkom są dobrem dziedzictwem, majętnościom i domom rozmnożenie, nadzieją w przygodach. Bez miłosierdzia wiara katolicka jak drzewo bez owocu, nadzieja jako najemnik bez roboty, miłość, jako matka bez dzieci, modlitwa jako ptak bez skrzydeł, post jako potrawa bez soli. Lepsze jest, niźli ofiara, lepsze niż posty i trudzenia cielesne. Nie masz tak szczęśliwego języka, któryby jego wszystko zalecenie wypowiedzieć mógł.“

Dzielne czyny młynarza Michałka na Pomożu w r. 1656.

Pomorzem zwała się dawnemi czasy ta część Polski, która jest położona na północy pomiędzy miastami Stralsundem a Gdańskiem, a na południe sięgająca rzek Brdy i Noteci. Obecnie jedna część zwie się Pomeranią, a druga Prusami zachodniemi, gdzie leżą miasta Gdańsk, Tuchola, Kościerzyna, Starogard, Świecie itd. W tej krainie zasłynął w czasie wojny szwedzkiej w r. 1656 młynarz Michał, zwany zwykle Michałkiem. Był on z urodzenia i wychowania wieśniakiem, jednakże kiedy za panowania króla Jana Kazimierza Szwedzi srodze Polskę pustoszyli, pochwycił za oręż, a dobrawszy sobie poczet zbrojnych chłopów i mieszczan, zadawał wielkie klęski najezdcom naszej ziemi.

Rok 1655 jest nietylko dla Polski nieszczęśliwym, ale nawet upokarzającym, gdyż kilkanaście tysięcy obdartych Szwedów zawojowało Polskę prawie bez wystrzału. Szlachta porzuciła prawowitego króla Jana Kazimierza, uznając za swego pana Karola Adolfa, króla Szwedów. Tylko duchowieństwo polskie dochowało przeważnie wierności prawemu monarsze. Ksiądz Kordecki dzielną obroną Częstochowy pobudził naród do obrony. Chrobry Stefan Czarniecki, jeden z największych polskich wojowników, zwyciężał Szwedów w licznych potyczkach. Przykład jego pobudził nietylko szlachtę, ale także mieszczan i chłopów do walki z Szwedami.

Żył podówczas na pomorskiej ziemi młynarz Michałko, którego Szwedzi przemocą do swego wojska zabrali. W krótkim czasie dostąpił on stopnia kaprala, gdyż był bardzo pojętnym i walecznym. Po niejakim czasie powiedział sobie wieśniak Michałko, że jako Polak powinien bronić Polski, dla tego zebrał sobie kilkudziesięciu ludzi, a stanąwszy na ich czele, wystąpił do walki przeciw Szwedom. Przebywał on najchętniej w borach tucholskich, gdzie znał dokładnie wszelkie ścieżki i manowce. Napadał z szybkością błyskawicy małe oddziały szwedzkie i w pień je wycinał. Przez długi czas nie wiedzieli Szwedzi, kto im wyrządzał wielkie szkody. Gdy mu się sprzykrzył pobyt w borach, postanowił zająć jakie obronne miasto. Wśród ciemnej, dżdżystej nocy uderzył na miasto Człuchów, a choć załoga szwedzka stawiła dzielny

opór, zdobył gród warowny, gdzie założył główną swą kwaterę. Posiadając warowne miejsce, wojował z większem powodzeniem, tym więcej, że nawet szlachta spieszyła w jego szeregi, nie uważając sobie za hańbę służyć wojskowo pod dowództwem młynarza. W niedługim czasie zdobył on jeszcze grody Starogard i Lipinki. Stał się odtąd strasznym dla Szwedów przeciwnikiem. Korzystając z swej znajomości okolicy, pojawiał się nagle tam, gdzie go się najmniej spodziewano, a poruszał się tak szybko z swoim oddziałem, jak gdyby w jednej i tej samej chwili w kilku naraz znajdował się miejscowościach.

Przeważniejszych liczbą oddziałów szwedzkich nie zaczepiał nigdy w otwartem polu, ale w lasach i pomiędzy górami rzucał się na dwójnasób większe siły. Nieraz docierał do samych murów miasta, gdzie przebywali szwedzcy żołnierze, szerząc pomiędzy niemi popłoch i zamieszanie. Z Człuchowa przeniósł swą główną siedzibę do Starogardu. Szwedzi, dowiedziawszy się, że Michałko posiada tylko szczupłe siły, gdyż znaczną część swego oddziału wysłał na zniesienie hufca nieprzyjacielskiego, zebrali znaczne wojsko i otoczyli zewsząd Starogard. Michałko poznał, że trudno się bronić długo przeciw przemocy, dla tego choć z bólem w sercu rozpoczął układy z wrogami. Szwedzi nad spodziewanie położyli łagodne warunki, gdyż pozwolili opuścić Starogard całej polskiej załodze z bronią w ręku, a żądali tylko wydania zuchwałego wodza. Michałko przystaje na ten warunek, nie zważając ani na

prośby swych towarzyszy, którzy nie chcieli go odstąpić w niedoli, ani też na to, że jako zbieg od szwedzkich sztandarów idzie na śmierć oczywistą. Oddał się więc sam dobrowolnie w ręce mściwych Szwedów. Uradowani tą zdobyczą, odwieźli go pod zbrojną zasłoną do Malborga, gdzie go czekała śmierć niechybna i męczenie. Jednakże dawniejszemu młynarzowi przyświecała szczęśliwa gwiazda, gdyż Polacy, dowiedziawszy się o jego pojmaniu, uwiadomili Szwedów, że jeżeli zamordują jeńca lub męczyć go będą, odpłacą się podobnie jeńcom szwedskim, a że nawet znakomici jenerałowie przebywali w polskiej niewoli, przeto Michałko został obdarzony wolnością w zamian za kilku jeńców szwedzkich. Upominali go jednakże usilnie, aby porzucił wojskowe rzemiosło i przestał nadal Szwedów niepokoić.

Michałko nie miał wcale ochoty słuchać tej rady, gdyż wnet zebrał sobie znaczny oddział i zaczął walkę na nowo, a stał się nawet jeszcze straszniejszym dla Szwedów, aniżeli dawniej. Przy oblężeniu Grudziądza dokazywał cudów waleczności, a jego to było głównie zasługą, że ta warownia wpadła w ręce polskie.

Doczekał się Michałko tej pociechy, że Jan Kazimierz, król polski, osobiście go pochwalił i zamianował go rotmistrzem jazdy.

Dzielny ten wojownik jest prawie nieznanym naszemu narodowi. Pochodzi to ztąd, że polscy pisarze prawie nic o nim nie wspominają. Anglik Gordon, który walczył w szwedzkiem i polskiem wojsku,

poznawszy osobiście Michałka, który mu ocalił nawet życie, opisał jego czyny dość obszernie, przecież pamiętnik Gordona dopiero przed niedawnym czasem został drukiem ogłoszony, zatem nie rozkrzewiła się jeszcze w naszym narodzie dokładna wiadomość o dzielnym Michałku, co zapisał swe imię bohaterskiemi czynami na kartach naszej przeszłości.

Można by wiele wymienić pięknych czynów, jakie okazali wieśniacy polscy i mieszczanie podczas wojny szwedzkiej od r. 1655—1660.

Jan Szablik, wójt Starego Sącza, aby ocalić miasto do pożaru i złupienia, ofiarował Szwedom cały swój majątek.

Kiedy Szwedzi zamienili kościół we wsi Panigrodzu pod Kcynią na stajnię, wtedy jakiś parobek z Chawłodna uderzył na nich, rozgromił a że był bardzo silnym powyrzucał konie nieprzyjacielskie z kościoła, chwytając je za ogony.

W Gołańczy jakaś Polka, gdy Szwedzi zamek zdobywali, utopiła się w jeziorze, aby nie popaść w ich niewolę i ujść schańbienia.

Niedaleko Gniewu w Prusach Zachodnich znajduje się droga, zwana krwawą, gdyż istotnie jest jakby czerwoną. Podług podania ludu gospodarz z parobkiem zadali tu klęskę Szwedom, kiedy ci wyszli na rabunek.

W Nowym Sączu dziewica, dowiedziawszy się, że Szwedzi chcą w pień wyciąć mieszkańców, przestrzegła mieszczan, a ci połączywszy się z góralami, uprzedzili

Szwedów i zadali im wielką klęskę. Zdarzenie to opisał Mieczysław Romanowski w pięknym poemacie: „Dziewczę z Sącza.“

Piękne zdania Polaków i Polek.

Jan Kochanowski, zwany księciem polskich poetów, pisze:

Boga dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Rej z Nagłowic, patryarcha literatury polskiej, taką daje przestrogę:

Próżno się na polu wadzisz,
Jeźli doma nie uradzisz.

Jan Zamojski, wielki hetman, wyrzekł: „Zgoda wewnętrzna i wystrzeganie się zbytków mocnymi uczyni Polaków. Miłość ojczyzny nie kończy się z śmiercią. Dokąd tchu w obywatelu, dopóty o ojczyźnie zaradzić powinien.“

Pociejowa, kasztelanowa trocka, gdy wzbraniającą się grać w hazardową grę, nazwano bojaźliwą, rzekła: „Przyznaję się, że jestem bojaźliwą, gdy przychodzi na los puszczać to, co mi Opatrzność z krwawego potu chłopów moich udzieliła.“

Ostroróg, wojewoda poznański, mawiał: „Nie grzesz a nie żałuj, nie łaj a nie przepraszaj; nie daj a nie wydzieraj.“

Ossolińska, wojewodzina wołyńska, pewnej pani, która z ubolewaniem opowiadała błędy cudze, rzekła: „Waćpani politowanie nad cudzemi błędami równa się krokodylowi, o którym powiadają, że gdy pożera ludzi, łzy nad nimi wylewa.“

Andrzej Opaliński, biskup poznański, napisał w swoim testamencie: „Nie chowajcie mnie w katedralnym kościele, ale w Radlinie w parafialnym, z jak najskromniejszym nakładem, przed wielkim ołtarzem, równo z ziemią, bez wystawienia kamienia nagrobnego; niech lud prosty depcze po nikczemnym prochu.“

Ksiądz Stanisław Bielecki tak się odezwał w kazaniu w dzień ś. Stanisława: „Gdyby ś. Stanisław wyjrzał z nieba na Polskę, dopieroby powiedział: Nie znam owiec moich. Spytałby się Polaków: Gdzie Wrocław z Śląskiem? gdzie Królewiec z Prusami? gdzie Ryga z Inflantami? gdzie Kijów z Rusią i Ukrainą? gdzie Chocim z Wołoszczyzną? Bytom ze srebrnemi kruszcami? ach? ach! nie widzę teraz w Polsce Polaków.“

Adam Czarnkowski mawiał: Trzeba ludziom na przywitanie rękę podawać, ale nie skurczoną. Chleb wielki mówca, potężny pan, sprawczy pomocnik. Dałeś komu chleba, wziąłeś mu serce.

Gdy chory wyjeżdżał na sądy, odwodziła go żona od tego przedsięwzięcia. Na to Czarnkowski: „A czy nie pamiętasz, jak pewna prześladowana wdowa z płaczem prosiła, aby jej sprawa nie była pominiętą?“

Alexander Gwagnin, Włoch w służbie polskiej, który się spolszczył zupełnie, zamieścił w „Opisie Polski“ zdanie, które sobie często wszyscy Polacy rozważać powinni: „Niepośledni jest znak człowieka mądrego, więcej ojczyźnie swojej, niż postronnym krajom służyć. Który albowiem prze-

ciwko pierwszemu temu rodzicowi niewdzięcznym się stanie, trudno u niego rozsądku nieskażonego albo cnoty jakiej szukać.

Z powyższych słów wynika, że człowiek, który nie poczuwa się do obowiązków względem swego narodu, jest ograniczonym i niecnotliwym.

Anzelm Gostomski w dziele „Gospodarstwo" pisze: „Panu wielkiemu to gospodarstwo najpotrzebniejsze i pierwsze: rozchód, aby nie uprzedzał dochodu, bo gospodarstwo największe nie pomoże, kiedy złe szafarstwo."

„Zbytek w domu, jako suchoty ciała, powoli stęka, ale pewna śmierć."

Godzi się tu zapisać spostrzeżenie Józefa Korzeniowskiego, pisarza z XIX wieku, że środkowy palec u ręki ma oznaczać dochód, a drugi mniejszy palec rozchód; spoglądając zatem na palce u ręki, myśl zawsze o tem, abyś całego dochodu nie wydawał.

Kossakowska, kasztelanowa kamieńska, gdy niektórzy wyliczali dawność przódków swoich i popierali je Niesieckim i Dunczewskim, odezwała się w te słowa: „Mnie się zdaje, że ani Niesiecki, ani Dunczewski nie są tak dawni, jak miłość ojczyzny i ta to szlachtą czyni, ta powinna rządzić Polakami; od niej odstąpić jest to samo, co być wyrodkiem przodków i nieprzyjacielem ojczyzny."

Andrzej Fredro, pisarz polski w wieku XVII, w te się odzywa do nas słowa: „Historya matką jest dobrego rozumu; tę czytać jak domową, tak obcą potrzeba. Cóż potem wiedzieć, co się w Rzymie działo, albo co się w obcych krajach dzieje, a nie

wiedzieć, co się dzieje doma. Cudze rzeczy wiedzieć ciekawość jest, a swoje potrzeba."

„Za pracę i niebo kupić. Próżnowanie nie utuczy."

„Największy dochód: oszczędność."

Andrzej Załuski, biskup warmiński, zachęcając do nauk, mawiał: „Nauki uczą młodych umiarkowania, starym pociechę niosą, dla ubogich są majątkiem, a bogatych zdobią."

Jędrzej Śniadecki, który urodził się w Wielkopolsce, wydał następny sąd o opilstwie: „Pijaństwo nas gubi, a żydów bogaci. Wódka jest największem naszego kraju nieszczęściem."

Zdania Stanisława Staszyca: „Praca jest pierwszym obowiązkiem każdego człowieka." — „Żyłem oszczędnie, abym przez moję oszczędność mógł nieść pomoc zostającym w potrzebie."

Do młodzieży polskiej tak przemawia Staszyc: „Nie wolno już wam być bohaterami, jakimi byli wasi przodkowie, bądźcie ludźmi oświeconymi, uczonymi, pracowitymi, cnotliwymi; uczcie się poznawać tę ziemię która was zrodziła; oddajcie się naukom, rolnictwu, przemysłowi, wynalazkom; coraz więcej przywięzujcie się do tej ziemi, kochajcie i wsławiajcie ją."

Zdania Tadeusza Kościuszki: „Wydźwignijmy ojczyznę z niewoli, powróćmy świetność imieniowi Polaka." — „Łączmy się najściślej; łączmy serca, ręce i sposoby wszystkich ziemi naszej mieszkańców. — „Narodzie, ziemia twoja będzie wolną, niech tylko duch twój wyższym nad wszystko będzie."

Nadziei nigdy tracić nie trzeba.

Wspomnieliśmy już, że Tatarzy zapisali się krwawo w dziejach naszej przeszłości. To też liczne dochowały się wspomnienia o walkach naszych przodków z Tatarami. Przytaczamy opisy choć kilku wypadków na tle tatarskich wojen.

Bartłomiej Modlibowski, kasztelan bracławski, puścił się sam jeden w pogoń za gromadką Tatarów. Miał celną rusznicę, którą szybko nabijał, a co wystrzelił, spadał Tatar z konia. Wtem kul mu zabrakło. Zmiarkowali to nieprzyjaciele, zatem szybko zwrócili ku niemu konie i pędzą z dobytemi mieczami. Źle było z Modlibowskim. Ale wojak polski nie w ciemię bity. Niewiele się namyślając, wybija sobie ząb, nabija nim strzelbę i czeka spokojnie na wrogów. Chwila jeszcze a rozsiekają Tatarzy dzielnego Polaka. Ten stoi niepuruszony. Gdy już byli tylko o kilkanaście kroków oddaleni, wybrał sobie za cel dowódzcę, zmierzył i wystrzelił. Dowódzca się zachwiał i runął na ziemię. Modlibowski zabiera się znowu do nabijania rusznicy. Tatarzy przecież nie czekali na drugi wystrzał, ale uciekli. Dobrze zrobili, gdyż nasz rycerz, byłby wszystkie zęby wystrzelał. Nigdy nie trzeba tracić ducha i nadziei, gdyż najczęściej w trudnych okolicznościach można się ocalić.

U Daniłłowiczów w Żółkwi był marszałkiem Stupnicki. Zdarzyło się, że Tatarzy napadli na zamek, aby go zdobyć. Bronili się mężnie Polacy, ale ponieważ mało ich było a wrogów tłum wielki, przeto wnet się

wyczerpały środki obrony. Tatarzy już bramy wysadzili — chwila jeszcze a zdobędą zamek i w pień wytną obrońców. Gdy się Stupnicki bije z myślami, coby wypadało uczynić, ujrzy naraz kilka uli z pszczołami. Niewiele się zastanawiając, bierze ule i rzuca z muru na Tatarów. Miły Boże! co się to dziać zaczęło w tatarskich szeregach. Pszczoły, jakoby czując, że to oni przyczyną ich nieszczęścia, kąsały tak wściekle najezdników polskiej ziemi, że niedługo Tatarzy w największym popłochu uciekli. A tak pszczoły ocaliły zamek żółkiewski i jego mieszkańców od zguby.

R. 1695 oddział wojska polskiego, liczący niespełna tysiąc ludzi, odparł pod Hodowem 60,000 Tatarów. Dotąd wznosi się w tej wiosce krzyż kamienny na pamiątkę tego zwycięztwa.

W ziemi sanockiej leży wieś Hoszów, którą napadli Tatarzy i zabrali w niewolę znaczną część mieszkańców. Pomiędzy jeńcami znajdowały się dwie dziewczyny: jedna z nich zwała się Tańka a druga Marynka. Płakały one ciężko, pozostając w srogiej niewoli. „We łzach tych, com je z tęsknoty za krajem wylała, skąpaćbym się mogła,“ mawiała nieraz pierwsza. Tańka, będąc odważniejszego serca, namówiła towarzyszkę do ucieczki. Jakoż pewnej nocy, zabrawszy nieco rzeczy i psa, który za Tańką poszedł do tatarskiej ziemi, puściły się w podróż do Polski. Nie byłyby nigdy przebyły dalekiej drogi, gdyby nie pies, co leciał przodem, szukając drogi. Po kilkunastu dniach bardzo uciążliwej podróży, doszły na Ukrainę,

gdzie już nie było obawy przed pogonią Tatarów. Kiedy weszły do wsi rodzinnej, rozkazał ksiądz uderzyć we wszystkie dzwony, a wnet wieś cała się zbiegła na powitanie odważnych niewiast. Do końca życia zachowały obawę przed Tatarami, a Tańka nieraz mawiała do dzieci i sąsiadów: „Dziatki moje, jeżeliby jeszcze kiedy Tatarzy do was wpadli, to raczej śmierć sobie zróbcie, nóż w sobie utopcie, w ogień, w wodę skoczcie, ale nigdy tej krwi swojej poganom w ręce nie oddajcie.“

Dzielność Stefana Czarnieckiego.

Do największych polskich bohaterów należy Stefan Czarniecki. Największy to polski wojownik po Bolesławie Wielkim. Byłaby już Polska upadła za panowania Jana Kazimierza, gdyby nie męztwo Czarnieckiego. Rozpoczął on swój zawód wojskowy jako zwyczajny szeregowiec. R. 1648 w bitwie pod Żółtemi Wodami został zabrany w tatarską niewolę, w której przetrwał dwa lata, ubolewając więcej nad niedolą ojczyzny, niż nad swoim smutnym losem.

Pewnego razu przybył do chana Tatarów znakomity Turek Achmet, który posiadał olbrzymią siłę. Wyprawiono na jego cześć wielkie gonitwy. Achmet brał udział w gonitwach, a każdego Tatara, który stawał z nim do walki, zsadzał z konia, jak ptaka. Gdy się nikt nie odważył więcej z nim mierzyć, spojrzał w stronę, gdzie się znajdowali polscy jeńcy, mówiąc:

— Może który z Lachów zechce się ze mną spróbować:

Na to odparł z zapałem Czarniecki:

— Wróć mi broń i wolność, a ja cię za jednym razem na ziemię powalę.

Chan tatarski rozkazał stawić przed siebie odważnego Polaka, a uwolniwszy go z kajdan, rzekł:

— Pozwolę ci walczyć na własnym moim koniu z Achmetem, a jeżeli go zwyciężysz, będzie twoim rumak arabski, którego dotąd nikt jeszcze dosiąść nie zdołał.

— Chanie, odrzekł Czarniecki, konia twego dosiędę, ale tylko własną bronią walczyć pragnę.

Chan kazał przynieść zabrany oręż. Stefan z radością uchwycił pałasz, darowany mu za odwagę od króla Władysława IV. Błysnąwszy mieczem w powietrzu, przycisnął go do ust, mówiąc:

— Królowo niebios! błogosław temu żelazu abym zwyciężył tego pohańca.

Poczem dosiadł konia i wystąpił do boju z Turczynem. Achmet spuścił włócznię i wymierzył potężny cios na przeciwnika, ale zwinny Czarniecki uprzedził go i tak go zręcznie kopią ugodził, że Achmet runął z konia na ziemię. Nuż z konia Carniecki, a stawiając nogę na piersi przeciwnika, dobywa miecza, gdy wtem chan przerażony woła:

— Wstrzymaj cios, waleczny Polaku. Com przyrzekł, dotrzymam. Jesteś wolnym, pospieszaj do ojczyzny. Bogaty rząd tego konia jest twoim, zostaw mi tylko oręż i ko-

nia. Za oręż wypłacę ci sto kies złota, a za konia sto dukatów.

Na to mu odpowie z dumą Czarniecki:

— Polska złota nie potrzebuje, gdyż ma liczne plony z żyznej roli. I konia nie pragnę, gdyż całe stada rumaków hasają na naszych równinach. Ale ojczyznę moją dręczą srogie losy, liczni rycerze jęczą w twej niewoli. Zatrzymaj chanie twe dary, a wróć im wolność, żeby mogli wrócić do swego kraju. Ja chętnie pozostanę w niewoli, jeżeli moi rodacy będą uwolnieni. Odnów chanie pokój i przymierze z Polską.

Chan, zdziwiony tem niezwykłem poświęceniem taką dał odpowiedź:

— Wiem w jakiej Polska jest potrzebie. Nie pragniesz niczego dla siebie, a wszystko chcesz złożyć dla swej ojczyzny, a nawet chcesz pozostać dłużej w niewoli, aby ziomkowie twoi odzyskali wolność. Niech się stanie, o co prosisz. Niech król Jan Kazimierz będzie w pokoju ze mną. Jednakże na pamiątkę mej czci dla ciebie, przyjmij konia, dzielny Polaku, na którym walczyłeś. Wracam ci oręż, abyś go nie dobył bez potrzeby, a nie schował bez sławy. Wracaj szczęśliwie z twymi ziomkami do ojczystego kraju. Ty jeden dźwigniesz Polskę z nieszczęścia, albo jej nikt nie dźwignie.

Stefan Czarniecki urodził się 1599 r. a 31 lat licząc, został dopiero mianowany porucznikiem, gdy tymczasem synowie możnych panów w tych latach nieraz już dzierżyli hetmańską buławę. Kiedy Szwedzi napadli Polskę 1655 r. i grozili rozebraniem kraju, Czarniecki głównie się przyczynił do

ich wypędzenia. Pobił ich w bitwach pod Piątkiem, Inowłodzem, Kcynią, Gnieznem, Trzemesznem, Warką, Kozienicami, Chojnicami, Działdowem itd. Walczył także w Danii, gdzie się zapędził na wyspę Alsen. Później wojował szczęśliwie z Kozakami i Moskalami. Stefan Czarniecki zakończył życie 1665 r.

Kajetan Koźmian napisał obszerny, piękny poemat o Stefanie Czarnieckim, w którym jest opisany powyższy wypadek z życia bohatera.

Wszyscy Polacy i Polki powinni zawsze z wdzięcznością wspominać imię i zasługi Stefana Czarnieckiego.

Krzysztof Zgłobicki pod Stawiszczami.

Pod dowództwem Stefana Czarnieckiego odznaczał się świetnem męztwem Krzysztof Zgłobicki. Czarniecki oblegał miasto kozackie Stawiszcze, a choć wytężał wszystkie siły, nie mógł zdobyć tej warowni. Już trzeci szturm przypuszczał, ale wysiłki były daremne. Wtedy dzielny młodzian, Krzysztof Zgłobicki, pochwycił za chorągiew z białym orłem i rzucił się na wrogów. Pokonał on wodza kozackiego i wpadł na czele polskich husarzy do miasta. Rozjątrzeni Kozacy otaczają go zewsząd. Zgłobicki, utraciwszy prawą ręką, chwyta chorągiew lewicą, ale i tę mu ucięto. Młody wojownik zginął, ale miasto zostało zdobyte. Piekny czyn Zgłobickiego opisał wierszem Bogdan Zaleski, sławny polski poeta. Wiersz ów przytaczamy.

Trzeci szturm do Stawiszcz.

Chrobry Czarniecki nasroża lice,
Zgrzyta na popłoch żołnierstwa
A grzmią moździerze, grają haubice,
Huczą Stawiszczan bluźnierstwa.

Daremnie, wszystko pierzcha w zawody;
Przy wodzu tylko garść wiernych:
Murza Tatarzyn, Sobieski młody,
I kilka znaków pancernych.

Żelazną ręką tarł hetman czoło,
Przygryzał język i wargi,
Oczyma wzgardy błyskał wokoło,
Jąkał obelgi i skargi.

„Przeklęty, wrzasnął, przeklęty boju!
Zburzę opryszków jaskinię,
Póty nie dotknę jadła, napoju,
Aż com zamierzył, uczynię.

„Jaż, com pomimo wrogów zagony
Z upadku dźwigał ojczyznę,
Dzisiaj w tym tłumie, sam opuszczony,
Świętą pokalam siwiznę?“

Stała czerń, jakby morem owiana,
Każdy bezmowny, struchlały;
Tylko jednego oczy młodziana
Ogniem błyskawic gorzały.

Skoczył. Wydobył z piersi głos gromu:
„Dość! — O niech głowę nałożę;
Niechaj nie ujrzę rodziny, domu,
Tak mi dopomóż, mój Boże!

Nie takie nasi brali fortece,
Jak ta mieścina ladaco,
Za mną, kto Polak! leć, gdzie polecę!
Wrogi obelgę zapłacą.“

Schwycił chorągiew, na wiatr rozwinął,
Spiął ostrogami rumaka,
Ręką ku dziarskim husarzom skinął,
I lotem puścił się ptaka.

Błysły od ziemi sromne źrenice,
Sypną się tłumy rycerstwa;
A grzmią moździerze; grają haubice,
Huczą Stawiszczan bluźnierstwa.

W dali znak polski miga jak wstęga;
Koń zbiega wały, przekopy;
Już przedmieściowych wałów dosięga,
Za nim husarze tuż w tropy.

I bramy miejskiej pierwszy doskoczy,
Nadbiega Daszko w pogoni,
Wnet zgrozą obu zaiskrzą oczy,
I szabla w szablę zadzwoni.

I gwiżdżą cięciem częstem i gęstem,
Razy po razach, a krwawsze,
Aż jękła zbroja z przeciągłym chrzęstem,
I Daszko w prochu na zawsze.

Opada zewsząd zgraja wrzaskliwa,
I młodzian ręce już traci,
Lecz jeszcze usty chorągiew zrywa,
A tuż, tuż pomoc współbraci.

Zemsta, o zemsta! bój grzmi rozgłośnie,
Hetman i wodze tam biegną;
Młody bohater kona radośnie,
W uczuciu czynu pięknego.

Wlepił weń hetman oczy zwilżone:
„O droga, święta, rzekł, ziemio!
Gdzie słowa wodza, na wiatr puszczone,
Takową cnotę wyplemią.“

Z dymem, rokoszan poszła jaskinia.
Któż był ten młodzian? Któż powie?
Zacny brat szlachcic z nad wód Horynia,
Krzysztof Zgłobicki — ziomkowie.

Piękny przykład uszanowania nauczycieli.

Przenieśmy się myślą do Krakowa w r. 1639. W wielkiej sali siedzi szkolna młodzież i słucha wykładu profesora księdza Dąbrowskiego. Czcigodny ten starzec upuścił na ziemię biret, tj. czapkę, jakiej używają duchowne osoby. Nikt z młodzieży nie schylił się po biret, gdyż to byli synowie wojewodów, kasztelanów, starostów i wo-

góle majętnych ludzi, zatem mieli za ujmę swej godności, aby się przysłużyć swemu nauczycielowi. Wtem wybiega małe pacholę z koła uczniów, podnosi biret i podaje z uszanowaniem księdzu profesorowi. Rozrzewnił się ksiądz Dąbrowski, a odebrawszy z rąk młodzieńca czapkę, wyrzekł te prorocze słowa po łacinie: „Non moriar, donec videro diadema in capite tuo,“ co na polskie znaczy: „Nie umrę, dopóki nie ujrzę korony na twej głowie.“ Szmer podziwienia rozszedł się po sali, a dumni panicze zawstydzili się, że dali się uprzedzić młodszemu.

Któż był owym szlachetnym młodzieńcem? Oto Jan Sobieski, syn Jakuba Sobieskiego i Teofili z Daniłowiczów. Młody Janek uczył się tak pilnie i tak się przykładnie sprawował, że H. Pruszcz pisze o nim, „iż był zwierciadłem przykładności dla młodzieży koronnej.“ Wydoskonaliwszy się w naukach odbył z bratem Markiem podróż po obcych krajach, a już jako dwudziestoletni młodzieniec wstąpił w szeregi wojska polskiego, aby bronić ukochanej ojczyzny. Był Sobieski dzielnym i uczonym wojownikiem. On po zgonie Czarnieckiego można powiedzieć sam jeden wytężał wszystkie siły, aby Polska nie upadła. Odniósł świetne zwycięztwa nad Moskalami, Tatarami i Turkami pod Słobodyszczami, Podhajcami, Kałuszem i Chocimem. Świetną i krwawą była bitwa pod Chocimem 1673 r. d. 11 Listopada stoczona. Turcy mieli 80,000 wyborowych żołnierzy, a Polacy tylko 30,000, mimo to Sobieski odniósł walne zwycięstwo, gdyż Turcy

utracili 40,000 żołnierzy, a 8000 poszło w niewolę. Zabrano im 120 armat i 66 chorągwi.

Wygrana pod Chocimem utorowała drogę Sobieskiemu do tronu. Jako król walczył z Turkami pod Lwowem, Żurawnem, Wiedniem i Parkanami. Najsławniejszą jest bitwa pod Wiedniem 1683 r., która ocaliła nietylko Austryą, ale i całe chrześciaństwo od tureckiej niewoli. Ważniejsze było zwycięztwo pod Parkanami, gdyż tam padło trupem około 40,000 Turków.

Król Jan III Sobieski idąc pod Wiedeń, przechodził przez Kraków. Wspomniawszy sobie swego nauczyciela księdza Dąbrowskiego, poszedł go odwiedzić. Zacny profesor schorowany z rozrzewnieniem przyjmował w swej celi wielkiego wojownika. Przypomniał on owo zdarzenie z biretem, oraz przepowiednię, a następnie zwiastował, że król Jan pod Wiedniem pobije nieprzyjaciół.

Niechże piękny przykład Jana Sobieskiego zachęci polską młodzież, aby była posłuszną i uprzejmą nietylko dla rodziców, ale także dla nauczycieli, kapłanów i wogóle dla starszych osób.

Sobieski jest jedynym z królów polskich, którego pamięć przechowała się żywo w ślązkiej krainie. Dotąd opowiadają sobie Ślązacy o pobożności tego króla, który się modlił z wojskiem przykładnie przed cudownym obrazem N. Maryi Panny w Piekarach; w Gliwicach znajdują się lipy króla Jana, zasadzone na jego pamiątkę 1683 r. Wiele innych wspomnień krąży w Ślązku o dzielnym Sobieskim.

Pewien czeski pisarz twierdzi, że zasługi Sobieskiego dla chrześciaństwa są tak wielkie, iż matki chrześciańskie, kołysząc dzieci, powinny im śpiewać pieśni o królu, co ocalił Wiedeń i chrześciaństwo.

Nie można i tego przemilczeć, że Sobieski był bardzo łaskawym dla włościan. Nie mógł zmienić ich trudnej doli, gdyż władza królewska w Polsce była bardzo nieznaczną, ale w swoich własnych włościach czynił wieśniakom możliwe ulgi.

Posiadał Sobieski obszerne dobra niedaleko Lwowa, zowiące się Jaworowskiemi, zwane tak od głównej wsi Jaworowa. Kiedy król po wyprawie wiedeńskiej przybył do tej ulubionej sobie siedziby, wyszli go powitać kmiecie z orszakiem weselnym, gdyż właśnie w tym dniu młody gospodarz z raźną dziewoją ślub wzięli. Wójt z Jaworowa ofiarował w imieniu gromady monarsze chleb z solą, pług i sześć siwych wołów, tak kończąc swą przemowę: „A żeście podobno, miłościwy królu i panie nasz, na wojnie stratę ponieśli, przeto bez waszej urazy daje wam tu przeze mnie gromada w poczciwości statek kmiecy na zapomogę; bo za statkiem, panie, idzie i dostatek.“ Król przyjął wdzięcznie chleb, pług i woły, a królowa kołacz weselny, zwany na Rusi korowajem i wieniec z laskowych orzechów.

Zaczęły się tańce. W pierwszą parę poszła królowa z wójtem, a w drugą król ze starościną wesela. „A czyjaś ty, moja rybko?“ zapytał król, biorąc ją do tańca. „Kowalowa, panie nasz,“ odrzekła, to znaczy, że była żoną kowala. Za parą kró-

lewską postępowali możni panowie i rycerze z wieśniaczkami, a kmiecie i parobcy tańczyli z paniami i pannami. Grały zwyczajne skrzypki niedzielne. Gdy już raz przetańczono do koła, krzyknął król na swoją kapelę: „Nuż teraz raźnego“ i zaczął tańczyć z mazowiecka. Potem wziąwszy kowalową pod ręce, stanął przed kapelą i tak zaśpiewał:

A zkądżeś to? z Jaworowa!
A czyjaś ty? kowalowa!
Kowalowa z końca!
A chodźże do tańca!
Kowalowa, Bóg daj, zdrowa!
Bóg daj, zdrowa, kowalowa.

Trudno opisać rozrzewnienie i radość poczciwego ludu na widok, że wielki bohater taki serdeczny bierze udział w wiejskiem weselu. To też aż ziemia zadrżała od wesołych okrzyków. „Niech żyje nasz król i ojciec! Niejeden z kmieci i panów płakał z wielkiego wzruszenia.

Tańczył król długo, a nietylko z samą kowalową, gdyż prawie wszystkie gospodynie i dziewczęta dostąpiły tego zaszczytu, że z niemi tańcował.

Jan Sobieski urodził się 1629 r.; królem polskim został obrany 1674. Wielkie i sławne bitwy pod Wiedniem i Parkanami stoczył 1683 r. Umarł 1696 r. wilią ś. Trójcy. Żoną jego była Marya Kazimira de la Grange, Francuzka. Trzech miał synów i córkę, tj. Jakuba, Alexandra i Konstantego. Córka Marya Teresa została wydana za mąż za elektora bawarskiego. Pamięć jej dotąd kwitnie w Bawaryi, gdyż była pobożną i bardzo dobroczynną.

Konstanty Sobieski służyć może jako piękny wzór miłości braterskiej. Król szwedzki, Karol XII, złożywszy z tronu króla polskiego Augusta II, chciał osadzić na tronie polskim jednego z synów Sobieskiego, ale ponieważ dwaj starsi byli uwięzieni przez Augusta, przeto ofiarował koronę Alexandrowi, ten jednakże nie chciał jej przyjąć, choć Karol XII usilnie prosił i nalegał. Alexander uważał, że byłoby to pokrzywdzeniem starszych braci, gdyby zasiadł na tronie polskim.

W Wielkopolsce znajdują się cenne pamiątki, przypominające Sobieskiego w Szamotułach i w Posadowie pod Lwówkiem. W Szamotułach umieszczony jest w kościele ołtarz polowy z cudnym obrazem Bogarodzicy, przed którym się modlił Sobieski rano w dniu bitwy pod Wiedniem. W Posadowie są przechowywane buławy, karabele, siodła i czapraki z wyprawy wiedeńskiej, należące niegdyś do Jana Łąckiego, starosty nakielskiego, który odznaczył się mężnie pod Wiedniem 1683 r.

Co było przyczyną, że ubogi uczeń Felicyan został obrany biskupem krakowskim.

Za panowania Jana Sobieskiego uczęszczał do szkół w Krakowie ubogi, lecz bardzo pilny uczeń Felicyan Konstanty Szaniawski. Znosił on taki niedostatek, że zmuszony był, jak i wielu innych jego towarzyszy, chodzić z garnuszkiem po klasztorach i do dobroczynnych osób, aby nie umrzeć z głodu. Mieszkanie miał bezpłatne u litościwych

ludzi; najtrudniejszą była sprawa o ubiór i obuwie.

Razu pewnego przyszedł Felicyan z innymi towarzyszami, których zwano w Krakowie żakami i pauprami, do klasztoru Reformatów, gdzie się odbywał odpust. W refektarzu siedziało przy biesiadzie wielu gości i księży. Zwołano żaków, aby im napełnić garnuszki potrawami. Felicyan zwracał na siebie powszechną uwagę, gdyż na jego twarzy malowała się dobroć i bystrość. Jeden z gości, starosta Łętowski, wdał się z nim w dłuższą rozmowę, a poznawszy, że chłopiec rokuje wielkie nadzieje, ofiarował mu dukata, mówiąc: „Kochany Felicyanie! widzę, że masz rozum, bądź tylko poczciwym i pilnym, a zajdziesz daleko. Mnie się zdaje, że będziesz kiedyś krakowskim biskupem. W takim razie pamiętaj o mnie i wypuść mi w dzierżawę dobra radłowskie.“ Felicyan, który pierwszy raz życiu dostał dukata, podziękował serdecznie, przyrzekając, że będzie się uczył pilnie i że zawsze miłować będzie cnotę.

Po trzydziestu sześciu latach od owej chwili spełniła się przepowiednia starosty, gdyż Felicyan Konstanty Szaniawski zasiadł na stolicy biskupiej i objął zarząd księstwa siewierskiego.

Starosta Łętowski zbiegiem smutnych okoliczności utracił prawie cały majątek, dla tego wiódł kłopotliwe życie w Krakowie. Pewnego dnia przybył do niego dworzanin biskupi i rzekł: „Wszakże waszmość jesteś starostą Łętowskim?“ — „Byłem nim niegdyś, ale dziś już jestem tylko Łętowskim.“

— „Nic nie szkodzi, odpowiedział dworzanin, książę biskup prosi pana na obiad.“ Zadumał się Łętowski nad tem niespodziewanem zaproszeniem, a gdy się chciał zapytać o bliższe szczegóły, już dworzanina nie było. Myśli sobie starzec: zkąd przychodzę do tego zaszczytu, gdyż o mnie wszyscy prawie zapomnieli, ale mniejsza o to, pójdę na obiad. Jakoż ubrawszy się, jak mógł najlepiej, pospieszył do pałacu biskupiego. Skoro tylko wymienił swoje nazwisko, zaraz marszałek zaprowadził go do biskupa, mówiąc: „Otóż pan starosta Łętowski.“ Biskup powitał go serdecznie, zapytał się grzecznie z zdrowie i posadził na jednem z pierwszych miejsc przy stole. Skoro zobaczono, że książę biskup otacza niezwykłemi względami starostę, zaraz goście zaczęli się cisnąć do niego i przypominać się jego znajomości. Dawniejszy jego sąsiad, który mu nie chciał przed kilku dniami pożyczyć 10 dukatów, wyrzekł doń po cichu: „Braciszku sąsiedzie, daruj, że ci nie pożyczyłem tej małej kwoty, bo nie miałem grosza w domu, ale dziś rozkazuj, a choćby 100 dukatów pożyczę w tej chwili.“

Zaczęła się uczta. Przed biskupem stała srebrna, okazała waza z pokrywą. Wszyscy byli ciekawi, coby się w niej znajdowało. Przy końcu biesiady powstał książę biskup, zdjął pokrywę, a wyjąwszy z wazy gliniany garnuszek, rzekł: „Czcigodni moi goście! Pamiętny to dziś dla mnie dzień, gdyż zostałem uroczyście wprowadzony do katedry na Wawelu, aby zasiąść na tronie biskupim, który dzierżyli dawniej tacy mężowie, jak

ś. Stanisław, Wincenty Kadłubek, Zbigniew Oleśnicki i inni. W dniu tak uroczystym nietylko nie taję mego ubóstwa w młodości, ale owszem, trzymam tu w ręku dowód mego przykrego losu. Z tym garnuszkiem chodziłem do klasztorów i dobroczynnych osób, aby uprosić sobie potrzebnego pożywienia. Wtedy to jeden z obecnych tu gości ofiarował mi dukata i co ważniejsza, dał mi piękną naukę, abym kochał Boga, cnotę i abym uczył się pilnie. Ten szlachetny mąż wspierał mnie jeszcze później, dla tego wiele mu zawdzięczam. Jestem przekonany, że gdyby nie jego pomoc, nie byłbym dziś biskupem krakowskim. Tym zacnym dobroczyńcą jest tu obecny starosta Łętowski, którego zdrowie niniejszem wznoszę, wołając: „Niech żyje starosta Łętowski!“ Zabrzmiała muzyka a wszyscy goście ochoczo wnieśli zdrowie starosty.

Po niejakim czasie rzekł biskup: „Panie starosto, jakże to będzie z kluczem radłowskim, który miałem puścić panu w dzierżawę, jeżeli zostanę biskupem krakowskim.“

„Najprzewielebniejszy księże biskupie, odezwał się Łętowski, nie pamiętam, co wtenczas mówiłem, w każdym razie uważam to tylko za żart bez znaczenia.“

„Inaczej zapatruję się na to,“ odrzekł biskup, a skinąwszy na urzędnika, kazał odczytać dokument, na mocy którego starosta Łętowski stał się dzierżawcą dóbr radłowskich; warunki były bardzo łagodne.

W dom starosty wróciło szczęście. Żył on jeszcze długo, błogosławiąc zacnego biskupa.

Konstanty Felicyan Szaniawski urodził się 1668 r. na Litwie. Najprzód był biskupem kujawskim, później krakowskim. Był on bardzo oszczędnym, dla tego mógł wydać na cele dobroczynne, a mianowicie na kościoły, seminarya i różne zakłady naukowe przeszło 2 miliony złotych polskich, a jeszcze prócz tego pozostawił krewnym znaczny majątek. Pamiętając, że był kiedyś ubogim uczniem, wspierał mianowicie biedną młodzież.

Wzór kapłana.

Pomiędzy polskiem duchowieństwem, które wydało wielu szlachetnych i zasłużonych mężów, odznaczył się zaszczytnie Grzegórz Piramowicz, jeden z najzacniejszych kapłanów na ziemi Polskiej. Urodził on się 1735 r. we Lwowie. Czując w sobie powołanie do zawodu duchownego, wstąpił do zakonu księży Jezuitów. W młodym wieku nadarzyła mu się sposobność zwiedzenia różnych krajów, gdyż obrano go opiekunem trzech młodych Potockich, którzy wyjechali za granicę aby uzupełnić wykształcenie. Młody kapłan jaśniał taką uczonością, że w Rzymie, gdzie zawsze było wielu oświeconych ludzi, powierzono mu urząd profesora teologii dla kleryków. Po upadku zakonu Jezuitów przyjął ksiądz Grzegórz w miasteczku Kurowie probostwo, ofiarowane mu przez Ignacego Potockiego, męża znanego z wielkich zasług, mianowicie podczas obrad czteroletniego sejmu, który uchwalił sławną Konstytucyą 3 Maja 1791 r.

Ignacy Potocki należał do bardzo znakomitej w Polsce rodziny, jednakże nie zważając na przesądy szlacheckie, zawarł szczerą przyjaźń z synem mieszczańskim. Urządził pięknie plebanią i budynki, a gdy przybył ks. Piramowicz, powitał go chlebem i solą w towarzystwie parafian. Przez lat 30 panowała ścisła, niczem nie zamącona przyjaźń pomiędzy tymi dwoma szlachetnymi mężami.

Ksiądz Grzegórz oddał się z całym zapałem i gorliwością pracy dla dobra parafian. Wykorzeniał zadawnione nałogi, jak np. zabobony, pijaństwo, przekleństwa itd.; szerzył pomiędzy nimi oświatę i moralność, a nietylko w kościele, ale i poza kościołem wywierał wielki wpływ na lud, swej pieczy powierzony. Odznaczał się przedewszystkiem wielką dobroczynnością, gdyż w dosłownem znaczeniu nie żałował nawet koszuli dla biednego. Pewnego razu spotkał w polu płacząca kobietę z dzieckiem, a że nie miał ani grosza przy sobie, poszedł w krzaki, a zdjąwszy koszulę, darował ją żebraczce. Przyszedłszy do domu, zobaczył kosz z bielizną. Czemprędzej pochwycił za koszulę i wdział ją szybko, szczęśliwy, że się jego czyn utai. Niedługo słyszy wielkie krzyki, gdyż gospodyni, nie doliczywszy się jednej koszuli, posądziła służącą o sprzeniewierzenie. Wtedy dopiero, koniecznością zmuszony, wyznał dobroczynny ksiądz proboszcz, że to on wziął koszulę. Można sobie wystawić zdziwienie gospodyni na widok takiego miłosierdzia.

Czcigodny kapłan niósł pociechę pod strzechy wieśniacze. Był prawdziwym ojcem dla sierot, kalek, wdów, starców i wszystkich nieszczęśliwych. Niech się dowiedział o jakiej kłótni lub niezgodzie pomiędzy sąsiadami lub w rodzinie, zaraz spieszył osobiście do zwaśnionych, a nie ustąpił prędzej, dopóki nie zaprowadził zgody. Odwiedzał i pocieszał chorych, nauczał nieumiejętnych, a nie żałował swego mienia, aby dopomódz podupadłym i biednym. Słowa stwierdził czynami, czego większa część ludzi nie wypełnia. Po dziś dzień w okolicach Kurowa opowiadają włościanie o zacnych czynach tego kapłana.

Gdy pewnemu niezamożnemu dzierżawcy ogień zniszczył cały dobytek, a nielitościwy dziedzic w razie niezapłacenia opłaty dzierżawnej groził mu wyrzuceniem z żoną i dziećmi, biedny ojciec, uniesiony rozpaczą, chciał sobie odebrać życie. Ks. Piramowicz, dowiedziawszy się o nieszczęściu, zapłacił dzierżawę i pospieszył doręczyć kwit nieszczęśliwewu człowiekowi. Znalazłszy go nad rzeką, w którą chciał wskoczyć nieszczęśliwy w celu odebrania sobie życia, zgromił go surowo za rozpacz i zwątpienie o miłosierdziu Boskiem, a oddawszy kwit, dopomógł do zakupna inwentarza i pomieszczenia dzieci, a tak podupadłego biedaka postawił na nogi.

Dowiedziawszy się, że dwaj bracia po śmierci ojca nie mogą się pogodzić co do podziału dziedzictwa, kazał przywołać do siebie poróżnionych. Ciężka to była sprawa, gdyż wójt gminy, rządzca i sędziwi gospodarze starali się usilnie pogodzić braci, ale

ich wszystkie usiłowania były daremne. Napróżno starał się ksiądz proboszcz zgodę zaprowadzić. Gdy już wyczerpał wszelkie napomnienia i przestrogi, rzekł: Słuchajcie, a gdybym temu, co się uważa za pokrzywdzonego, wybudował moim kosztem chałupę na pustkowiu i dał na zapomogę dwie krowy czybyście się pogodzili?“ To ich rozrzewniło, dla tego jeden z nich się odezwał: „Wiesz co bracie, nasz ksiądz dobrodziej to istny ś. Marcin, co podzielił płaszcz z ubogiem; dodaj mi jeszcze pięć owiec, dwie brony i wóz, to już wezmę pustą rolę.“ Drugi odpowiada: „Niech będzie zgoda, ale nie żądajmy krzywdy naszego ojca i dobrodzieja, żeby miał dla nas szkodę ponosić.“ Jakoż nastąpiła zgoda. Namowy i przestrogi nic nie pomogły, ale ofiara z serca idąca, wywarła skutek pożądany. Pamiętajcie sobie, że przede wszystkiem czynami trzeba stwierdzać słowa.

Trudno opisać wysilenia zacnego kapłana, aby dopomódz swoim parafianom, kiedy miasto Kurów stało się pastwą płomieni. Wtedy i żydzi, których większa połowa zamieszkuje tę miejscowość, doznali dobroczynnej ręki księdza Grzegorza.

Około 1774 r. zawiązała się w Warszawie „Komisya Edukacyjna,“ mająca na celu zakładanie dobrych szkół w ziemiach polskich. Piramowicz został wezwany na sekretarza tej rządowej instytucyi, która miała obszerniejszy jeszcze zakres, aniżeli dzisiejsze ministerstwa oświecenia. W tej komisyi pracował nasz kapłan z wielkiem poświęceniem i skutkiem. Na nim spoczywała

największa odpowiedzialność i do największej był też obowiązany pracy. Wywiązał się zaszczytnie z powierzonego mu zadania. Brał też wielki udział w czynnościach Towarzystwa dla wydawania książek szkolnych, gdyż sam nawet ułożył kilka wzorowych dzieł, które po dziś dzień mają wielkie znaczenie. Książki jego są: „*Nauka obyczajowa dla ludu wiejskiego*,“ bardzo pięknie i treściwie napisana; „*O powinnościach nauczycieli*,“ które jeszcze i dziś posiadają tak wielkę cenę, że każdy polski nauczyciel znać to dziełko powinien; „*O wymowie*,“ w 3 tomach.

Ksiądz Piramowicz był cnotliwym kapłanem, krzewicielem skutecznym oświaty w naszym narodzie, a nade wszystko serdecznym przyjacielem i opiekunem kmieci, to też jego imię i zasługi nie zaginą w pamięci naszego narodu. Zakończył życie 1801 r. w Międzyrzeczu w Królestwie Polskiem.

Niejeden z was, młodzi czytelnicy, może poświęci się zawodowi kapłańskiemu; w takim razie bierzcie sobie za wzór życie i czyny księdza Piramowicza.

Kościuszko jako wzór pracy i oszczędności.

Po Janie III Sobieskim byli królami w Polsce August II, Stanisław Leszczyński, August III i Stanisław Poniatowski. August II i III nie rządzili dobrze; nie mogli się nawet porozumieć z Polakami, gdyż nie umieli mówić po polsku. Za Stanisława Poniatowskiego nastąpił wprawdzie upadek

Polski, ale zarazem rozpoczyna się odrodzenie naszego narodu. Dawne nałogi, jak np. zrywanie sejmów, nieposłuszeństwo władzy rządowej itd., zaczęły niknąć, Konstytucya tj. ustawa rządowa z d. 3 Maja 1791 r. byłaby dokonała odrodzenia Polski, ale nieprzyjaciele naszej ojczyzny nie dozwolili, aby to piękne dzieło spełniło cel zamierzony. Polacy, aby ocalić niepodległość kraju, powstali przeciw wrogom pod dowództwem Kościuszki. Nie tu miejsce rozpisywać się o czynach wojennych tego bohatera, gdyż znane są one tym wszystkim, którzy posiadają jaką taką znajomość dziejów Polski. Dubienka, Racławice, Szczekociny, Warszawa — oto są miejscowości, gdzie Kościuszko walczył i krew za Polskę przelewał. Przemilczam zasługi wojskowe Tadeusza Kościuszki, a wspomnę tylko pokrótce o jego cichych cnotach, które nam Polakom są tak wielce potrzebne, tj. o pracy, oszczędności i wstrzemięźliwości.

Kościuszko był jednym z najpracowitszych Polaków. Kształcąc się w szkole kadetów w Warszawie, wstawał o trzeciej godzinie rano, aby się ćwiczyć w naukach. Posłuchajcie tylko, jakiego używał sposobu, aby nie zaspać. Stróż szkoły miał obowiązek wstawania o trzeciej godzinie rano. Otóż młody Tadeusz uwiązał sobie sznurek do ręki i kładł go przez drzwi na ganek, a gdy stróż tam przechodził, wtedy, już poprzednio o to proszony, pociągał za sznurek i budził w ten sposób Tadeusza. Jeżeli mu się na sen zbierało, zlewał głowę zimną wodą. Przy takiej pilności nie dziw, że Ko-

ściuszko czynił zadziwiające w naukach postępy. Ulubionemi jego przedmiotami naukowemi były: matematyka, historya powszechna, dzieje Polski i rysunki. W chwilach wolnych wyuczył się tokarstwa, gdyż miał to przekonanie, że każdy młodzieniec, kształcący się naukowo, powinien się nauczyć jakiegokolwiek rzemiosła. Tokarstwo osładzało później Kościuszce gorzkie chwile w niewoli w więzieniu. Można o nim śmiało powiedzieć, że oprócz koniecznych dla zdrowia przechadzek i rozrywek, nie próżnował w swem życiu ani jednej chwili. Był już podeszłym w leciach, a wciąż wzbogacał swój rozum wiadomościami, biorąc sobie niejako za wzór greckiego mędrca Solona, mówiącego o sobie: „Co dzień się starzeję, ale co dzień nabywam nowych wiadomości."

Cóż powiedziedź o pracowitości Kościuszki podczas powstania? Przeglądał wszystkie listy i raporty, odpowiadał na nie, odbywał przeglądy wojska, dozierał osobiście pracy przy sypaniu okopów, dawał posłuchania bogatym i ubogim, a na wszystko miał czas, bo nie wiedział, co zabawa, próżnowanie, karciarstwo i hulatyka.

Praca jednakże sama nie wywiera pożądanego skutku, jeżeli nie jest połączona z oszczędnością. Choćbyś co dzień zarabiał 10 marek, a wydawałbyś 10 marek i grosz, żyłbyś ostatecznie w biedzie. Trzeba koniecznie pracować i oszczędzać. Polacy garną się do pracy, ale nie umieją jeszcze tak oszczędzać, jak inne narody. Kościuszko może nam posłużyć za wzór oszczędności. Łożył wiele pieniędzy dla ludzi ubogich i na

sprawy narodowe, ale na swoję osobę jak najmniej wydawał. Był skromnym w ubiorze, mieszkaniu, pożywieniu i napojach. Jadał zwyczajne potrawy, a często w obozie żywił się tylko chlebem czarnym i kapustą, choć miliony przechodziły przez jego ręce. Nieraz odgrzewał sam sobie przy ognisku potrawy. Razu pewnego odwiedził go książę Ogiński, pan bardzo bogaty. Kościuszko zaprosił go na obiad i kazał dać wina, ale że to było bardzo tanie wino, przeto księciu nie smakowało. Zapytał się Ogiński, dla czego będąc naczelnikiem, pija takie liche wino. Na to rzecze Kościuszko: „Pan, jako bogaty, możesz pić dobre wino, ale ja, co żyję ze skarbu uciśnionej Rzeczypospolitej, muszę żyć oszczędnie, a nie obracać dochodów walczącego za swą niepodległość narodu na takie wydatki, bez których się można obyć."

Kościuszko ostatnie lata życia spędził w Szwajcaryi w mieście Solurze. Tu go odwiedził pułkownik Tomicki, który objawił pewne zdziwienie na widok skromnego urządzenia domowego i braku wygód w mieszkaniu dawnego naczelnika narodu. „Nie wiem — odrzekł — jak długo jeszcze pożyję, a obawiam się, jeźliby do końca starczyć nie miało, żeby nie wybiła dla mnie *czarna godzina.*"

Czyście słyszeli kiedy ten wyraz: „czarna godzina?" Oto niejeden człowiek żyje szczęśliwie w czasach młodzieńczego i męzkiego wieku, ale na starość traci nieraz majątek lub zdrowie. To jest „czarna godzina." Jeżeliś sobie oszczędził trochę gro-

sza, wtedy nie stajesz się ciężarem innym ludziom, ale sam się utrzymujesz uzbieranemi dawniej zapasami. Wszakżeż nawet pszczoły przez całe lato miód zbierają, aby mieć pożywienie zimą. Pamiętajcie już w młodości na ową „czarną godzinę“ i zacznijcie za wczasu oszczędzać. Każde dziecko, każdy młodzieniec powinien posiadać skarbonkę, a co ważniejsze książeczkę oszczędności, gdyż pieniądze składane w kasie oszczędności przynoszą dochód i są dobrze schowano.

Tadeusz Kościuszko urodził się 1746 r. w Mereczowszczyźnie na Litwie, w dawniejszem województwie nowogrodzkiem. Ukończywszy zaszczytnie szkołę kadetów w Warszawie, udał się młody Tadeusz do Francyi, aby się wykształcić w inżynieryi, tj. w nauce jak zakładać fortece, budować mosty, sypać szańce i okopy, bić kanały itd. W r. 1776 puścił się w podróż do Ameryki, aby nieść pomoc narodowi, broniącemu swej niepodległości. Tu odznaczył się świetnie młody Polak, za co został mianowany generałem. Po sześciu latach pobytu w Ameryce, wrócił Kościuszko do Polski, opromieniony sławą wojenną. W r. 1793 stoczył pomyślną bitwę z Moskalami pod Dubienką, a w r. 1794 stanął na czele powstania narodowego. Powołał on pierwszy włościan i mieszczan do obrony kraju, a tak wielce kochał kmieci, że ubrał się w krakowską sukmanę. Po upadku powstania pozostawał lat kilka w więzieniu, a obdarowany wolnością, zwiedzał różne kraje, aż w końcu osiadł w Szwajcaryi, gdzie w Solurze umarł

dnia 15 Października 1817 r. Zwłoki jego sprowadzono do Krakowa i złożono w katedrze obok popiołów królów polskich. Wdzięczny naród usypał swemu obrońcy wysoką mogiłę pod Krakowem. Takim prostym, lecz i zarazem niespożytym i wspaniałym pomnikiem nie został uczczony żaden król polski, ani bohater naszego narodu.

Kto chce okazać cześć i uwielbienie dla Kościuszki, niech naśladuje przedewszystkiem jego zamiłowanie pracy i oszczędności.

Piękny czyn kominiarza.

W r. 1797 zajęli Austryacy miasto Kraków. Nakazali oni na pamiątkę tego wypadku oświecenie całego miasta, a urzędowe gmachy na swój koszt oświecili. Starali się także, aby zajaśniał światłem orzeł żelazny, znajdujący się na szczycie wieży ratuszowej. Wstęp do tego orła był połączony z niebezpieczeństwem życia, dla tego nie chciał się nikt podjąć wykonania trudnego zamiaru. Wskazano kominiarza Zawrzała, który był bardzo zręcznym i śmiałym, a niejednokrotnie już owego orła oświecał. Ofiarowano mu znaczną ilość pieniędzy, a nawet grożono mu karą, aby go zniewolić do oświetlenia orła na ratuszu. Kominiarz wymawiał się, że już jest stary i niezręczny, że prawdopodobnie przypłaciłby życiem to przedsięwzięcie, dosyć na tem, że odmówił pomocy, a choć cały Kraków jaśniał światłem, orzeł ratuszowy był ciemny ku wielkiej radości Krakowian. W r. 1809, zatem w 12 lat po tem zdarzeniu, weszło do Krakowa

wojsko polskie pod dowództwem księcia Poniatowskiego. Nie proszono Zawrzała, aby się chciał podjąć oświecenia orła. Jakież było zdziwienie mieszkańców Krakowa, gdy wieczorem orzeł zajaśniał sztucznem światłem. Poczciwy kominiarz, kochający Polskę, nie bacząc na niebezpieczeństwo życia, wdrapał się na szczyt wieży i własnym kosztem oświecił orła polskiego. Później rząd rzeczypospolitej krakowskiej wyznaczył Zawrzałowi dożywotnią pensyą, aby uczcić piękny czyn zasłużonego kominiarza.

Mały Tomek z Jabłonny.

Prawdziwe zdarzenie z życia księcia Poniatowskiego, opisane przez Klementynę Tańską.

We wsi Jabłonnie pod Warszawą mieszkała biedna Małgorzata, wdowa po polskim żołnierzu. Jedyną jej pociechą był syn ośmioletni Tomek, grzeczny i miły chłopczyna. Małgorzata z powodu choroby przyszła do wielkiej nędzy. Tomek, chcąc jej dopomódz, zastawiał sidła na ptaki. Wystawiał on sobie, że ich tak wiele nachwyta, aby choć małą furę drzewa kupić matce na zimę. Zastawiwszy raz pierwszy sieć wieczorem, pobiegł rano zobaczyć do ptaszków. Z daleka ujrzał przy sieci wielkie ich mnóstwo; zbliżył się po cichu, spuścił sieć, ale jeszcze niewprawny niezręcznie to zrobił. Poleciały w górę przelęknione ptaszki, złapały się tylko dwie czeczotki i czyżyk. Uradowany jednak tym pierwszym połowem, Tomek odstawił sieć ostrożnie i wyjął trzy ptaszki. Czeczotki włożył do kapelusza, a czyżyki

wziął do ręki. „O kochany mój ptaszku, mówił do niego, głaskając go i całując, jakie masz piękne żółte piórka! żebym był bogaty, zaraz bym ci kupił klatkę i chowałbym u siebie, tak byś dużo jadł! Ale ja biedny muszę cię sprzedać! Zabiją cię, oskubią i na rożenek wsadzą; ach! jak mi cię żal, mój biedny czyżyku! (Tu Tomkowi łzy się zakręciły w oczach). Żeby nie dla matki, to jabym cię zaraz puścił; może i ty masz matkę? nie gniewaj się więc, że ja daleko bardziej kocham moją od ciebie!“ — Tomek mówił to wszystko do swego czyżyka, wracając do domu drogą. Kiedy kończył ostatnie słowa, usłyszał za sobą stąpanie koni i głos jakiś, który na niego wołał: Chłopczyku, chłopczyku, co ty tam tak rozprawiasz? Tomek, obejrzawszy się zląkł i wypuścił czyżyka. Ptaszek w momencie znikł z jego oczów; chłopiec chciał biedz za nim, kiedy obróciwszy się lepiej, spostrzegł pana prześlicznej urody, bogato ubranego na koniu, a za nim kilku innych mniej wystrojonych. Tomek poznał zaraz, że to jakiś wielmożny, chciał się ukłonić, zdjął kapelusz i wyleciały drugie dwa ptaszki! W najżywszej rozpaczy nie zważając na przytomność tylu panów, rzewnie płakać i narzekać zaczął. Ten sam pan, który na niego wołał, zapytał go się przyjemnym głosem, dla czego tych ptaszków tak żałuje? „Tak, odpowiedział Tomek łkając, nie mam żałować, kiedym za nie miał matce furkę drzewa kupić.“ — „To twoja matka musi być bardzo biedna? — „Zapewne że biedna, a do tego i chora; o moje ptaszki! o moje

ptaszki!" — „Żebyś tak bardzo nie żałował, to ja ci dam daleko więcej, aniżeli były warte." To mówiąc bogato przybrany pan dobył dukata z kieszeni i wsunęł go w rękę Tomka. Tomek podskoczył z radości, skłonił się nizko, obtarł czoło i zawołał: „ O teraz już jestem szczęśliwy! i ptaszków nie oskubią i matce pieniądze zaniosę!" — „Czy twoja matka tu mieszka?" zapytał go się jeszcze pan. — „Tu niedaleko, zaraz w tej chatce na boku." — „W tej lepiance co to ją ledwo widać z ziemi?" — „W tej samej; o jak ona będzie szczęśliwa! jużbym rad jak najprędzej być u niej!" — „No to idź i bywaj zdrów! może się jeszcze z sobą zobaczymy!" — „O dobrze!" zawołał Tomek, kłaniając się kapeluszem. Wtem odjechał pan i z nim wszyscy inni, a chłopiec ruszył co sił miał do domu. — „Matko, matko! zaczął na nią wołać jeszcze przed drzwiami, dziś mi się powiodło; dostałem od pani wójtowej sera i jabłek, a od pewnego prześlicznego pana jakiś grosz żółty, jakiegom jeszcze nigdy nie widział."

Małgorzata zadziwiła się niezmiernie, gdy zobaczyła dukata. Zaczęła się wypytywać o całą przygodę? Jak jej Tomek wszystko opowiedział, zawołała z radością: „toś ty z samym księciem rozmawiał!" — „Z księciem! krzyknął Tomek, ach Boże! i któż to jest ten książę?" — „Cała Jabłonna i wiele innych włości, odpowiedziała Małgorzata, należy do zacnego, do kochanego pana; nazywa on się książę Józef Poniatowski. Jeszczem była dziewuchą, kiedym już o jego dobroci, o jego cnotach słyszała; on prowa-

dzi teraz Polaków wszystkich na wojnę, a sam wszędzie jest najpierwszy; nie zważa na kule, na pałasze, na ogień, bo powiada, że mu ojczyzna milsza jest nad życie! Już nieraz Polskę ocalił, a chociaż z królów polskich pochodzi, chociaż sam jak król wygląda, chociaż jest poważany od samych nawet cesarzów, jednak mile rozmawia z najprostszym człowiekiem!" — „O prawda, przerwał jej Tomek, on do mnie tak mówił grzecznie, jak czasem pan wójt nie zagada, a przecież on większy pan od pana wójta? A żebyś widziała matko jaki śliczny! oczy ciemne, twarz miła, a wąs jaki! Czapkę miał trochę na bakier i tak mu z tem pięknie było! Ale żem ja go dotąd jeszcze nie widział?" — „On tu nie mieszka, rzekła Małgorzata, czasem tylko przyjeżdża i niedługo zabawiwszy wraca. Co innego ma do roboty. On całem wojskiem polskiem komenderuje, ma o czem myśleć! Oj! żeby mój Janek żył! pewnoby i jemu i nam dobrze się działo pod tak dobrym wodzem!"

Jeszcze rozmawiali, kiedy zapukał ktoś do chatki. Tomek pobiegł otworzyć i zabaczył jednego z tych ichmościów, którzy z księciem jechali. Wszedłszy zaczął chwalić Małgorzacie syna, powiedział, że w istocie z samym księciem rozmawiał i bardzo mu się podobał· wypytywał się biednej kobiety o wszystkie szczegóły jej nieszczęścia. Małgorzata opowiedziała mu wszystko śmiało i wysławiała dobroć księcia. Odszedł posłaniec, a wychodząc powiedział jej: „Cieszcie się, poczciwa kobieto, skończy się wasza nędza tem rychlej jeszcze, iż mąż wasz

był żołnierzem.“ — W istocie tego samego dnia dowiedziała się Małgorzata, że obok tej chatki, jeszcze przed zimą, postawią umyślnie dla niej inną nową, że książe kazał jej wyznaczyć kawał gruntu na ogród, krowę, sto złotych na zapomogę i na leki. — Stało się tak wszystko. Uszczęśliwiona Małgorzata, poradziwszy się biegłego lekarza, wkrótce wyzdrowiała. Jak drugi raz książę do Jabłonny przyjechał, już mogła pojść do pałacu z synem, paść mu do nóg i podziękować za jego dobrodziejstwa. Zaczęła posyłać Tomka do szkoły, wpajała w niego te cnoty, których już tak szczęśliwie miał zarody i dzień nie minął, żeby nie prosili oboje gorąco Boga o życie, pomyślność i zdrowie dla swego dobroczyńcy! Nie wysłuchał Wszechmocny tych prośb wdzięczności; skryte On ma w sprawach swoich widoki! W parę lat po tym wypadku, właśnie w tym samym miesiącu październiku, zginął bohater. Nie mógł przeżyć straty ojczyzny i w nurtach Elstery znalazł koniec chlubnego życia!

Jeżeli Polska, cała Europa, wszyscy cnotliwi ludzie opłakiwali zgon Poniatowskiego, nie mniej był żałowanym w skromnej chacie Małgorzaty. Dotąd jeszcze nietylko ona, ale cały lud polski ze łzami go wspomina. Te łzy ludu, równie jak głośne pochwały i pomniki z głazu, zaprowadzą go do nieśmiertelności! bo ten tylko prawdziwie wielki, tego imię przetrwa wieki, którego czyny roznosi sława, a pamięć kmiotek w lepiance błogosławi.

Cnotliwa żona.

Polak Migurski za to, że kochał gorąco kraj rodzinny i że brał udział w powstaniu, został skazany na wygnanie do Syberyi. Wierna żona dobrowolnie udała się z małżonkiem do tej odległej krainy, gdzie tysiące naszych braci cierpiało i grób znalazło.

Gdy przybyli na Syberyą, poznali, że niedola ich nie jest tak nieznośną, jak się zdala lękali. Ludzie tam na stepach nie są gorsi od innych. A ponieważ w Syberyi ludzi bardzo mało, więc zdaje się, że są względem siebie bardziej ludzkiemi. Serce ludzkie na pustyni nie tak prędko stygnie jak w tłumnem mieście. Przeto i państwa Migurskich polubili mieszkańcy sybirscy i żyli sobie dobrze i dosyć szczęśliwie na wygnaniu, o ile szczęśliwym być można zdaleka od swego kraju, od swych rodziców, krewnych, przyjaciół i znajomych. Pan Bóg dał im dwoje dziatek, które oni nad życie swoje kochali. Inni samotni wygnańcy uważali więc Migurskich za szczęśliwych pomiędzy nieszczęśliwymi.

Ale tak bywa, że im więcej człowiek jest czuły, im więcej kocha, tym więcej cierpieć mu przychodzi. Tak i Migurskich srogo dotknął Pan Bóg, bo im zabrał dzieci — zostali sami. Cios ten okropnie dotknął matkę osieroconą. Rozchorowała się. Migurskiego boleść powiększyła się, bo cierpiał nad stratą ukochanych dzieci i cierpiał, że żona tak chora. Gdyby i dobra żona umarła, pozostałby sam jeden tam daleko od kraju na wygnaniu. Stroskany mąż nie mógł się

pocieszyć; czarny smutek zachmurzył jego oblicze. Żona, chociaż sama chora, potrafiła pocieszyć męża; pocieszyła go kilku tylko słowami, ale nikt o tych słowach nie wiedział, była to głęboka tajemnica.

Po tych słowach pani Migurska cokolwiek wyzdrowiała. Ale na twarzy Migurskiego wszyscy widzieli czarną rozpacz. Widzieli mieszkańcy, że rozpacz jego codzień większa i że go pewnie doprowadzi do samobójstwa. Raz nawet dał się Migurski z tem słyszeć, że sobie życie odbierze. I znikł też raz zupełnie; kilka dni upłynęło, Migurski nie wraca. Żona prosi towarzyszów, żeby go poszli szukać; znaleziono nad poblizką rzeką czapkę i płaszcz nieszczęśliwego, ale jego nie znaleziono. Nie było już wątpliwości, że się utopił.

Zdawało się, że żona wiadomość tę przyjęła z milczeniem i zdaniem się na wolę Boga. Przed nikim się nie żaliła, do nikogo nic nie mówiła, oko jej wyschło a w tem oku gorzał jakiś dziki niepokój. Każdy się nad nią litował; wszyscy mówili, że biedna Migurska dostaje albo dostanie obłąkania.

Pozbawiona dzieci i męża, skupiła teraz wszystkie siły swoje w jedno życzenie, aby mogła powrócić do ojczyzny, do swoich. Ona nic nie zawiniła, ona nie była skazaną na wygnanie, ona towarzyszyła tylko jako dobra żona mężowi swemu na Sybir; prosiła więc teraz gubernatora, aby jej pozwolił wrócić do domu i aby jej wolno było zabrać z sobą dwie trumienki ze zwłokami dzieci niedawno zmarłych. Gubernator był

człowiek ludzki, litował się nad nieszczęśliwą i przychylił się do jej prośby. Aby zaś w tak długiej drodze z trumienkami dzieci swoich przeszkód nie doznawała, aby biednej i nawpół chorej ułatwić podróż, aby miała posługę i opiekę, dodano jej Dońca-Kozaka, który miał ją odprowadzić aż do granicy. Nieszczęśliwa matka zabiera w milczeniu swoje trumienki, żegna się serdecznie z mieszkańcami i puszcza się w dalszą drogę.

Szybko szła podróż. Pani Migurska prawie nie wysiadała. Zamknięta w podróżnych saniach z swemi trumienkami, tam nocowała, tam przyjmowała pokarm, tam spędzała chwile wypoczynku na stacyach. Skulona nad swemi trumienkami, nad tym skarbem grobowym, ciągle milczała, nie zważała na to, co się w koło niej dzieje, żyła sama jakby w wędrownym grobowcu, jakby na cmentarzu. Tak przebyła większą połowę drogi.

Już minęła miasto Symbirsk. Za tem miastem na jednej stacyi zatrzymały się sanie na krótką chwilę; przeprzęgano konie. Doniec-Kozak zaniósł papiery do przejrzenia. Pani Migurska, jak zwykle, nie wychyliła się z sań. Kozak bardzo prędko powrócił z papierami, przyzwyczajony do milczenia podróżnej, nie zbliżył się wcale do niej, ale oparł się z tyłu o sanie i czekał, aż zwoszczyk konie zaprzęże. Stojąc tak pochylony nad skrzynią, w której trumienki były, słyszy w tejże skrzyni jakiś głos męzki. Nadstawia ucha, aby coś więcej usłyszeć, ale znowu głucho w trumnach. Pra-

wowierny Moskal jest taki służbista, że choćby miał najżyczliwsze serce, to jednak wyżej u niego służba niż litość. Nie wie wcale, co tam w tych trumnach odkrył, ale spieszy zaraz do urzędu i donosi, że słyszał jakiś głos w trumnie. Pani Migurska niczego się nie domyślała i siedziała spokojnie w saniach. Nagle staje u drzwiczek urzędnik, Doniec i straż. Dają rozkaz, żeby wysiadła i zaczynają przetrząsać wszystkie kryjowki w saniach. Nieszczęśliwa pani Migurska omdlała i padła na sanie. Nic to nie pomaga; wyciągają na wpół nieżywą na ziemię. Najpierw wpadły im w oczy dwie trumienki, które nie były schowane w skrzyni na to przyrządzonej, ale w nogach w sianie. W skrzyni zaś znajdują żywego Migurskiego.

Wzięto zaraz pod straż i Migurskiego i jego żonę. Zaczęto ich śledzić. Wszystko wyszło na jaw. Kiedy im dzieci w Orenburgu umarły a Migurski okropnie rozpaczał, żona jego odczuwała więcej męża nieszczęście, niż własne. Wtenczas po stracie dzieci, znalazła sposób ocalenia męża. Namówiła go, żeby udawał rozpacz i chęć odebrania sobie życia, potem utaiła go w swojem mieszkaniu, a odzież jego rzuciła nad rzekę; gdy się rozeszło, że Migurski życie sobie odebrał, prosiła gubernatora, żeby jej wolno było ze zwłokami dzieci swych powrócić do kraju swego, a w tej skrzyni, w której miały stać trumienki, ukryła męża swego. W drodze żywiła go codziennie własną strawą; dla miłości męża zrobiła wielkie poświęcenie, wielką z siebie ofiarę,

bo sama się skazała na męczarnią; zamknięta siedziała w saniach i patrzyła na trumny swych dzieci, w ciasnem miejscu dotykać ich się musiała; żyła więc w podróży jakby żywcem w grobie zamknięta. A wszystko to czyniła dla ocalenia męża. Aż tu naraz wszystko się wykrywa i to takim przypadkiem. Jedna z desek skrzyni wymknęła się z fugi i przygniotła ukrytego. Migurski pewny, że kozaka nie ma, ośmielił się odezwać w głos do żony, aby deskę poprawiła. Niewczesne słówko zgubiło ich oboje.

Nietylko teraz Migurski, ale i żona jego stała się wygnańcem, stała się więźniem za to, że chciała wykraść więźnia wygnańca, chociaż to był mąż jej. Nieszczęśliwi małżonkowie chcieli się wykupić z rąk strażników, ale prośby ich były daremne. Musieli wracać nazad do Orenburgu na wygnanie. Był to nowy cios dla nich. Okuci w kajdany wracają w największej rozpaczy. W mieście Symbirsku najdłużej się zatrzymali; tu sobie uprosili u rządu, że im pozwolił niepotrzebne już zwłoki dzieci pochować. Smutny pogrzeb odbył się publicznie z wielką uroczystością. Całe miasto wyszło na ten obchód. Za trumienkami postępował w kajdanach ojciec i matka tak blada, smutna i milcząca jak grób. Wszystek lud okazywał dla nich największe współczucie i uwielbienie. Wszyscy głośno lamentowali nad ich niedolą, wszyscy znosili im dary, wszyscy złorzeczyli Dońcowi, a gdy się pojawił na pogrzebie, wszystek lud przyjął go okrzykiem przekleństw; żony i matki złorzecząc,

groziły rzucić się hurmem na niego, dzieci rzucały nań kamieniami. Musiał się ukryć.

Gdy tak smutni państwo Migurscy dalej podróż swą odprawiali do Orenburga, wszędzie gdzie się dowiedziano o ich losie, ludność się burzyła i rzucała na Kozaka obelgi i razy. W końcu dla zapobieżenia ciągłym w drodze gwałtom, wyprawiono go cichaczem inną drogą do Orenburga.

Po niejakim czasie stanęli Migurscy w Orenburgu, ale ztąd kazano im udać się na stały pobyt do Nerczyńska, jakie 600 mil dalej, prawie tysiąc mil od polskiej ziemi. W Nerczyńsku była ich dola sroższa niż w Orenburgu. Męża skazano na więzienie do śmierci; żona wiedziała, że nie może mu już przynieść żadnego ratunku, żadnej ulgi. Ciężkiego tego życia nie mogła dłużej znieść — w rok umarła nieboga. Tak ta cnotliwa Polka, najwierniejsza żona, ogromne nieszczęście przecierpiała na ziemi i tysiąc mil od swoich, od matki, ojca, krewnych i przyjaciół, tysiąc mil od ziomków swoich, oddalona, zakończyła smutne życie pod sybirskiem niebem, patrząc na niedolę męża ukochanego. Na jej grobie żaden kwiatek rodzinny nie kwitnie.

Filomaci, Filareci i Promieniści w Wilnie.

W Wilnie, stolicy Litwy, założył Stefan Batory król polski, akademią czyli uniwersytet, tj. najwyższą szkołę, w której się kształci młodzież na księży, profesorów, prawników i lekarzy. W r. 1807 objął przewodnictwo nad tą akademią Jan Śniadecki,

jeden z najuczeńszych Polaków. Szkoła wileńska była wówczas pierwszorzędnem ogniskiem oświaty polskiej, a że Śniadecki zachęcał także gorliwie do moralnego życia i surowo przestrzegał, aby młodzież nie oddawała się próżniactwu, pijaństwu, karciarstwu i rozpuście, przeto kwitnęła także cnota na wileńskim uniwersytecie.

Młodzież utworzyła tam z własnego popędu trzy towarzystwa, tj. Filomatów, Filaretów i Promienistych, które po wszystkie czasy będą wzorem dla polskiej młodzieży.

Dnia 1 Października 1817 r. powołało do życia siedmiu młodzieńców związek pod nazwą Filomatów. Jest to grecka nazwa, oznaczająca przyjaciół nauk. Założycielami byli: Tomasz Zan, Józef Jeżowski, Mickiewicz, Jan Czeczot, Łoziński, Malewski i Onufry Pietraszkiewicz. Głównym celem Filomatów było, jak pisze Ignacy Domejko „dobro kraju, stara Polska, przechowanie narodowości i charakteru staropolskiego.“ Środkiem dla osiągnięcia tego celu miało być zamiłowanie nauk, szerzenie oświaty i braterstwo. Zajmowanie się polityką było zakazane. Ustawy były krótkie i zrozumiałe. Każdy członek płacił 2 złote polskie składki miesięcznej. Zarząd stanowili: prezes, sekretarz i skarbnik. Co dwa tygodnie odbywały się posiedzenia, na których czytano rozprawy literackie. Przedmiotem ustnych narad miało być obmyślanie środków, dążących ku szerzeniu oświaty i braterstwa między młodzieżą, ku utrzymaniu w niej narodowego ducha, aby każdy przekładał dobro powszechne nad interes prywatny i szano-

wał bardziej cnotę i uczciwość obywatelską, niż wszelkie dostojności światowe, bogactwa i wyniesienie się. W pożyciu zaś między członkami towarzystwa zalecano przede wszystkiem szczerość i wzajemną pomoc. Nie cierpiano pijaństwa i obżarstwa; powszechnemi napojami była woda i mleko. Jeżeli kto z stowarzyszonych spotkał rozpustnego młodzieńca lub kobietę niemoralną, wówczas na bok się odwracał.

Prezesem Filomatów był Jeżowski, ale głównie Zan i Mickiewicz przyczynili się najwięcej do wzrostu towarzystwa. Zan był matematykiem i poetą, znał też dobrze języki starożytne, literaturę i historyą polską. Śpiewał pięknie i lubił bardzo muzykę. Kiedy wpadał w uniesienie, zdawało się, jakoby z jego oczu i czoła błyskały promienie, dla tego podobno wielkie stowarzyszenie młodzieży przybrało nazwę Promienistych. Twarz jego była zawsze pogodna; przytem posiadał tak silne pojęcie piękna i moralności, że nie cierpiał nietylko przekleństw, ale nawet nie przepuszczał dwuznacznikom. Pijaństwo i rozpustę uważał za środek upodlenia i upadku ducha: sądził też, że za pomocą muzyki, poezyi, miłości i czystośc obyczajów można dźwigać z upadku najwięcej zepsutych ludzi, Zana to zapewne miał głównie na myśli Wincenty Pol, kiedy w Pieśni o Ziemi Naszej, tak nuci o młodzieży wileńskiej:

A gdy myśl ci przyjdzie mylna
Zwątpić w przyszłość i swobodę,
Wówczas bracie jedź do Wilna
Poznać z hartem dusze młode.

Później wstąpili do Filomatów: Józef Kowalewski, Maryan Piasecki, Budrewicz, ksiądz Chlewiński, Kozakiewicz i Ignacy Domejko.

Potem utworzył Zan nowe, daleko obszerniejsze stowarzyszenie pod nazwą Filaretów, t. j. przyjaciół cnoty, które zostawały pod niewidzialnym kierunkiem Filomatów. „W pierwszem artykule ustaw zastrzeżono, — pisze Domejko — że Filareci nie będą zajmowali się polityką, a głównym ich celem będzie oświata, nauka, wzajemne braterstwo i miłość ojczyzny. Towarzystwo dzieliło się na grona czyli oddziały, stósownie do gałęzi nauk, jakim się oddawali jego członkowie: utworzono grona: prawników, literatów, lekarzy, matematyków i naturalistów. Każde grono miało swego prezesa i sekretarza; wszystkie wybory odbywały się otwarcie i większością głosów. Ustawy były krótkie i jasne, przyrzekano tylko przed nienależącymi do towarzystwa nie wyjawić jego bytu, tak dla uniknienia nieprzyjemności od strony władz rządowych i uniwersyteckich, jako też dla dobra Filaretów, aby nie szukali chluby z dobrych uczynków przed światem, a w cichości oddawali się naukom, zachowując między sobę zgodę, braterstwo i obyczajność.

Każdy, kto mógł, płacił filareckiego podatku złoty na miesiąc, a pieniądze obracano na książki, utrzymanie czytelni i niezbędne potrzeby.

Na posiedzeniach czytano prace w przedmiotach, które odpowiadały gałęzi nauk należących do grona, i toczyły się rozprawy

w przedmiotach naukowych i literackich. Członkowie nietylko ćwiczyli się w sztuce pisania, ale też nabywali daru rozprawiania ustnie z umiarkowaniem i jasno w przedmiotach częstokroć zawiłych, przestrzegając wzajemnie przepisów dobrego wychowania, czystości języka i poprawności stylu.

Że zaś nie mieliśmy solonów na liczne zebrania i ostrożność nakazywała unikać gromadnych schadzek, mianowano i wysyłano na posiedzeniach z każdego grona delegatów na posiedzenia innych gron, a ci delegaci byli obowiązani zdawać sprawę, każdy przed swojem gronem, z czynności grona, do którego byli posłani. Mogli jednak Filareci, którzy mieli czas i ochotę, iść na posiedzenia wszystkich gron bez wyjątku, nawet nie będąc delegatami do nich, mogli nawet zabierać głos na nich, ale nie mieli prawa mięszania się do wyboru urzędników w gronach, do których nie należeli."

Istniała jeszcza trzecia nazwa Promienistych dla stowarzyszonej młodzieży w Wilnie. Nie jest bliżej znaną organizacya Promienistych, a nawet nie wiadomo, zkąd właściwie powstała nazwa, gdyż jedni ją wywodzą od promieni, które biły z oczu i czoła Zana, inni od promieni słońca, a jeszcze inni od tak zwanych „promionków." Zan twierdził, że piękność, czułość, niewinność, są to trzy najpiękniejsze „promionki" duszy ludzkiej, świadczące o jej boskim początku. Jeżeli człowiek prowadzi czyste moralne życie, nie kalając się pijaństwem, rozpustą i podobnemi bezprawiami, wtedy owe trzy promionki otaczają każdego człowieka, szczególnie zaś młodzieńca lub dziewicę rodzajem tęczy świetlanej, która w zetknięciu się z podobną osobą, a mianowicie, jeżeli dwie istoty zapłoną ku sobie świętym ogniem miłości lub przyjaźni, zlewa się w jednę spólną tęczę, opromieniającą dwie dusze i powołującą je ku niebu, jako ostatecznemu celowi życia ludzkiego na ziemi. Wierzono, że z oczu i czoła Zana bardzo silnie tryskały „promionki", jeżeli był otoczony zacną młodzieżą, ale gasły, jeżeli się stykał z zimnemi lub nieczystemi sercami.

Zan, jako naczelnik, mianował urzędników i dni posiedzeń. Promieniści dzielili sią na sześć następnych województw: zielone, różowe, granatowe, amarantowe, błękitne i białe. Każde województwo posiadało swego wojewodę, podkanclerza, skarbnika, podwojewodzego, referendarza, stolnika i obywateli. Na czele wszystkich Promienistych stał tak zwany „dwór," złożony z 9 osób, a Zan był najwyższą powagą i głową całego związku. Widzimy, że organizacya była czysto rodzimą, narodową, nie posiadającą nic wspólnego z towarzystwami młodzieży niemieckiej. Filomaci, Filareci i inna zaufana młodzież, która odbywała przechadzki czyli majówki w okolicach Wilna, należała do Promienistych. Tak na zebraniach Filaretów i Filomatów, jak i na wycieczkach śpiewano stósowne pieśni, które głównie układał Mickiewicz; do tych należała mianowicie: „Hej użyjmy żywota, wszak żyjem tylko raz," oraz następna, zdaje się także przez Adama ułożona:

Niech radością oczy błysną
I wieniec czoło okrasi,
I wszyscy się mile ścisną,
Bo to wszystko bracia nasi;

Braterstwa ogniwem spięci
Zdejmijmy z serca zasłonę,
Otwórzmy myśli i chęci;
Święte, co tu objawione!

Pochlebstwo, chytrość i zbytek
Niech każdy przed progiem miota,
Bo tu święty ma przybytek
Ojczyzna, nauka, cnota!

Ale kto jest w naszem gronie,
Pomnij na przysięgę swoją
I w każdej chwili żywota,
Czy przy pługu, czy w koronie,

Niechaj ci w umyśle stoją:
Ojczyzna, nauka, cnota!

Promieniści zbierali się przeważnie na majówkach w okolicach Wilna. Pierwszą wycieczkę urządzono do lasku w wiosce Popławy. Zbierano się w małych gromadkach, aby nie zwrócić uwagi policyi. Równocześnie ze wschodem słońca wyruszyła młodzież, śpiewając po drodze wesołe pieśni. W Popławach stały wiadra z mlekiem, biały chleb i ciasta, a nie było wcale wina, piwa, a cóż już najmniej wódki. Pierwszy przemówił Zan, mistrz Promienistych, zalecając, aby każdy z Promienistych starał się o nabywanie cnót, które młodzieńca w oczach wszystkich czynią szacownym i miłym. Zachęcał do skromności, łagodności, do tłumienia samolubstw i ukochania ojczystej ziemi. Potem bawiono się ochoczo, a co chwila odczytał ktoś jakiś wierszyk lub ułamek prozą, najwięcej przecież śpiewano pieśni. Na tych majówkach, pod gołem niebem, na zielonej dolinie, przy wspólnej zabawie łatwiej się otwierały serca i zawięzywały się uczucia przyjaźni.

Jednę z późniejszych majówek opisuje Domejko następnemi słowy: ,,Pamiętam jednę z tych miłych schadzek w przewodną niedzielę, do folwarku zwanego Markucie, sławnego fijołkami i śpiewem swoich słowików, położonego na Popławach, o milkę od miasta, na wysokiem wzgórzu, z którego opodal widne były Ponary, Bekieszowa góra i całe Wilno jak na dłoni. Nie byłać to majówka, ale kwietniówka, bo przewodnia niedziela przypadała w kwietniu, i chcieliśmy tego dnia mieć wspólne święcone. Każdy niósł co mógł na to święcone: ten pieczonego baranka, ów szynkę czy półgęski, ów babę lub mazurka, niejeden pieśń tylko nową lub stosowne do uroczystości wiersze, a większa liczba, dobre serce tylko, dobry humor i zdrowy żołądek. O świcie były zastawione stoły, a na nich nic jeszcze; ale w pół godziny ożywiły się Popławy pieśniami, ciągnących rozmaitemi drogami filareckich gron i zaproszonych gości z tłomakami i koszykami. W godzinę uginały się już stoły pod ciężarem przyniesionych jadeł; poświęcił je ksiądz i przystąpiono do podziału jaj wielkanocnych na tyle cząstek, ilu było zebranych braci. Wzięto się do święconego nie bez wstępnych przemówień pana Tomasza wierszem i prozą i na przemian śpiewano i deklamowano wiersze. Wesołość była powszechna, a przy końcu, kiedy się już gotowano do powrotu, siedzący na murawie pod drzewem nasz kochany Cze-

czot śpiewał swoję, umyślnie na ten dzień ułożoną pieśń.

„Gdy ją skończył porwali koledzy Jana na ręce i o mało go z radości nie udusili. Nigdy może w życiu nie widziałem tak uweselonej młodzieży i tak serdecznego wylania się. Było na tem zebraniu półtorasta uczniów uniwersyteckich; przed jedenastą wróciliśmy do miasta i poszliśmy na mszę do św. Jana.“

Owe majówki Promienistych wywierały tak silny wpływ na uczestników, że Ignacy Domejko, przebywający w Ameryce, jako starzec 70 letni z młodzieńczym zapałem wspomina te błogie chwile młodości, a Mickiewicz w „Sonetach Krymskich,“ opisując przecudne widoki na Krymie, tęskni za skromnemi zabawami w ukochanej Litwie. Słusznie zatem odzywa się W. Pol w „Pieśni o ziemi naszej“ do polskiej młodzieży w te słowa:

O te, skarby te obrazy,
Chwytaj jeszcze, póki rano,
Bo nie wrócą ci dwa razy,
A schwycone pozostaną.

Towarzystwa młodzieży wileńskiej, a szczególnie Promienistych, wywierały błogi wpływ na studentów. Dawne burdy i zawichrzenia, lenistwo, marnotrawstwo, pijaństwo, sobkostwo znikało, a natomiast zakwitły piękne cnoty; pracowitość, zgoda, duch religijny i miłość Ojczyzny. Promieniści spełniali przykładnie przepisy religii katolickiej, a modlili się chętnie co sobotę obok obrazu Matki Boskiej Ostrobramskiej. Niestety! tylko pięć lat trwał ów ruch piękny, ale choć krótko istniał, zapisał się zaszczytnie na kartach dziejowych naszego narodu.

Młodzieży Polska, czy to w szkołach, lub też przy pługach i w warsztatach przebywająca, czyż nie pragniesz naśladować zacnej młodzieży wileńskiej?

Poczet Królów Polskich do nauczenia się na pamięć.

Niniejsza książka ma głównie na celu zachętę, aby dzieci i młodzież polska starały się poznać bliżej historyą polską czyli dzieje Polski. Zwracam wam uwagę, mili czytelnicy, że nie dosyć czytać książki o Polsce, ale trzeba koniecznie uczyć się na pamięć najważniejszych wypadków naszej przeszłości. Mianowicie znać trzeba następstwo książąt i królów polskich. To jest pierwszy początek znajomości historyi naszego narodu. Podaję wam spis czyli poczet dwojako, najprzód dla małych dzieci, a potem dla doroślejszej młodzieży.

I. Dla dzieci.

Lech. Wizymir. Dwunastu wojewodów. Krakus. Wanda. Dwunastu wojewodów powtóre. Przemysław złotnik czyli Leszek I. Leszek II. Leszek III. Popiel I. Popiel II.

Piast. Ziemowit. Leszek IV. Ziemomysł. Mieczysław. Bolesław Wielki. Mieczysław Drugi. Kazimierz Odnowiciel. Bolesław Śmiały. Władysław Herman. Bolesław Krzywousty.

Władysław II. Bolesław Kędzierżawy. Mieczysław Trzeci, Kazimierz Sprawiedliwy. Leszek Biały. Władysław Laskonogi. Bolesław Wstydliwy. Leszek Czarny. Przemysław. Władysław Łokietek. Wacław. Kazimierz Wielki.

Ludwik. Jadwiga. Władysław Jagiełło. Władysław Warneńczyk. Kazimierz Jagiellończyk. Jan Olbracht. Aleksander. Zygmunt I. Zygmunt II. Henryk Walezy. Stefan Batory.

Zygmunt III. Władysław IV. Jan Kazimierz. Michał Wiśniowiecki. Jan III Sobieski. August II. Stanisław Leszczyński. August III. Stanisław Poniatowski.

II. Dla młodzieży.

Okres I. Od najdawniejszych czasów do zaprowadzenia chrześciaństwa w Polsce 965 r.

Lech I około 550 r. Wizymir. Dwunastu wojewodów. Krakus. Wanda. Dwunastu wojewodów raz drugi. Przemysław złotnik czyli Leszek I. Leszek II. Leszek III. Popiel I. Popiel II. Piast około 800 r.

Ziemowit około 870 r.
Leszek IV 892 r.
Ziemomysł od 921 do 962.

Okres II. Od zaprowadzenia chrześciaństwa do podziału Polski przez Bolesława Krzywoustego 1139 r.

Mieczysław I od 962—992.
Bolesław Wielki od 992—1025.
Mieczysław II od 1025—1034.
Kazimierz Odnowiciel od 1040—1058.
Bolesław Śmiały od 1058—1079.
Władysław Herman od 1081—1102.

Okres III. Od podziału Polski 1139 do wstąpienia na tron Kazimierza Wielkiego 1333 r.

Bolesław Krzywousty od 1102—1139.
Władysław II od 1139—1149.
Bolesław Kędzierżawy od 1149—1174.
Mieczysław III od 1174—1178.
Kazimierz Sprawiedliwy od 1178—1194.
Leszek Biały, Mieczysław Stary i Władysław Laskonogi na przemian od 1194—1207.
Leszek Biały powtóre od 1207—1227.
Bolesław Wstydliwy od 1227—1279.
Leszek Czarny od 1279—1289.
Przemysław od 1295—1296.
Władysław Łokietek raz pierwszy od 1296—1300.
Wacław, król czeski i polski od 1300—1305.
Władysław Łokietek od 1305—1333.

Okres IV. Polska kwitnąca. Od Kazimierza Wielkiego do zgonu Stefana Batorego 1586.

Kazimierz Wielki od 1333—1370.
Ludwik, król węgierski i polski od 1370—1382.
Jadwiga od 1384—1386.
Władysław Jagiełło od 1386—1434.
Władysław Warneńczyk od 1434—1444.
Kazimierz Jagiellończyk od 1444—1492.
Jan Olbracht od 1492—1501.
Aleksander od 1501—1506.
Zygmunt I od 1506—1548.
Zygmunt II od 1548—1572.
Henryk Walezy 1574.
Stefan Batory od 1576—1586.

Okres V. Polska upadająca od zgonu Stefana Batorego 1586 do trzeciego rozbioru Polski 1795 r.

Zygmunt III Waza od 1587—1632.
Władysław IV od 1632—1648.
Jan Kazimierz od 1648—1668.
Michał Wiśniowiecki od 1669—1673.
Jan III Sobieski od 1674—1696.
August II od 1697—1733.
Stanisław Leszczyński od 1705—1709.
August III od 1733—1763.
Stanisław Poniatowski od 1764—1795.

Okres VI. Polska odradzająca się czyli w niewoli.

Słówko do polskich dzieci i młodzieży.

Dziełko „Historya Polska w pięknych przykładach“ ma na celu zachętę czytelników, aby za pomocą cnoty, oświaty, pracy i oszczędności starali się uskarbić sobie przedewszystkiem łaskę Boga i aby się przyczynić jak najwięcej dla dobra naszej Ojczyzny Polski. Co to jest Ojczyzna? Oto ziemia polska; naród, który na niej żyje, zatem i my wszyscy cząstką Ojczyzny jesteśmy; w skład Ojczyzny wchodzą także: język, literatura i religia. Także nasi przodkowie, którzy żyli przed nami i przyszłe polskie pokolenia należą do Ojczyzny. Każdemu narodowi przeznaczył Bóg wielkie zadanie do spełnienia. Jest to posłannictwo dziejowe, które łączy dawniejsze, teraźniejsze i przyszłe polskie pokolenia. Posłannictwo objawia się w dziejach czyli w historyi. Trzeba koniecznie posiadać znajomość historyi ojczystej. Chcesz być dobrym Polakiem, znaj dobrze przeszłość naszego narodu i wypełniaj obowiązki narodowe. W niniejszej książce masz liczne przykłady i wzory, jak nasi przodkowie kochali Ojczyznę, nie szczędząc dla jej dobra majątku, zdrowia a nawet życia. Naśladuj te piękne czyny.

SPIS RZECZY.